



VLADIMIR WOLFF

KRYPTONIM BURZA



♦ ODLEGŁE RUBIEŻE ♦

Vladimir Wolff

Kryptonim Burza

Odległe Rubieże



*Krzyk jeden pomknął wzdłuż granicy
I zanim zamilkł, zagrzmiały działa.
To w bój z szybkością nawałnicy
Armia Czerwona wyruszała.
Jacek Kaczmarski, Ballada wrześniowa*

Copyright © Vladimir Wolff, Ustroń 2012
www.Wolff.warbook.pl

Redakcja i korekta: Dobry Book, dobrybook@dobrybook.pl

Redakcja techniczna: Dominik Trzebiński Du Châteaux,
atelier@duchateaux.pl

Projekt okładki: Mariusz Kozik

ISBN 978-83-62730-28-5

Wydawca: ENDER
Sławomir Brudny
ul. Bładnicka 65, 43-450 Ustroń, www.warbook.pl



Plik ePub opracowany przez firmę eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[***](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Mapa](#)

[PROLOG MONACHIUM](#)

[1 WARSZAWA](#)

[2 WARSZAWA–GRODNO](#)

[3 MOSKWA](#)

[4 WARSZAWA](#)

[5 MOSKWA](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14 WARSZAWA](#)

[15 MOSKWA](#)

[16 WARSZAWA](#)

[17 WARSZAWA](#)

[18 MOSKWA](#)

[19 AUGUSTÓW](#)

[20 FRONT ZACHODNI](#)

[21 WARSZAWA](#)

[22 OKOLICE RAKOWA](#)

[23 WARSZAWA](#)

[24 LONDYN](#)

[25 FRONT ZACHODNI](#)

11 KARPACKA DYWIZJA PIECHOTY

26 WARSZAWA

27 LONDYN

28 DYWIZJA PIECHOTY

29 SUWALSKA BRYGADA KAWALERII

30 ARMIA „BARANOWICZE”

ODCINEK UMOCNIONY „DAREWO”

31 LONDYN

32 MOSKWA

33 SUWALSKA BRYGADA KAWALERII

34 WARSZAWA

35 LONDYN

36 BRZEŚĆ

37 ARMIA „LWÓW”

38 GRUPA OPERACYJNA „DNIESTR”

39 WARSZAWA

40 LONDYN

41 SUWALSKA BRYGADA KAWALERII

42 BRZEŚĆ

43 LONDYN

44 MOSKWA

45 WARSZAWA

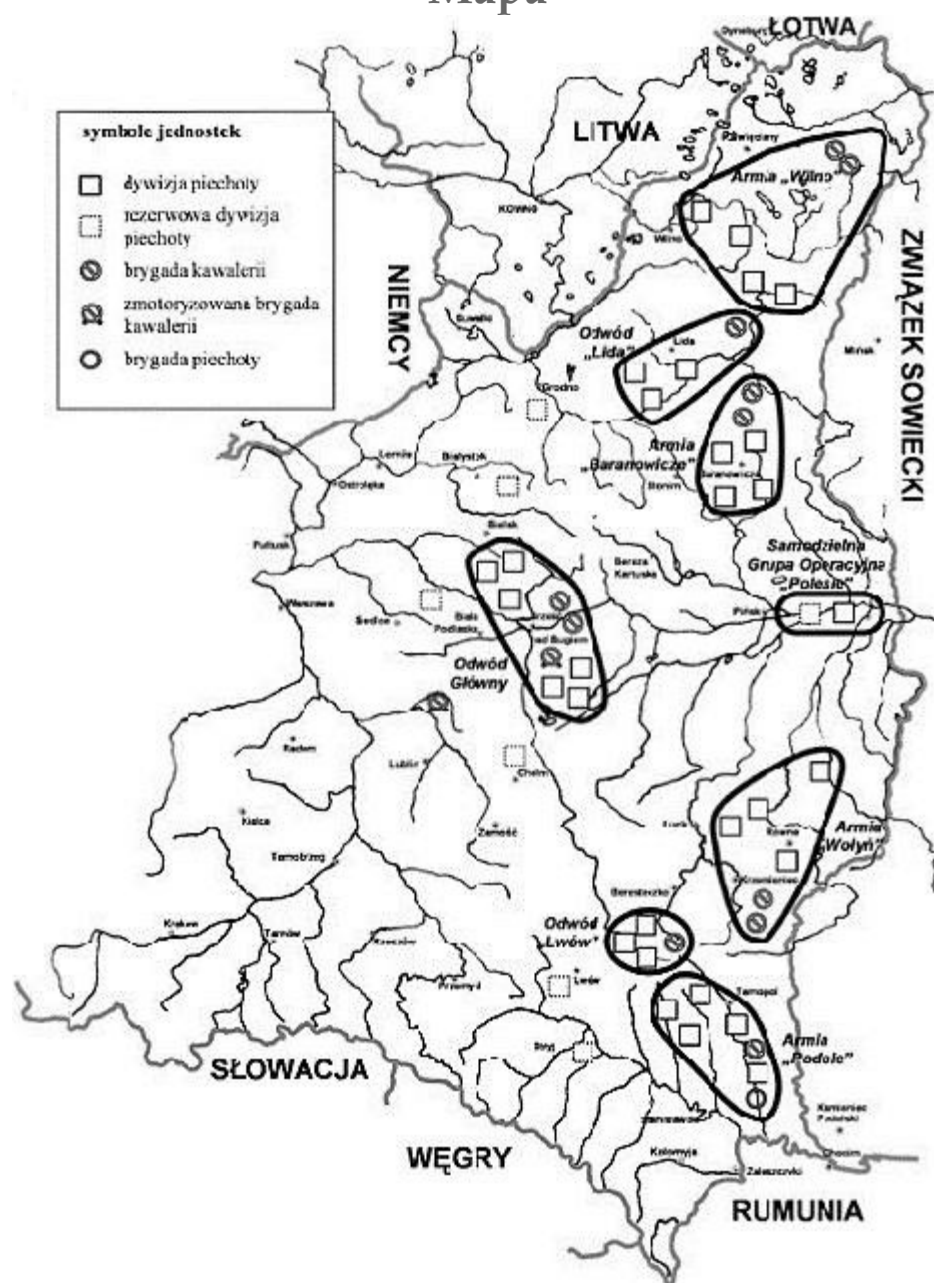
46 LUBLIN–KIJÓW

47 WARSZAWA

POSŁOWIE

BIBLIOGRAFIA

Mapa



PROLOG MONACHIUM

Lubił to miasto. Nie tak, jak darzy się sentymentalnym uczuciem krajobrazy z odległej przeszłości, najczęściej z dzieciństwa, będące tłem dla błahych przyjemności, które urastają po latach do szczytu wyrafinowania, a pamięć przechowuje je jak najbardziej drogocenne klejnoty.

Akurat w jego przypadku nic z tych rzeczy. Jednak je lubił. Po prostu Monachium to jedno z centrów kraju, jak Berlin, Hamburg czy Drezno. Może odrobinę bardziej istotne, bo tam zaczęła się jego droga na szczyt.

Teraz z chodników, okien i trotuarów nieprzeliczone tłumy sympatyków i wyznawców narodowego socjalizmu pozdrawiały go stojącego w opancerzonym trzyosiowym mercedesie, z którego korzystał przy podobnych okazjach, a on wracał pamięcią do tamtych przełomowych chwil. Wówczas, podczas puczu w 1923 roku, nie wiedział, jak to się skończy. To znaczy wiedział – cel został przecież wyznaczony, należało wybrać tylko jedną z dróg wiodących do tego, czym miał stać się dla Niemiec i dla świata. Teraz był pewien, że wybrał dobrze. Już osiągnął to, o czym zawsze marzył, lecz kroczył dalej we właściwym kierunku, bo tezy zawarte w „Mein Kampf” wciąż czekały na realizację. Jej kolejny etap nastąpi już wkrótce, dlatego na obchody wielkiego partyjnego święta wyjątkowo wybrał sierpień, a nie tradycyjnie listopad.

Myśli znowu odpłynęły ku przeszłości. Jakoś nie chciał się przyznać sam przed sobą, że podjęte wówczas działania były absurdalne. Z pozoru mieli duże szanse. Komunistyczne

pucze i spiski wypychały raczkującą republikę w otchłań nieustających walk, rebelii i czerwonego terroru.

Wystarczyło zebrać odpowiednią grupę zdeterminowanych osób i uderzyć. To właśnie jego pomysłem było podjęcie „marszu na Berlin” wzorowanego na czynach włoskich faszystów

Mussoliniego, by ustanowić silną centralną władzę. Zapleczem w tym przypadku miała być Bawaria. Pod pretekstem ulicznej demonstracji chciał zgromadzić oddziały SA, by szybko obsadzić nimi ważniejsze punkty miasta – dworzec, pocztę, mosty i dowództwo okręgu wojskowego. Plan był dobry, tylko – jak zawsze w tego typu wypadkach – wszystko poszło nie tak. Całą akcję przyśpieszono, korzystając z przemówienia Gustava von Kahra, samowłańczego generalnego komisarza Bawarii, dążącego do oderwania tego kraju związkowego od centrum. Spotkanie odbyło się w wielkiej, mieszczącej dobrze ponad trzy tysiące ludzi piwiarni Bürgerbräukeller. Z początku wszystko szło dobrze. Porwali ludzi za sobą i wyciągnęli ich na ulicę, stając na czele tak zwanej rewolucji narodowej. Nie przewidzieli jednego – reakcji policji. Na placu Odeon zagrodzono im drogę. Padły strzały. Zginęło szesnastu narodowosocjalistycznych męczenników. To wówczas chrzest bojowy przeszedł Sztandar Krwi – chorągiew traktowana odtąd jak relikwia.

Dojeżdżali już do Bürgerbräukeller. Odniósł wrażenie, że historia zatoczyła koło. Znalazł się w punkcie wyjścia. Chociaż nie. Był znacznie dalej.

Mercedes stanął tuż przy wejściu. Jeszcze raz pozdrowił tłum na ulicy, unosząc lewą rękę w pozdrowieniu. Odpowiedział mu aplauz. Zachował nieprzenikniony wyraz twarzy i chmurne spojrzenie. Niech wiedzą, że nie ulega emocjom tak łatwo. Odwrócił się i w asyście najwierniejszych z wiernych wkroczył do środka.

Wewnątrz harmider był o wiele większy. Z tysięcy gardeł wyrwało się entuzjastyczne „Heil!” na jego cześć. Tutaj nie bał się niczego. Był wśród swoich. Kilka razy przystanął, witając się z dawno niewidzianymi towarzyszami. Nad salą rozległy się pierwsze tony „Badenweilera”.

Członkowie SA i SS utworzyli szpaler wiodący wprost do mównicy. Czuł się odurzony. Ani alkohol, ani narkotyki nie mogły wywołać podobnych emocji. Z tej przyczyny nie widział potrzeby używania ani jednego, ani drugiego.

Kiedy już wszedł po stopniach na podwyższenie, ponownie uniósł dłoń na znak pozdrowienia i jednocześnie prośby o ciszę.

– Przybyłem do was na kilka godzin, by w waszym gronie wspominać ów dzień, który dla nas, dla ruchu, a tym samym dla całego naszego wielkiego narodu był dniem o najwyższym znaczeniu.

Entuzjazm bojowników narodowego socjalizmu sięgnął zenitu. Drżało wszystko – a najbardziej jego serce. Wiedział bowiem coś, o czym oni nie mieli bladego pojęcia. Powód, dla którego listopadowe uroczystości przeniesiono na sierpień, był jeden: jesienią nie będzie już na nie czasu. Za parę dni Wehrmacht przekroczy polską granicę. I w tej wojnie nie będzie sam.

W Moskwie zapadały ostatnie ustalenia. Piastujący urząd sekretarza generalnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii Józef Wissarionowicz Stalin nad wyraz chętnie przymierzał się do sojuszu. Pierwsze jaskółki wzajemnego zrozumienia przyniosła wiosna. On zrezygnował z antysowieckiej i antykomunistycznej retoryki, a Moskwa nie naciskała zbyt mocno na rozmowy z delegacją Wielkiej Brytanii.

Dosłownie wczoraj zawarto niemiecko-sowiecki układ handlowy, a wizyta ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribbentropa miała przypieczętować trwałe

porozumienie. Kiedy już do niego dojdzie, nowy podział Europy stanie się faktem. Jak na razie wszystko na to wskazywało.

Stalin nie pozostawał obojętny na umizgi i aluzje. Wiedział równie dobrze jak on, że pokoju nie da się utrzymać wiecznie. Zresztą, co znaczy pokój? Nic innego, jak tylko stan przejściowy pomiędzy jednym konfliktem a drugim. Do tej pory wygrywał dzięki żelaznej zasadzie: nie ustępował, parł do przodu jak taran, zmiatając pomniejsze przeszkody z drogi. Austria, Sudety, Czechosłowacja – to dopiero początek. Wojna z Polską da odpowiedź na zasadnicze pytanie – jak przygotowana jest niemiecka armia. Te wszystkie nowinki wdrażane przez generałów, począwszy od nowych rodzajów sprzętu po zupełnie nowatorską doktrynę wojenną... No cóż, zobaczymy, co z tego wyniknie.

Od dawna trapił go – i nie tylko jego – problem ze wskazaniem właściwego przeciwnika na początek: Polska czy Francja? Wybór tylko na pozór był prosty. Paryż wydawał się o wiele większym zagrożeniem. Z nowoczesną, zmotoryzowaną armią i rozbudowanym lotnictwem, zapewne okazałby się trudnym rywalem. Nagły i niespodziewany atak stawiał co prawda Wehrmacht w lepszej pozycji, jednak wiadomo było, że Francuzów wesprze Warszawa. Polacy nie usiedzą w miejscu, o nie. Związani z Paryżem sojuszem wojskowym, na pewno przystąpią do działania. Od dawna słyszał pogłoski, że chcą to zrobić wręcz prewencyjnie, ale na konkretne informacje jego ludzie jakoś nigdy się nie natknęli. Wniosek płynął z tego jeden – albo konkrety znała jedynie garstka osób, albo ich w ogóle nie było. Jakoś nie miał ochoty sprawdzać tych plotek i ostrzeżeń, więc na pierwszy ogień musiała pójść Polska. Zobaczymy, jakie działania podejmie Paryż i Londyn, by wesprzeć sojusznika...

Podjął przerwany wątek, uderzając w podniosły ton:

– Walczymy o bezpieczeństwo naszego narodu, o naszą przestrzeń życiową, o to, żebyśmy nie musieli słuchać gdakania innych. Wojna może trwać, ile będzie trzeba. Niemcy nie skapitulują nigdy! Pokażemy tym panom, do czego jest zdolny osiemdziesięcioletni naród. Pokażemy naszą potęgę!

Jeszcze kończył zdanie, a salą już wstrząsnął burzliwy aplauz. Pozwolił sobie na lekki uśmiech. Prawie dobiegł do końca. Jeszcze mocna pointa i pora wracać do Berlina, gdzie czekały niedokończone sprawy. Nabrał powietrza do płuc, kiedy wskazówki zegara dobiły do 21.20. Tego, co chciał powiedzieć, już nie dokończył. Jakaś straszliwa siła cisnęła nim o mównicę i sterczące z niej mikrofony, bo przemówienie transmitowało na żywo niemieckie radio. Zanim zdołał zasłonić twarz rękoma, zmiotło go z podium razem z deskami, kablami, pulpitem i kawałkami gruzu. Przez głowę przeszła mu myśl, by spojrzeć za siebie, gdzie udrapowana krwistoczerwona flaga z białym kołem i wpisaną w środek swastyką kryła filar piwiarni. Nie zdążył. Wążący tonę fragment stropu oraz balkon, na którym zasiadali starzy bojownicy, runął z łoskotem, grzebiąc Führera tysiącletniej Rzeszy i jego sny o potędze.

Do środka dochodziło mało światła – tyle tylko, ile przedarło się przez niewielkie prostokątne otwory pod sufitem. Niektóre z nich otwarto, dwa czy trzy wybite pełniły funkcję dodatkowych wywietrzników, a i tak zaduch panujący w pomieszczeniu był trudny do wytrzymania. Resztę przestrzeni oświetlały gołe żarówki zwisające na kablach. Bez nich mrok okryłby piwniczne katakumby, a widzowie niewiele by dostrzegli. W takich warunkach trudno mówić o przytulności, lecz nie o nią tutaj chodziło. Bo czy można wyobrazić sobie walkę sezonu toczoną w klimatyzowanej sali przy widzach ubranych w najlepsze świąteczne ubrania i wymieniających ciche uwagi? Nie. Jego wyobraźnia nie sięgała tak daleko. Zresztą, co by to była za przyjemność. Prawdziwe emocje pojawiały się pomiędzy odrapanymi i pokrytymi liszajami ścianami, skąd wyniesiono na zewnątrz większość szaf i sprzętów, aby zrobić więcej miejsca dla koneserów tego najbardziej szlachetnego ze wszystkich sportów.

– Lewym go! Lewym i unik!

Dobre rady latały w powietrzu niczym najnowsze osiągnięcia polskich konstruktorów lotniczych. Stojąc pośród nich, można było odnieść wrażenie, że entuzjaści boksu są najbardziej krwiożerczymi stworzeniami na ziemi.

– Unik, mówię! Ehm...

Otyły jegomość w kaszkiecie i wyświechtanej kamizelce nagle poderwał obie ręce do góry.

Elegant w płaszczu z laseczką w porę odchylił się do tyłu,

przestawiając nogę tak nieszczęśliwie, że nadepnął kogoś stojącego za nim.

– No coś pan...

Bąknął niewyraźne przeprosiny, starając się nic nie uronić z obserwowanego widowiska.

Tłum zafalował, kiedy jeden z zawodników przyparł drugiego do narożnika i obsypał gradem ciosów.

– Dobij go! Dobij go!

Sympatia około pięciuset widzów wyraźnie znajdowała się po stronie miejscowego osiłka i dotychczasowego czempiona warszawskiego Powiśla. Jego przewaga była widoczna już na pierwszy rzut oka. Cięższy o dobre kilka kilogramów, imponował potężnymi ramionami wyrobionymi od dźwigania cegieł na budowach, chociaż sięgające kolan spodarki skrywały cieniutkie nóżki. Pod koszulką na ramięczkach wyraźnie rysował mu się brzuch, którego mięśnie najwyraźniej nie chroniły korpusu, ale nie było to potrzebne – jak dobrze pójdzie, wykończy przeciwnika w trzeciej rundzie i zostanie głównym pretendencem do tytułu mistrza stolicy.

Niestety. Gong obwieścił koniec rundy i zawodnicy rozeszli się do narożników, to znaczy dryblas oderwał się w końcu od maltretowanej ofiary. Rozdając całusy i pozdrowienia szalejącej publiczności, zrobił triumfalne kółko po ringu, a chłopiec do bicia tymczasem powlókł się w stronę trenera i sekundantów. Nie patrzył na nikogo. Z twarzy ściekał mu pot. Zlepione ciemne włosy opadały strąkami na czoło. Kiedy już wypłuł ochraniacze na zęby, przy okazji rozbryzgując kropelki krwi, widać było potworne zmęczenie. Brał baty. To zdecydowanie nie był przeciwnik dla niego. Wyglądał na studencika o większym zacięciu do książek niż do boks. Ściągnięte cierpieniem oblicze nie pozostawiało wątpliwości, jak to wszystko się zakończy.

– Już po walce – zawyrokował grubasek, odwróciwszy się

do eleganta, którego chwilę wcześniej o mało nie znokautował.

– Tak pan myśli? – odparł elegant bardziej z grzeczności niż z chęci podtrzymania rozmowy.

– Panie, nie takie walki oglądałem.

– Naprawdę?

– Kogo oni tu przysłali? – biadolili dalej właściciel kamizelki i kaszkietu. – Aż dziw, że ustał tyle.

– Dobrze pracuje na nogach – ostrożnie stwierdził elegant.

– A co mu to da? Tu, panie, trzeba mieć cios. Rozumiesz pan? Bez tego ani rusz.

– Rozumiem.

Dalsze dywagacje przerwało wezwanie do walki.

Sędzia w białej koszuli i czarnej muszce pod szyją dał znak i przeciwnicy skoczyli ku sobie.

Miejscowy, wykorzystując dobrą passę, postanowił definitywnie zniszczyć studencika. Od początku nastawiony na atak, znowu ruszył jak szarżujący buhaj. Pracował głównie lewym prostym. Po paru ciosach, kiedy już zdawało się, że to koniec, mocno poobijany adversarz nieoczekiwanie przystąpił do kontrataku. Za cel wybrał korpus. Parę trafień w otłuszczony brzuch wystarczyło, żeby garda osiłka odruchowo zjechała w dół, chroniąc bolące miejsce. Przeciwnik natychmiast to wykorzystał.

Prawy sierpowy uderzył z siłą młota raz i drugi. To jeszcze dało się wytrzymać, ale lewego prostego w szczękę już nie. Dla zawodnika Powiśla światła zgasły. Ciało osunęło się na deski z głuchym stęknieniem.

Publika początkowo zamarła. Nie do wszystkich od razu dotarło, co się stało. Musiała upłynąć dobra chwila, zanim nieliczne ciche wiwaty przeszły w pozbawione entuzjazmu brawa, zagłuszane gwizdami zawiedzionych. Walka była niczego sobie, tylko pechowy koniec nie pozwalał w pełni się nią cieszyć. Sędzia ogłosił wynik. Ręka studenta, wciąż

jeszcze w rękawicy, poszybowwała do góry w geście ostatecznego zwycięstwa.

Elegancik zmrużył oczy, łagodnie uśmiechając się pod nosem. Wynik pojedynku jakoś szczególnie go nie zaskoczył. Dziwne raczej, że trwało to aż tak długo. Przewidziane pięć rund większości wydawało się trochę na wyrost, bo prawie we wszystkich zakładach stawiano na miejscowego pięściarza. To jednak był boks i wszystko mogło się zdarzyć, czego nie potrafiło zrozumieć kilku z tych, którzy stracili pieniądze, ani miejscowa żulia wciąż domagająca się zmiany werdyktu.

Przeciwnicy zeszli w końcu z podestu i znikli pomiędzy sekundantami i trenerami.

Widzowie powoli ruszyli w drugą stronę. Na zewnątrz prowadziły tylko jedne drzwi i chcąc nie chcąc, tłum skłębił się jeszcze bardziej. Trzeba było mieć oczy dookoła głowy. Zwłaszcza lepkie palce kieszonkowców potrafiły wyczyniać cuda, a szansa na odzyskanie utraconego portfela czy zegarka była bliska zeru.

Szykowny koneser boksu przepchnął się w końcu przez ciżbę i wyszedł na ulicę. Znalazł się na Kasztelańskiej. W najbliższym sąsiedztwie ciągnęły się wyłącznie magazyny, dopiero po kilkuset metrach przechodzące w dziewiętnastowieczne czynszowe kamienice. O złapaniu dorożki w takim miejscu nie było co myśleć. Ruszył żwawo w kierunku centrum, pozostawiając za sobą większość towarzystwa. Podkute blaszkami zelówki stukały miarowo o bruk, podobnie jak laska, którą energicznie wymachiwał – ze stalowym okuciem na końcu i srebrną rączką w kształcie głowy orła.

Doszedł do pierwszej kamienicy, zastanawiając się nad najlepszym skrótem. Przez Karową powinien szybko dojść do bardziej zaludnionych okolic.

– Przepraszam, szanowny pan ma ogień?

Za dnia, i to o wczesnej porze – dopiero dochodziła szesnasta – dwóch obwiesiów stało w mroku pomiędzy ścianami domów. Elegant spojrzał za siebie – nikogo. Przed nim tak samo.

- Akurat tak się składa, że nie – zaryzykował odpowiedź.
- Nie szkodzi, weźmiemy co łaska – odrzekł wyższy z meneli.

W końcu wyszli z cienia. W brudnych marynarkach i poplamionych spodniach wyglądali na świeżo oderwanych od prac interwencyjnych organizowanych przez premiera Składkowskiego.

Wokół nich unosił się alkoholowy odór przemieszany ze smrodkiem niemytych ciał. Ich wiek był trudny do określenia. Zarośnięte twarze mogły należeć zarówno do trzydziestolatków, jak i do osób o dwadzieścia lat starszych. Na dobrą sprawę, gdyby teraz zaczął biec, nawet by nie spróbowali pościgu. Wyglądali na takich, co wolą przestraszyć ofiarę samym swoim wyglądem, niż gonić ją po opłotkach. Rozważył pomysł wręczenia obu drobnej kwoty, ale zaraz przyszła refleksja – po pierwsze: dlaczego miałyby to robić, po drugie: kto powiedział, że parę złotych wystarczy. Uciekać również nie chciał. To absolutnie nie leżało w jego charakterze.

- Najlepiej będzie, jak już pójdę.
- Zaraz, zaraz. Nie tak szybko.

Wyższy stanął przed nim, a kurdupłowaty odciął mu drogę odwrotu.

- Chcecie wylądować u przewodnika?
- Nie strasz.

W dłoniach stojącego przed nim mężczyzny błysnął rzeźnicki nóż.

- Wyskakuj...

Reszta zdania zamarła w gardle bandyty, kiedy łaska użyta jako pałka trafiła go w skroń, momentalnie pozbawiając

agresora przytomności. Nóż poleciał w błoto, a tuż za nim jego właściciel. Zwód w bok i okucie ze świstem poszybowało w górę.

– Ładnie tak nagabywać obcych? – zapytał niższego z dwójki napastników.

Na paskudnej gębie odbiło się zdumienie. Gardło wychrypiało coś niezrozumiałego, pomiędzy „uhmm” a „ehhy”.

– No, mów – zachęcił go elegancik.

– Nic.

– Tak mi się wydawało.

Pastwienie się nad słabszym to równie paskudna cecha charakteru jak ubliżanie bliźnim.

– Idź już i zabierz kolegę.

Odwrócił się, nie spodziewając ataku. I tu popełnił błąd. Widać miłosierdzie powinno mieć granice. Pchnięcie w plecy sprawiło, że poleciał do przodu, ledwie łapiąc równowagę. Nie docenił zasańca. Dla pewności skoczył w przód, by zachować dystans. Kurdupel próbował podciąć mu nogi. O nie, bratku, nic z tego. Laska ponownie zaśpiewała pieśń bólu i trafiła w środek głowy napastnika. Teraz stanął pewnie na obu nogach i poprawił, waląc na odlew przez grzbiet, aż stęknęło. Podobna przygoda spotkała go dawno temu, jeszcze... No, nieistotne. Na wspominki przyjdzie pora później.

Przejrzał kieszenie obu nieprzytomnych mężczyzn w poszukiwaniu dokumentów. Istniała szansa, co prawda niewielka, że to nie zwykli kryminaliści, ale ludzie przez kogoś nasłani, chociaż żenująco amatorski poziom napadu na razie nie wskazywał na jakichś zleceniodawców. Niestety, nie znalazł nic poza paroma złotymi w bilonie, lepiącym się od brudu grzebieniem i wyszczerbioną brzytwą. Zostawił wszystko obok nieprzytomnych napastników. W przelocie sprawdził godzinę na chronometrze przytwierdzonym

misterną dewizką i ukrytym w kieszonce kamizelki. Jak na tak wczesną porę, sporo dzisiaj widział i zrobił.

W końcu otrzepał dłonie i nieco utykając na lewą nogę, poszedł przez siebie. Rwący ból kostki odezwał się zupełnie niespodziewanie. Chyba krzywo stanął, na co w trakcie walki nie zwrócił uwagi. Trudno. I tak wykpił się tanim kosztem. Dobrnął w końcu w bardziej cywilizowane rejony i rozejrzał się za środkiem transportu. Oczywiście, jak na złość, nic nie jechało. Na dodatek pomiędzy rzucającymi głęboki cień murami zrobiło się nieprzyjemnie zimno. Po długiej i nad wyraz mroźnej zimie przełomu 1940 i 1941 roku wiosna jakoś nie chciała przyjść. Tych parę ciepłych dni sprawiło jedynie, że spod śniegu usypanego w wielkie pryzmy zaczęła się sączyć woda, tworząc gigantyczne, zamarzające nocą kałuże. Z dachów jak stalaktyty zwisały olbrzymie sople lodu, grożąc natychmiastową śmiercią każdemu, kto nieopatrznie stanie pod nimi, kiedy będą z trzaskiem spadać.

Przez bójkę nie zauważył zaschniętych plam błota na płaszczu. Wielka szkoda, że tak upačkał okrycie. Wanda znów będzie miała pretensje. Jak on to u niej lubił... Co najmniej jakby to ona sama wykonywała wszystkie domowe prace, a nie gospoia. Ach, Wanda... Jako nowoczesna kobieta przez jakiś czas piastowała stanowisko redaktorki najstarszego polskiego czasopisma dla pań „Bluszcz”. Znała się na tym, ale prawie zawsze robiła coś zupełnie przeciwnego, niż powinna.

To niesamowite, jak szybko potrafiła zmieniać zdanie. Podobne zachowanie w jego fachu uznano by za skrajnie nieodpowiedzialne. Przez nią o mało nie stracił posady. To znaczy właściwie ją stracił, lecz przywrócono go do służby, kiedy wszyscy zaczęli trząść portkami ze strachu. Do obrażonej żony ministra Becka dotarł w końcu prosty fakt, że osobiste animozje muszą zostać odsunięte na bok w sytuacji, gdy stawką jest los całego państwa i niezawisłość kraju.

Cokolwiek by mówić, urazy pozostały i odbijały się czkawką podczas spotkań towarzyskich. Obie panie unikały się jak ognia i obgadywały ile wlezie na wszelkiego rodzaju rautach i balach, obu zaś mężom – skoro nie byli w stanie nic z tym zrobić – pozostało tylko zachowywać stoicki spokój.

W końcu zauważył dorożkę i gwizdnął na fiakra.

– Moniuszki 8.

– Jak łaskawy pan każe.

Świsnął bat i zabiedzona szkapina truchtem pociągnęła brukowanymi ulicami kolebiącą się na resorach dryndę. Stukot podków o bruk usypiał i gdyby nie zimno wciskające się za poły płaszcza, gotów był usnąć na wytartej kanapie. Przez chwilę chciał poprosić woźnicę o postawienie budy, ale w końcu zarzucił ten pomysł. Jeszcze kilkaset metrów i będą na miejscu.

Przed wejściem do Adrii kręciło się niewiele osób.

– Tadeusz! Tutaj!

Najwyraźniej już na niego czekano. Wręczył dorożkarzowi pięć złotych i zszedł na chodnik, gdzie od razu wpadł w objęcia kolegi.

– Władek, witaj!

– Jak było?

– Widziałem jednego z twoich orłów w akcji.

– Bagińskiego?

– Tylko on dzisiaj walczył.

– Dał radę?

– Dopiero w trzeciej rundzie.

Pomaszerowali w kierunku wejścia do lokalu, nie przerywając ożywionej rozmowy.

– W trzeciej? – w głosie Władysława Kalkusa zabrzmiało rozczarowanie. – Myślałem, że jest lepszy.

– Moim zdaniem to tylko taka poza – wyjaśnił elegant. – Trochę pobawię się z przeciwnikiem, a kiedy już utwierdzę go w przekonaniu, że jest dobry, spuszczę mu łomot, aż miło.

– A jednak... – Kalkus nie wyglądał na przekonanego. – Po co to wszystko?

– Taktyka. Czasami się przydaje. No, chyba że jesteś zwolennikiem frontalnego ataku.

– Stolik mamy w kącie, tak jak chciałeś – kiedy już przeszli przez szatnię, Kalkus pociągnął towarzysza w odpowiednim kierunku.

Przed nimi rozpostarło się obszerne wnętrze Adrii, ulubionej restauracji warszawskiej socjety, przepelnione blaskiem philipsowskich lamp, gwarem rozmów i śmiechów, kłębamii szarosinego dymu z papierosów, cygaretek, fajek i cygar. Przebili się skrajem głównej sali pomiędzy stolikami, gdzie zabawa trwała już w najlepsze, a pustymi miejscami z oznaczeniem rezerwacji.

Spotkanie w takim lokalu nie miało w sobie nic z konspiracji, po prostu chciał pogadać, najlepiej nieformalnie. Oczywiście, mógł zaprosić do swojego biura zarówno generała brygady Władysława Kalkusa, dowódcę polskiego lotnictwa w Ministerstwie Spraw Wojskowych, jak i generała brygady Józefa Zająca, inspektora lotnictwa i naczelnego dowódcę lotnictwa i obrony przeciwlotniczej, jednak w tym przypadku wołał rozmowę na zupełnie prywatnym gruncie.

Obaj lotnicy, przybyli do Adrii prosto ze swoich urzędów, zadawali szyku pełnym umundurowaniem. Tylko on występował po cywilnemu, chociaż również miał stopień generalski.

Awans otrzymał zupełnie niedawno, zaledwie pół roku wcześniej.

Przywitał się z inspektorem lotnictwa, wymieniając mocny uścisk dłoni.

– Nie wyglądasz najlepiej – Zajac pierwszy zaobserwował lekkie podenerwowanie organizatora spotkania, Tadeusza Pełczyńskiego, szefa Oddziału II Sztabu Głównego, czyli wywiadu i kontrwywiadu.

– Mała przygoda.
– O czym mówisz?
– Napadli mnie, gdy wracałem z walki – nie chciał wchodzić w szczegóły. – Trzy wódki – to do kelnera.

– Zameldowałeś, komu trzeba?
– Po co?
– To może być sprawa polityczna – Kalkus nie mógł usiedzieć na miejscu.

– Daj spokój, Władek – Pełczyński machnął ręką, wodząc wzrokiem po parkiecie.

Niedługo byle bijatykę podciągniemy pod wybryk natury politycznej.

– Swoją drogą, sprawcom należy się kara.
– Już ją odebrali.

Garson, zręcznie balansując tacką, przyniósł i postawił przed każdym z nich mocno zmrożone kieliszki z wódką Baczewskiego. Za nim przyszedł kierownik sali i wręczył im menu, wychodząc ze słusznego założenia, że nie przyszli tutaj wyłącznie na pogawędkę.

– Służę uprzejmie.
– Jeszcze raz to samo – zaproponował Kalkus.
– Pewnie – ochoczo podchwycili pozostali. – Nad resztą się zastanowimy – na razie zbyli kelnera.

– A teraz powiedz, po co ci Bagiński? – zapytał inspektor. – Chcesz nam podebrać chłopaka, a to prawdziwy zdolniacha.

– Właśnie takiego potrzebuję – Pełczyński podsunął sobie popielniczkę, drugą ręką szukając papierosów. – Jest dobrym zawodnikiem...

– Raczej nie dlatego. Podobnych możesz mieć na kopy – nie dał mu dokończyć Zajac.

– Skończył politechnikę z czołową lokatą i Szkołę Podchorążych Lotnictwa. Specjalizacja – silniki lotnicze. Taki młody, a zdążył już wziąć udział w próbach dokończenia nieszczęsnego silnika Foka i w pracach studyjnych nad

motorami Waran czy Legwan, a po godzinach jeszcze przynosił herbatę konstruktorom turbiny gazowej do silnika Cirrus – szef wywiadu znakomicie orientował się w zawilosciach lotniczego żargonu. Sprawnie się nim posługiwał, co nieraz wprawiało rozmówców w zakłopotanie.

– Trochę o tym słyszałem – odparł niepewnie generał Zając.

Tłokowy silnik Foka do zabudowy na PZL-38 Wilk niestety nie stanowił przełomu, gorzej – okazał się kompletną klapą. W dodatku garbata konstrukcja płatowca najwyraźniej była za ciężka jak na ten napęd. Kilka latających egzemplarzy myśliwca pościgowego, jak sklasyfikowano maszynę, mogło tylko stać się materiałem wyjściowym dla kolejnych konstrukcji. Z tego, co pamiętał, nosiły one nazwy Lampart i Ryś. Jednak nie to stanowiło główny przedmiot zainteresowania szefa wywiadu. Od 1932 roku w Warsztatach Doświadczalnych Państwowych Zakładów Inżynierii „Ursus” zespół konstruktorów prowadził prace nad pulsacyjnym silnikiem odrzutowym. Eksperymenty to wszczynano, to przerywano, w zależności od funduszy. Faktem było jednak, że młody Bagiński brał w nich czynny udział. Co prawda jako pomocnik, ale zawsze. Tę wiedzę można było wykorzystać zupełnie gdzie indziej. Od paru miesięcy do II Wydziału docierały pogłoski o próbach w locie samolotu o wyjątkowych parametrach – i to skąd? Ano z samej Moskwy. Zdecydowanie należało się przyjrzeć tej sprawie z bliska. Rzecz w tym, że pierwszy lepszy wywiadowca bez odpowiedniego przygotowania technicznego na pewno nie sprostaby zadaniu. Co innego specjalista pokroju Bagińskiego. Akurat nadarzała się znakomita okazja – do polskiej ambasady w Moskwie miał zostać oddelegowany nowy attaché. Poprzednika Sowietci odesłali jeszcze w 1940 roku pod zarzutem – jakżeby inaczej – szpiegostwa. Po konsultacjach i namysłach zdecydowano się

na olimpijczyka i kawalerzystę majora Henryka Dobrzańskiego, wychodząc z założenia, że koniarz, na dodatek tak utytułowany, znajdzie wspólny język z „czerwonymi specjalistami od szabli” Budionnego. Od nich już tylko krok do kremłowskiej wierchuszki. No, zobaczymy. W każdym razie nic nie stało na przeszkodzie – przynajmniej taką miał nadzieję – aby Dobrzańskiemu wysłać małą pomoc w osobie podporucznika Marka Bagińskiego. Chłopak miał łeb na karku i silne pięści, co właśnie udowodnił. Na dodatek doskonale znał język dzięki niańce, która pochodziła z Kijowa, skąd wyszła z polskim wojskiem w 1920.

Jeżeli nie on, to kto? Nikt inny nie przychodził Pełczyńskiemu do głowy.

Orkiestra Petersburskiego zagrała pierwszy tego wieczoru utwór, rozmowy nieco przycichły, a na obrotowej scenie rozpoczęły się występy. Zupełnie nie miał głowy do takich rzeczy. Ledwie trawił smętne tony zawodzącej artystki, nawet słynna pieśń Ordonówny zapewniająca, że „miłość ci wszystko wybaczy”, szlagier już kilku sezonów, pozostawiała go obojętnym. Za to obaj lotnicy, wręcz przeciwnie, zamarli zasłuchani i wpatrzeni w pieśniarkę.

Nie chciał im przerywać. Obracając w palcach pusty kieliszek, odpłynął myślami do gorącego sierpnia 1939 roku. Ciekawe, jak by to się wszystko skończyło, gdyby nie Georg Elser i mechanizm zegarowy, który ten stolarz umieścił w filarze pewnej monachijskiej piwiarni.

Wszyscy byli zgodni co do jednego – wojna wisiała wtedy na włosku. Mimo że nie pełnił wówczas funkcji szefa wywiadu, czasowo odsunięty na boczny tor, wiedział, jak ogromne siły zostały skoncentrowane na granicy. Nie wykonuje się takich ruchów wyłącznie w celu przestraszenia przeciwnika. Musiało iść za tym coś więcej. Naczelnny wódz Śmigły-Rydz rozważał przeprowadzenie powszechnej mobilizacji, która miałaby odstraszyć Hitlera. Na dodatek z

drugiej strony, ze wschodu, dochodziły wyraźne sygnały, że Sowieci mają zamiar przyłączyć się do ataku.

Stalin, jakkolwiek by był, wyglądał na zręcznego polityka lubiącego wyciągać kasztany z ognia cudzymi rękoma. Po śmierci niemieckiego Führera nieco się przyczaił, ale z jego strony wciąż trzeba było się spodziewać najgorszego. Na szczęście w świadomości polskich polityków również dokonał się przełom. Przyznane kredyty przekazano na zakup sprzętu dla armii i lotnictwa. To dzięki temu udało się sfinalizować umowę na dostarczenie stu sześćdziesięciu myśliwskich maszyn Morane-Saulnier MS.406 i stu lekkich bombowców Fairey Battle, co wydatnie wzmocniło siły powietrzne. Pierwsze transze przekazano jednostkom już w połowie września. III Dywizjon Brygady Pościgowej uzbrojono w nowe myśliwce Hawker Hurricane. Testowano również angielskie maszyny typu Supermarine Spitfire. Jeszcze jesienią zdecydowano się kupić kolejnych kilka sztuk i jednego, i drugiego typu. Akurat na tych kwestiach znał się słabo. Prawdziwi specjaliści siedzieli obok, zasłuchani w rzewne rzępolenie. Na takie tematy mogli rozmawiać godzinami. To głównie od nich zależało wycofanie z linii niespełniających wymagań P.7 oraz zatrzymanie w kraju części przygotowanych na eksport PZL P.24. Całkowicie zrezygnowano z przestarzałych LWS-4 Żubr, Fokkerów F VII i sporej części PZL-23 Karaś, na ich miejsce wprowadzając Fairey Battle i nowe typy Łosi. Jeżeli dodać do tego przyśpieszenie prac nad lekkim bombowcem PZL-46 Sum, myśliwskim Jastrzębiem i obserwacyjną Mewą, to polskie lotnictwo właśnie zyskiwało zupełnie nową jakość. I nie chodziło tutaj o pojedyncze latające prototypy, lecz o rozpoczynającą się produkcję seryjną. Natomiast aż do sierpnia 1939 roku nie było najmniejszych szans, żeby zdążyć ze wszystkim. Frachtowce „Lassell” i „Clan Menzies”, które już wyszły z Liverpoolu, w związku z napiętą sytuacją

skierowano do Rumunii, biorąc pod uwagę możliwość zablokowania przez Kriegsmarine portu w Gdyni.

Mimo buńczucznych zapowiedzi w stylu „Silni, zwarci, gotowi!”, „Swego nie damy, wroga zwyciężymy!” czy piosenki:

*Marszałek Śmigły-Rydz,
Nasz dzielny, drogi wódz.
Nikt nam nie zrobi nic,
Nikt nam nie weźmie nic,
Bo z nami Śmigły, Śmigły
Marszałek Śmigły-Rydz*

prawda była taka, że dostalibyśmy w tyłek po paru tygodniach. Nikt nie chciał słuchać głosów rozsądku, chociażby zastępcy szefa Sztabu Głównego pułkownika Jaklicza. Panowała atmosfera tryumfu, jakbyśmy co najmniej już wdeptali Wehrmacht w piach, a polskie jednostki stały u bram Berlina. Sam marszałek nawet w poufnych rozmowach kreślił nader optymistyczny scenariusz wydarzeń, zakładający zmasowany atak Niemców i być może niekorzystną pierwszą fazę wojny, po której jednak zaraz nastąpi silna riposta zmobilizowanej do tego czasu Francji i sojuszniczej Anglii. W teorii może i brzmiało to realistycznie, praktyka jednak wyglądała zupełnie odmiennie.

Pieśniarka w końcu zakończyła występ, żegnana gromkimi brawami, a obaj dowódcy lotnictwa wrócili na ziemię z obłoków emocji, w których przed chwilą bujali.

– Niesamowita... – westchnął naczelny inspektor obrony powietrznej. Kalkus tylko przewrócił oczami. Pełczyński wołał sprowadzić rozmowę z powrotem na bardziej rzeczowe tory, przynajmniej na te parę minut, nim orkiestra znowu nie zacznie grać.

– Nie interesują was postępy Sowietów w dziedzinie

silników lotniczych?

Pytanie natychmiast przyciągnęło uwagę pilotów.

– Mamy rzucić Bagińskiego na pożarcie? – westchnął generał Zając.

– Po pierwsze – nikt go nie zna. Pochodzi spoza środowiska, co jest atutem...

– I tak, i nie – generał Kalkus zmarszczył brwi. – Większość sztuczek, które dla ciebie są abecadłem, dla takiego oficerka może się okazać zupełnie nowa. Pewnie da się wrobić w pierwszą lepszą prowokację.

– Posłuchaj, Władek... – Pełczyński powstrzymał dalsze obiekcje kolegi. – Zanim wyszkolę specjalistę o podobnej wiedzy, upłyną miesiące, a druga taka okazja nieprędko się zdarzy. Sowiety to nie jest normalny kraj.

– Eee...

– Nie machaj mi tu ręką. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że tam nawet w ruchu wewnętrznym obowiązują paszporty! Ma to na celu powstrzymanie napływu chłopów do miast, lecz skutek jest taki, że każda nowa osoba jest od razu zauważana, a jej obecność odnotowuje policja i NKWD.

– Nie jest chyba aż tak źle?

Nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć. Na samym początku sam z niedowierzaniem przyjmował meldunki napływające do Referatu Wschód. Wiedział, że Rosja sowiecka to państwo totalitarne jak żadne inne, gdzie wszystko odbywa się pod ścisłą kontrolą partii bolszewickiej.

Nawet Niemcy Göringa nie mogły się z nią równać, chociaż potrafił wskazać wiele podobieństw.

Gdyby nie śmierć poprzedniego Führera, sprawy w III Rzeszy zaszłyby pewnie znacznie dalej, a tak Niemcy co prawda dalej gotują się w sosie narodowego socjalizmu, jednak teraz ma on oblicze dobrotliwego premiera Prus, marszałka Luftwaffe, a obecnie kanclerza. Z nim przynajmniej daje się jakoś porozumieć.

Pełczyński doskonale pamiętał wizytę czeskiego prezydenta Emila Háchy w Warszawie podczas gorącego lata 1939 roku, kiedy to pod naciskiem Francji zdecydowaliśmy się w końcu związać sojuszem z Pragą. Po niespodziewanej śmierci Hitlera poczuliśmy się na tyle silni, by zdecydowanie tupnąć nogą. Czesi co prawda nie odzyskali tego, co utracili w 1938, ale mając za plecami przyjazną im Polskę, usztywnili stanowisko wobec Berlina.

Sojusz z Pragą nie wychodził nam jednak na dobre i odbijał się czkawką. Szczególnie Budapeszt, jeden z naszych najlepszych partnerów, przyjął z niesmakiem zbliżenie Warszawy z kolejnym po Rumunii państwem należącym do antywęgierskiej Małej Ententy. Na szczęście – albo i na nieszczęście, jak twierdzili niektórzy – Polska stała się jednym z głównych rozgrywających w tej części świata i wszyscy musieli się z nią liczyć. Wskutek jej zabiegów zaczęło powstawać coś na kształt wymarzonej przez Piłsudskiego federacji. Zaczynając od Estonii i Łotwy na północy – pomijając Litwę – poprzez Czechy, Słowację, Węgry i Rumunię, powoli i w wielkich bólach, pomimo wielkich wzajemnych animozji, tworzył się jeden organizm federacyjny z Polską jako liderem. Następną dekada miała okazać się decydująca dla funkcjonowania owego eksperymentalnego jeszcze tworu.

– Trudności, jakie napotykałyśmy, starając się zinfiltrować rosyjskie społeczeństwo lub chociażby do niego przeniknąć, są olbrzymie. W zaufaniu powiem, że wysłaliśmy w ciemno paru agentów... Sami ochotnicy – zastrzegł zaraz Pełczyński. – Wszelki słuch po nich zaginął.

Rozumiecie? Nie mamy żadnego sygnału, co się z nimi stało. Czy są w więzieniu, czy gryzą piach.

Nic, absolutnie nic nie wiadomo.

Obaj lotnicy nie zdawali się szczególnie przejęci. Te problemy zupełnie ich nie dotyczyły.

Co tam gra wywiadów, skoro w głowach mieli modernizację sił powietrznych, która czasami przekraczała siły i zdolności i jednego, i drugiego.

– Jeżeli chłopakowi coś się stanie... – zastrzegł Kalkus.

– Niczego nie obiecuję. Zresztą, o ile wiem, w Dęblinie produkujecie takich na pęczki.

– Dopiero co udowadniałeś, że ten jest wyjątkowy. Zresztą, od kiedy szkolimy naszych przyjaciół – Kalkus wymownie zerknął na kolegę – unikam wizyty w tamtych okolicach.

– Tłok?

– Stare sale dydaktyczne przestały wystarczać. Jest taki ścisk, że nie masz pojęcia.

– Kursanci z zagranicy chyba płacą za naukę?

– Owszem, płacą, ale nie na wszystko starcza, a postawienie nowego budynku koszarowego nie jest tanie – Kalkus niczym buchalter zaczął wyliczać koszty. – Samoloty, szkolenie, instruktorzy, paliwo. Wszyscy chcą być pilotami, gorzej z obsługą radia, nawigatorami, bombardierami, strzelcami pokładowymi, o mechanikach nie wspomnę. Popularne czasopisma napędzają koniunkturę. Zresztą sam wiesz, co ci będę mówił.

Pełczyński powoli skinął głową. Problemy, o których mówił generał, wpisywały się w smutną prawdę, że ciągniemy cały ten wózek. Chcieliśmy? To mamy. Na dłuższą metę ekonomicznie nie damy rady, chociaż kto wie. Minister Kwiatkowski w każdym razie był dobrej myśli, a podczas przemówień tryskał optymizmem i dobrym humorem, zagrzewając wszystkich do wytężonej pracy.

Powoli robiło się sennie. Alkohol i ciepło panujące wewnątrz lokalu usypiały bardzo skutecznie, prawie tak samo jak laudanum. Pora wracać do domu. Wytargował, co chciał. Dalej wszystkim mieli pokierować odpowiedni ludzie z dyplomacji. Jeżeli nada bieg sprawie teraz, w połowie marca, to za tydzień, góra dwa Bagiński powinien trafić do

Moskwy. Jak na razie sam zainteresowany nic o tym nie wiedział. Dowie się jutro i raczej nie zrezygnuje, usłyszawszy propozycję nie do odrzucenia. Jeżeli osiągnie sukces i sprawdzi się w polu, czeka go awans i dobre stanowisko. Jeśli nie – płakać po nim nie będą. Wróci do latania bądź dłubania w motorach, ewentualnie dalej w ramach sportowej pasji będzie obijał głowy na bokerskich ringach.

– Dobra, co my tutaj mamy...

Nieład panujący na biurku dowódcy 111 Eskadry Myśliwskiej kapitana Gustawa

Sidorowicza przywodził na myśl stajnię Augiasza. Dokumenty, gazety i tekturowe segregatory, spiętrzone w chybotliwe stosy, w każdej chwili groziły rozsypaniem się po podłodze.

Bagiński obserwował krzątanię, starając się, by na jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień. Ubrany w skórzany, nieco workowaty lotniczy kombinezon, w lewej ręce trzymając pilotkę i gogle, wodził wzrokiem za gwałtownymi ruchami kapitana, który z typową dla nerwusów ekspresją przerzucał papiery.

– Zrobili z nas gońców.

– Tak jest, panie kapitanie.

Sidorowicz przerwał krzątanię, by lepiej przypatrzyć się podporucznikowi. Wzrost ledwo pod 1,70 m, waga – tu już lepiej, walczył w końcu w średniej, co przekładało się na prawie 72 kilogramy mięśni, kości, ścięgien i co tam jeszcze człowiek ma w środku. Twarz – nad tym już nie chciał się rozwodzić. Ostatecznie żona bardzo polubiła Bagińskiego, na którego wpadła niby przypadkiem podczas niespodziewanej wizyty na lotnisku. Taa... Siniaki pod oczami nadawały Bagińskiemu wygląd osoby cierpiącej na chroniczne kłopoty ze zdrowiem, a było przecież zupełnie inaczej. Stał przed nim okaz zdrowia. Zwycięzca co najmniej czternastu walk, z których osiem wygrał przed czasem. I słusznie. Jak jest

dobry, to mu się należy. Na szczęście na posiniaczonym obliczu młodego pilota nie znalazł ani krzty kpiny.

– Na razie to będzie wasz ostatni lot.

– Nie rozumiem?

Po raz pierwszy w postawie podporucznika dało się wyczuć niepokój.

– A tak – Sidorowicz nie potrafił ukryć złośliwego uśmiešku. – Zostajecie przeniesieni.

Bagiński zmarszczył czoło.

Odpowiedź kapitana zupełnie nie przypadła mu do gustu. Co prawda wiedział, że zmiany nie są złe, a odmiana prawie zawsze okazuje się lepsza od stagnacji, ale wołał sam planować własne życie. I w ogóle jak to możliwe, że wcześniej o tym nie słyszał? Do awansu na pełnego porucznika zgodnie z rozdzielnikiem brakowało mu jeszcze kilku miesięcy. I nie chciał opuszczać Warszawy.

Jak na tym ucierpi jego kariera? Wysłany na prowincję, nie da rady pogodzić wszystkiego, nie mówiąc o kłopotach ze znalezieniem sparringpartnera na odpowiednim poziomie.

– Ja tam nic nie wiem – zastrzegł Sidorowicz. – Wszystko zostało załatwione ponad moją głową. Jedno, co mogę wam zaproponować, to wycieczka do Grodna i z powrotem. Jak już załatwicie sprawę pakietu dla Dowództwa Okręgu Korpusu, macie się zgłosić w Departamencie Spraw Osobowych. Na razie to wszystko. Możecie odejść.

Bagiński przyjął postawę zasadniczą.

– Aaaa, jeszcze oczywiście to... – kapitan wziął do ręki leżący tuż przed nim pakiet w kształcie koperty, owinięty w brązowy papier. – Jeżeli nie zdążycie dzisiaj wszystkiego załatwić, to możecie wracać jutro rano.

– Rozkaz.

Pakiet powędrował pod lewą pachę.

– Miłego lotu.

– Dziękuję.

Nie mówiąc nic więcej, wykonał obrót w tył i wyszedł z biura, uważając, by mimo poirytowania nie trzaskać drzwiami. Już na zewnątrz rozpiął kombinezon i schował kopertę do wewnętrznej kieszeni. Lubił latać, inaczej wcale by się za to nie zabierał, jednak wycieczka w otwartej kabinie pocziwej „jedenastki”, czyli PZL P-11c, kilkaset kilometrów w jedną stronę przy mocno szarym niebie z podstawą chmur gdzieś na tysiącu metrach i w temperaturze około ośmiu stopni, to nic przyjemnego.

Nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że Sidorowicz zrobił to specjalnie, a wszystko z tak błahego powodu! A on najzwyczajniej w świecie nie wiedział, kim jest dama napotkana przy wejściu na teren lotniska. Chciał być uprzejmy, nic więcej. Zapytał, co tu robi i czy przypadkiem nie pomyliła drogi, bo tak atrakcyjna osoba jak ona zupełnie nie pasuje do tego otoczenia. Żart wyraźnie rozbawił kobietę – na oko trzydziestoletnią, trochę przy kości, wciąż jednak niczego sobie. Z wystudiowaną elegancją wyciągnęła z torebki papierosy i kazała sobie podać ogień. Kiedy stanął obok, owiał go ciężki zapach wody kwiatowej, aż poczuł zawrót głowy. Benzynowa zapalniczka za żadne skarby nie chciała odpalić i o mały włos nie wyszedł na durnia. W końcu wesoły ognek zatańczył na wietrze. Sytuacja wyglądała na uratowaną. Przysunął się o pół kroku bliżej, przystawiając zapalniczkę do papierosa umocowanego w długiej szklanej fifce. Uniósł wzrok do góry, napotykać uważne spojrzenie. Raczej nie był święty. Uganiać się za kobietami również nie musiał. Leciały na niego, zwabione opinią świetnego sportowca i nieustraszonego pilota. Przez sekundę rozważał niepokojącą myśl. I w zasadzie już się zdecydował, kiedy z tyłu dotarło do jego uszu znaczące chrząknięcie. Jeżeli to któryś z kolegów...

Uśmiechnął się do damy i ostentacyjnie odwrócił głowę.

– O, pan kapitan...

– Owszem.

– Pan pozwoli... – chciał przedstawić stojącą obok damę. – To jest...

– Mojej żony nie musicie mi przedstawiać.

– Właśnie – powiedział zupełnie bez sensu, zaciskając usta.

Krótką wymiana zdań kosztowała Bagińskiego wiele nerwów i wciąż żywił wobec

Sidorowicza podejrzenia, że wyciąga konsekwencje z tego zajścia. Mści się, sukinsyn, choć nie ma za co. Nic się przecież nie stało. No, ale widać tak już jest świat urządzony. Pewnie maczał palce w tym przeniesieniu. Kto wie, czy to nie jego pomysł. Jeżeli nawet nie, to i tak pozbędzie się go z eskadry z czystą przyjemnością.

W czasie marszu skrajem pasa startowego tęsknym spojrzeniem obrzucił hangar, wewnątrz którego przez rozsuwane potężne wrota dawało się dostrzec myśliwce Morane-Saulnier MS.406 i Hawker Hurricane. Lot czymś takim to prawdziwa frajda. Kryte kabiny zapewniały komfort prawie jak w samolocie pasażerskim. Niestety, maszyny stały dobrze ukryte, nawet przed własnymi pilotami. Wyciągano je z hangarów tylko na specjalne okazje, okresowe szkolenia i przeglądy. Nie daj Boże, drogocenny sprzęt uległby zniszczeniu i trzeba by było wyasygnować dewizy na zakup następnych lub wymianę części. Czy te pacany w sztabie nie wiedzą, że tylko kiedy się lata, można dobrze poznać i wyczuć samolot? W czasie ostatniego roku zrobił na MS.406 najwyżej dziesięć godzin nalogu, a i to pod czujnym okiem Sidorowicza.

Na banalną wyprawę do Grodna musiała wystarczyć mocno zdezelowana szkapą przygotowywana przez mechaników przy drodze do kołowania.

– Coś pan, panie Marku, dziś nie w sosie.

Odpowiedzialny za przygotowanie nieco już wiekowej „jedenastki” starszawy mechanik z sumiastym wąsem

szlachciury i w poplamionym roboczym drelichu kończył sprawdzać ostatnie detale.

Bagiński z trudem stłumił wściekłość.

– Od rana się człowieka czepiają – odparł wykrętnie.

– Normalka. Nie zdążyłem pogratulować walki.

– Widział pan?

– Pewnie – mechanik przejechał szmatą po kołpaku śmigła.

– Chociaż parę razy mało brakowało... – pokręcił głową – Zwłaszcza z początku. Po co się pan tak odkrywał?

– Taktyka.

– Do dupy taka taktyka. Bardziej doświadczony przeciwnik i nokaut w pierwszej rundzie, ale nie dla pana, tylko dla niego.

– Mało prawdopodobne.

– Z boku to wszystko wygląda inaczej – mechanik wetknął szmatę do kieszeni, przeszedł pod skrzydłem i zaczął sprawdzać stery.

– Z mojej perspektywy również.

– Owszem. Jeszcze jedno panu powiem, panie Marku – więcej pracować na nogach. Zwód, unik i cios.

– Taki z was specjalista?

– Kiedyś, dawno... – rozmarzył się nieoczekiwanie starszy pan. – W dziewiętnastym, jak wprowadzaliśmy Albatrosy, pamięta pan? Taki ówczesny cud techniki.

– Jasne, że pamiętam – przytaknął trochę na wyrost.

Przypomniął sobie kształt maszyn i wysokie wycie silników z dzieciństwa, kiedy to pierwszy raz zobaczył samolot na własne oczy. Albatrosy D. III przejęte na podpoznańskim lotnisku w Ławicy stanowiły w pierwszych latach niepodległości trzon polskich sił powietrznych, toteż ich przeloty na paradach i pokazach stanowiły niebywałą atrakcję dla wszystkich.

– To właśnie wtedy był taki jeden w pułku, zwał się Liebermann, ale przezywali go Grabarz.

Pięchę miał jak bochen chleba i potrafił mocno uderzyć. Liczył wyłącznie na siłę ramion – tu na ogorzałym obliczu zagościł uśmiech rozmarzenia. – No i znalazł się w końcu taki, co nie dał mu się przestraszyć. Nabiegał się biedny Grabarz, a trafić nie mógł. Gdzieś tak w piątej, o ile dobrze pamiętam, tak, w piątej...

Bagiński wcisnął na głowę skórzaną pilotkę, dopiął kombinezon i założył rękawice.

– No mówię, już prawie nie nadążał, a wtedy... To co, odpalamy?

– Jasne, panie Felicjanie.

Wspiał się do kabiny.

Gaźnik strzelił kilka razy, zanim zaskoczył na dobre. Podporucznik poruszył drążkiem, sprawdzając wychylenie klap. Stopy oparte na orczyku. Dobra, wszystko gra. Dał znak, mocniej otwierając przepustnicę. Młodzi pomocnicy mechanika usunęli klocki oporowe spod kół podwozia i samolot potoczył się do przodu, by ustawić się na początku pasa. Oficer odpowiedzialny za ruch machnął białą chorągiewką i maszyna nabrała rozpędu. Najpierw uniósł się do góry ogon, później cała konstrukcja poszybowała w powietrze.

Na trzystu metrach, jeszcze podczas wznoszenia obrał kurs na północny wschód. Nawet bez wyciągania z silnika całej mocy przelot powinien zająć około godziny. No, chyba że dostanie czołowy wiatr, to i z półtorej będzie mało. Powoli wspiał się na pięćset metrów. Gdzieś tam przez warstwę oparu przebijały słoneczne promienie, przez co odnosił wrażenie brodzenia w świetlistej zawieszynie. Widoczność nie przekraczała trzech kilometrów, to jednak w zupełności wystarczało do najprostszej nawigacji według punktów orientacyjnych na ziemi. Musiał tylko co chwila porównywać mapę z charakterystycznymi miejscami, by wiedzieć, dokąd leci.

Być może dzień nie będzie stracony, jak na to wcześniej wyglądało. Dostał do dyspozycji dwa dni, a taką okazję należało przyzwoicie wykorzystać. Sidorowicz bynajmniej nie nakazywał mu wracać zaraz po zdaniu pakietu. Najlepsze, co może zrobić, to wynająć pokój w hotelu i zapoznać się z nocnym życiem Grodna. Jakieś towarzystwo na pewno się znajdzie. Może to i nie stolica, ale dziura zabita dechami też nie. Odetchnął głębiej. Więc postanowione. Jemu też należało się coś od życia.

Sprawa przeniesienia przestała mu ciążyć jak kamień. Stało się, trudno. Nie pora rozważać, czy dowódca eskadry maczał w tym palce, czy nie. Czuł się podobnie jak przed walką. Uczucie niepewności próbujące zdominować świadomość czało się tuż obok, gotowe wypełnić jaźń niechcianymi emocjami. Musiał, po prostu musiał sobie z tym poradzić. Im więcej myśli kłębiących się pod czaszką, tym ciężiej na sercu. Przełknął w końcu ślinę i chrząknął. Przeniósł wzrok ze szklanej owiewki na przyrządy, następnie spojrzał przez burtę w dół na zieloną płachtę lasu poprzetykaną a to szarą krechą drogi, a to burym wygonem pola. Od dawna żaden lot nie ciągnął się mu tak bardzo jak ten. Wreszcie w oddali pojawiła się wieża kościoła Bernardynów, zwiastująca bliski koniec udręki. Małeńki samolocik gładko zszedł na lotnisko, co w tym wypadku oznaczało w miarę równy pas trawiastej łąki.

Do Dowództwa Okręgu Korpusu nr III dojechał motorem, jaki oddano mu do dyspozycji na lotnisku. W kancelarii zdał pakiet, podbił rozkaz wyjazdu i w zasadzie był wolny. Długimi krokami przemierzył korytarze sztabu i już skręcał na schody, gdy wpadł na wchodzącego po nich oficera.

– Niech mnie, Zygmuś, to ty!

– Nic się nie zmieniłeś, Mareczku.

Zygmunt Rayski wyglądał jak ucieleśnienie wszelkich żołnierskich cnót. Znacznie wyższy od Marka, w mundurze

nie tak pogniecionym jak ten, który miał na sobie lotnik, z jasną blond czupryną, takąż bródką i wąsikami. Niebieskie oczy śmiały się wesoło do dawnego, choć od dłuższego czasu niewidzianego kumpla ze szkolnych lat.

– Co cię tu sprowadza?

– Służba.

– Na długo? – zapytał Rayski.

– Dlaczego pytasz?

– Musimy to uczcić!

Jak się zdawało, problem popołudnia i wieczoru właśnie sam się rozwiązał.

– Nie chciałbym robić ci kłopotu... – zastrzegł się Bagiński dla porządku.

– O czym ty mówisz? Poczekaj, zostawię papiery i zaraz możemy iść.

Zygmunt przyjacielsko klepnął go po ramieniu, mrugnął okiem i podążył do tej samej kancelarii, którą przed chwilą opuścił kolega. Wrócił stamtąd po jakiejś minucie, ujął pilota pod łokieć i pociągnął schodami do wyjścia z gmachu.

Najbliższa knajpa znajdowała się na rogu. Wspólnie uznali, że to lepsze rozwiązanie od wizyty w kasynie.

– Mów, co u ciebie? – pierwszy przepytывanie rozpoczął Rayski. – Z tego, co wiem, idziesz w górę. No, no. Kiedy zostaniesz mistrzem Polski? Masz spore szanse.

– W mojej wadze chodzi jeszcze kilku niezłych zawodników – wykręcił się od odpowiedzi Bagiński.

– Nie dasz im rady?

– Próbowaleś stoczyć chociaż jedną walkę?

Zygmunt pokręcił głową, robiąc na stoliku miejsce dla karafki i kieliszków.

– Znam przyjemniejsze sposoby spędzania wolnego czasu. – wyjął korek i nalał alkohol do naczyń z cienkiego szkła. – Widzisz, jestem odpowiedzialny za pobór koni do brygady. Jako pierwszy oglądam najlepsze okazy. Sam Podhorski

przychodzi popatrzeć, co mamy na stanie.

– Zygmus, motor to jest przeszłość, nie szkapa.

– Yyyy... Jak to mówią u nas: na zachód od linii Wisły to jak najbardziej, masz rację. Ale w tej okolicy dróg jest niewiele i nie najlepszej jakości. Im bardziej na wschód, tym gorzej. Ja wiem, z góry tego nie widać...

– Przesadzasz.

– Gdyby było inaczej, nie wygadywałbyś takich bzdur. Koń to przeżytek? Też coś.

Dla podobnych herezji w brygadzie nie znano litości. Jak pokazała ostatnia wielka wojna z bolszewikami, to właśnie jazda wykazała swą przydatność na polu walki. Manewr, tak ceniony przez strategów, bez niej nie byłby możliwy. Ułani, strzelcy konni i szwoleżerowie wciąż trzymali się mocno. Co prawda, część jednostek już spieszo, przestawiając je powoli na trakcję motorową, a plan restrukturyzacji przewidywał przesadzenie za kierownicę kolejnych pułków, wszelako na szczęście dla nich proces ten postępował powoli. Więcej się o tym mówiło, niż robiło, jako że tradycyjna jazda wciąż miała wielu zwolenników w Sztabie Głównym.

– Powiem ci coś, o czym zapewne nie masz pojęcia... – nie wiadomo jak i skąd obok karafki wylądował słoik z małosolnymi. – Próbowaliśmy pożenić jedno z drugim. Trochę podpatrzyliśmy u Niemców – kontynuował Rayski. – Efekt okazał się bardzo przeciętny: albo nawalały silniki, albo teren nie nadawał się do akcji, no a na wojnie poruszanie się jedynie drogami mija się z celem.

W dodatku musieliśmy płacić chłopom za straty, bo do starostwa wpływały skargi. Płatnik dostawał szału.

– A wy może nie robicie szkód? – niewesołe myśli Bagińskiego topniały z każdą minutą.

– My to co innego – Zygmunt rozłożył ręce szeroko na boki, jakby chciał objąć cały świat. –

Z siodła świat wygląda pięknie.

- Z kabiny samolotu zdecydowanie jeszcze bardziej.
- Wiesz, w życiu nie wsiądę do takiego wynalazku. To wbrew naturze i zdrowemu rozsądkowi. Wystarczy, że popatrzę na to przelatujące coś i już mam gacie pełne strachu.
- Nie opowiadaj – Marek starał się skryć uśmiech.
- Mówię serio – Rayski aż się wzdrygnął. – Raz byłem na pokazach i musiałem znaleźć dobrą wymówkę, by opuścić to miejsce. A nie pojechałem sam... Uch... – czknął kawalerzysta, przysłaniając usta dłonią.
- Koledzy musieli mieć ubaw.
- To nie byli koledzy, Mareczku – Rayski konspiracyjnie pochylił się ku przyjacielowi.
- W takim razie musi chodzić o kobietę.
- To bardzo porządna panna.
- Nie twierdzę inaczej.
- Porządna i urodziwa. Z baaardzo porządnej rodziny – osiągnięty już stan lekkiego upojenia nie wpływał dobrze na dobór słów ani wymowę.
- Miejskowa?
- Z Suwałk – śmiało przytaknął Zygmunt. – Familia wywodzi się z kurlandzkiej szlachty, uważasz?
- Naprawdę?
- A co, myślałeś, że ze mnie kiep?
- Skądże znowu.
- No – kawalerzysta spoważniał na chwilę. – Mam gdzieś tutaj zdjęcie – z kieszeni na piersi wyjął nieco pogniecioną fotografię i pokazał Markowi. Ten zaraz ocenił zjawisko okiem konesera.
- Pucołowate dziewczę z jasnymi loczkami, zadartym nosem i mocno maślanym spojrzeniem.
- Trudno było orzec, czy to obiektyw skradł pannie urodę, czy też tak wyglądała w rzeczywistości.
- Ha! Nie mówiłem?

- Hmm. Ma jakieś zalety?
 - Same, a ojciec prowadzi wzorcowy majątek – chętnie dodał Zygmunt.
 - Musisz być szczęśliwym człowiekiem.
 - Poczekaj trochę, to i ty się ustatkujesz.
 - Pewnie miałeś sporą konkurencję?
 - A muszę powiedzieć, że raczej nie – gdzieś z głębi jestestwa Rayskiego wypłynęła gorzka nuta. – Ale co tam.
- Pół godziny później do ich stolika przysiadło się jeszcze dwóch kumpli Zygmunta i rozmowa weszła na nowe tory. Artylerzysta i piechur mieli oczywiście własne zdanie na każdy temat. Dyskusję zdominowała polityka, przy czym wyrażane sądy stawały się ostrzejsze wraz z kolejnymi wypitymi flaszками.
- Będzie wojna – biadolił dowódca działonu.
 - Będzie – wtórował mu zastępca szefa batalionu.
 - Tylko z kim? – Bagiński nie bardzo potrafił wyobrazić sobie tę sytuację.
 - Jak to, z kim?! – artylerzysta zamrugał oczami, zdumiony pytaniem. – No, trudno powiedzieć, ale to już długo nie potrwa.
 - Przyznaj się lepiej, że gadałeś z Cyganką – Rayski przerwał mętny wywód.
 - Jeżeli nawet, to co z tego?
 - Nie będzie żadnej wojny, a my ugrzęźniemy na naszych stanowiskach na wieki wieków.
 - Ty chyba nie masz powodu do zmartwień. Weźmiesz ślub, teść zapewni ci utrzymanie na odpowiednim poziomie... Przecież nie da zginać córeczce.
 - A ja wam mówię: szybciej, niż się spodziewacie.
 - Ale co?
 - Jak nie z Niemcami, to z Sowietami.
 - Mamy układ o nieagresji z trzydziestego drugiego – bagatelizował Bagiński.

- Z Hitlerem podobno też mieliśmy.
 - No i nic się nie stało.
 - Ale mogło się stać! – huknął piechur. – Tylko było czekać na mobilizację. Już nas prawie wyprowadzili z koszar na pozycje. Dowodziłem wtedy kompanią – zamglone spojrzenie nabrało głębi, a bełkotliwe słowa ostrości żyletki. – Wszędzie panowała pewność co do jednego. Tanio skóry nie sprzedamy. Byliśmy gotowi na wszystko. W życiu nie widziałem tak zdeterminowanych chłopaków.
 - Mieliśmy sporo szczęścia – powiedział Marek.
 - Raczej te hitlerowskie przydupasy – orzekł artylerzysta. – Niech poczekają, jeszcze zrobimy z nich miazgę. O tak... – zacisnął pięści.
 - Pewnie myślą, że już po wszystkim. I niech tak myślą, ale my czuwamy.
 - Masz rację.
 - Pewnie, że mam.
- Z dalszej części tak przyjemnie rozwijającego się wieczoru Marek nie zapamiętał wiele.
- Także sposób, w jaki znalazł się w hotelowym pokoju, jakoś umknął jego uwadze. Spotkanie pozwoliło mu odprężyć się i zapomnieć o kłopotach, jednak wirowanie w głowie już zapowiadało koszmar następnego poranka.

3 MOSKWA

Z cichym stęknieniem wciągnął błyszczące cholewy wysokich butów. Zamiast w nich wolał chodzić w rozdeptanych skórzanych kapciach, ale jak się tu pokazać ludziom na oczy w czymś takim. Nic nie musieliby mówić, ich spojrzenia wyrażałyby wszystko. Gotowi dojść do wniosku, że się starzeje. Takich jak oni trzeba mieć stale na oku i co jakiś czas rozgrzanym żelazem przypominać, kto tu rządzi, patrząc, jak wiją się i skomlą.

Na plecy zarzucił szary płaszcz. Poprawił klapy, sięgnął po czapkę i wcisnął ją na głowę, nasuwając na oczy. Nie zaszczyciwszy spojrzeniem własnego odbicia w lustrze, ruszył do wyjścia.

Zakończył kolejny tydzień pracy, teraz pora na odpoczynek. Ręce założył do tyłu. Nie musiał przed sobą otwierać żadnych drzwi. Tę banalną czynność wykonywali członkowie jego ochrony osobistej i oficerowie NKGB. Z prywatnego mieszkania na Kremlu wyjeżdżał do podmoskiewskiego Kuncewa zażyć nieco spokoju.

Jak na kogoś o jego pozycji zachowywał pozory krańcowej skromności. Żadnego ostentacyjnego bogactwa. W końcu wszyscy obywatele państwa robotników i chłopów dzielili ten sam los, prawda?

Gdy zszedł do podstawionego packarda, którego otrzymał w 1935 roku od prezydenta Roosevelta, przystanął, z kieszeni trencza wyjął fajkę i zapalił ją zapalką. Tak myślało mu się o wiele lepiej. Parę razy cmoknął, zanim skrył się w zacisznym wnętrzu limuzyny. Samochód opuścił kompleks przez bramę

Spasską i nabrał prędkości. Z wiekiem, jak zauważył, ograniczał potrzeby fizyczne – za radą lekarzy mniej pił, nawet palenie mocnej machorki nie sprawiało mu takiej przyjemności jak niegdyś. Tylko apetyt na władzę miał wciąż nieograniczony. W końcu leninowskie dziedzictwo do czegoś zobowiązuje. Miliony śpiewały z wiarą, że „związek nasz bratni ogarnie ludzki ród”, lecz niestety, droga do tego celu wciąż pozostawała kręta i wyboista.

Zwłaszcza dwa państwa czające się na dwóch krańcach imperium czekały na każde jego potknięcie – Polska i Japonia. Kraje niby odległe od siebie pod każdym możliwym względem, a jednak połączone wrogością wobec pierwszego w świecie socjalistycznego państwa. To nieprawdopodobne, ile komunistycznej krwi potrafili napsuć. Bezustanny nacisk samurajów na Dalekim Wschodzie i ich ekspansja na wciąż nowe obszary Chin w końcu doprowadziły do konfrontacji. W oficjalnej propagandzie starcie przed paroma laty pod Chałchyn-Goł w Mongolii zostało ogłoszone wielkim zwycięstwem, tylko nieliczni wiedzieli, jakim kosztem je okupiono.

Dwa i pół miesiąca krwawych walk zakończyło się jednak pobiciem japońskiej 6 Armii. I oto teraz, żeby zapobiec bliskiemu, jak się zdawało, odwetowi, zaproponował Tokio krok bez precedensu – za parę dni ogłoszą pakt o nieagresji. Takiego obrotu sprawy nie spodziewał się prawdopodobnie nikt, a już na pewno nie Londyn ani Waszyngton. Mając uregulowane stosunki z Hirohito, bez większych problemów zajmie się tym, co go interesowało najbardziej.

Światowa rewolucja nie powinna zostać zepchnięta do jednego kraju – no, była jeszcze co prawda Mongolia, ale zupełnie się nie liczyła. Historia chciała, że cele proletariatu splotły się z odwiecznym wielkorosyjskim dążeniem do objęcia kuratelą jak największej przestrzeni i czekającym na realizację marszem na południe. Bez mała całe poprzednie

stulecie zajęły im próby zawładnięcia Bosforem. Wiadomo, że kto obejmie kontrolę nad Konstantynopolem i wypchnie Turków na wyżyny Anatolii, przetasuje całą światową talię kart. Wyjście na Morze Śródziemne, nieziszczone marzenie carów, być może teraz znajdzie się w zasięgu ręki, podobnie jak wyprawa do Indii. Już Lenin powiedział, że droga do światowej rewolucji wiedzie przez Indie. I nad tym nieraz rozmyślał. Zagarnąć bogactwa Południa, zabrać je Brytyjczykom. Już sam pomysł pobudzał wyobraźnię. Jak na razie przeprowadzali porządki w sowieckim Turkiestanie, według meldunków Berii, robili to dość skutecznie. Kontrrewolucyjne bandy w starciach z jednostkami NKWD ponosiły straty i wycofywały się w niedostępne partie gór i pustyni. Na razie wszelkie projekty związane z przeniesieniem zarzewia rewolucji poza Hindukusz pozostawały w sferze planów.

Rozmawiał już o tym z Timoszenką, co doprowadziło do stworzenia w ramach Stawki wyspecjalizowanej komórki mającej przeanalizować teren przyszłego pola bitwy. Wielka Brytania bez Indii, dodatkowo mając zagrożony Kanał Sueski przez bazy w Dardanelach, przestanie pozować na wielkie mocarstwo, chociaż zapewne będzie się szarpać i prężyć muskuły. Ale nic z tego! Jak „Koba” chwyci mocno za gardło, to nie puści. Nie ma takiej siły, która mogłaby sprawić, że się cofnie.

O ile lewa flanka została zabezpieczona paktem z Japonią, to prawa nie dawała o sobie zapomnieć. Propozycja, która wyszła z Berlina, jak najbardziej mu odpowiadała. Całą winę ponieść mieli Niemcy, a on, wkroczywszy w wybranym przez siebie momencie, wziąłby pod opiekę to, czego nie zdołałby zagarnąć wspólnik. Jedna taka okazja przeszła mu obok nosa. Trudno, pomyśli o następnej.

– Dlaczego akurat ja?

– Panie Marku, mogę tak do pana mówić? Otóż... – ministerialny urzędnik roztaczający wkoło atmosferę solidności i niezachwianej pewności siebie popatrzył w oczy młodego człowieka.

– Jak mi wiadomo, jest pan jedną z nielicznych osób mających wszelkie predyspozycje do tej pracy.

– Nigdy o nią nie prosiłem.

– Pozostaje pan w czynnej służbie i wykonywanie poleceń przełożonych należy do podstawowych zasad, jakie obowiązują oficera. Ktoś o tym zdecydował. I dokonał świetnego wyboru.

– Ale...

– Proszę, tutaj ma pan paszport dyplomatyczny i pisma uwierzytelniające. Po ostatnie instrukcje proszę zgłosić się pojutrze, przed wyjazdem.

Bagiński, zupełnie skołowany, machinalnie sięgnął po dokumenty. Wciąż nie potrafił uwierzyć w to, co zaszło. On na placówce w Moskwie! Nie prosił o to, nie zabiegał. Wolał dawne życie, nieobciążone aż takim ryzykiem.

– Jeżeli powiem, że decyzje zapadły na najwyższym szczeblu, to z pewnością poczuje się pan lepiej – dziarsko perorował urzędnik. – Przed panem wielka przyszłość. Proszę mi zaufać.

Znam się na tym. Niejeden chciałby być na pana miejscu.

– W to akurat nie wątpię – odpowiedział niepewnie i wstał, szykując się do wyjścia.

- Proszę się nie martwić – usłyszał na odchodnym.
- Nie mam zamiaru – odpowiedział już przy drzwiach, z dłonią na klamce.

Zupełnie nie wiedział, czego ma się spodziewać po przeniesieniu, lecz to, co właśnie usłyszał, wprowadziło go w całkowite osłupienie. Co gorsza, nikt mu nic nie wytłumaczył, nie wyjaśnił, co będzie robił na tej placówce. W końcu jego specjalnością są samoloty i lotnictwo, a nie wywiad. Najzwyczajniej w świecie z Ministerstwa Spraw Wojskowych został odesłany do

Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Na jutro specjalnie dla niego przygotowano odpowiedni wykład wprowadzający w temat. W pokoju zamkniętym na trzy spusty dostanie do przeczytania tonę papierów oraz wysłucha, co mają do powiedzenia „dwójkarze”, później czeka go już „tylko” wyprawa na Wschód. Na szczęście nie piechotą, tylko z wykorzystaniem LOT-u.

Wyszedł z ministerstwa, lecz – oszołomiony – po paru krokach stanął na ulicy, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Najprostsze rozwiązanie, czyli pójście do domu, odrzucił zaraz na wstępie. Lepiej będzie, jak na własną rękę poszuka jakichś informacji. Biblioteka czy księgarnia nie nęciły go wcale. Najlepsza byłaby rozmowa z kimś mającym odpowiednią wiedzę. Przynajmniej przygotuje się psychicznie albo pograży w odmętach czarnej rozpacz.

Wybór odpowiedniej osoby nie przedstawiał się tak łatwo, no bo kto rozsądny jeździł w tamte strony? Może jakiś dziennikarz albo przemysłowiec? Akurat nie znał żadnego. Zaraz! Wuj Franciszek, brat matki – ta myśl przyszła zupełnie nagle. Starszy pan unikał rodzinnych spotkań, jak tylko mógł, a jeżeli już brał w nich udział, to siedział pogrążony w melancholii i wychodził do domu przy pierwszej okazji. Ponoć spędził na Wschodzie wiele lat. Wrócił do kraju dopiero w 1922 roku, akurat w trzecie urodziny Marka.

Dystyngowany i spokojny samotnik, w rodzinie miał opinię dziwaka, którego życie złamała szaleńcza młodość. Pytanie, skąd brał środki na utrzymanie i przyzwoite funkcjonowanie w społeczeństwie, jakoś przez lata nie zaprzątało świadomości siostrzeńca. Gdy raz o to zapytał, usłyszał na odczepne, że wujek Franciszek jest ekspertem od prawa międzynarodowego i doradcą wielu znanych firm. Skoro tak, to może i dla niego znajdzie dobrą radę?

Do Małej Ziemiańskiej przy Mazowieckiej 12 nie było aż tak daleko. Od eleganckiego pałacu Brühla, siedziby Ministerstwa Spraw Zagranicznych, dzieliło ją najwyżej dziesięć minut nieśpiesznego marszu. Poszedł skrajem placu Piłsudskiego na róg Królewskiej. Kupił w trafice paczkę egipskich i już całkiem powoli skierował kroki do lokalu. Kolejną tajemnicą bądź dziwactwem wujka była pasja przesiadywania w miejscu zgromadzeń artystycznego świata. On sam wołał mniej ostentacyjne miejsca.

Wszedł do środka i rozejrzał się uważnie. W pierwszej chwili zdziwiły go panujące wszędzie pustki i tych paru klientów przy stolikach, którzy na pewno nie należeli do bohemy.

Znaną postać dostrzegł w kącie za rozłożoną płachtą wileńskiego „Słowa”.

– Dobre wieści znad Wilejki? – spytał, zajmując miejsce naprzeciwko.

Spod siwych, krzaczastych brwi i zmarszczonego czoła łypnęły na Marka ciemne, głęboko osadzone oczy.

– W pierwszej chwili myślałem, że to Słonimski – starszy pan złożył gazetę na pół. – A tu proszę, nieodrodny syn mojej ukochanej siostry.

– Czy to wujowi przeszkadza?

– Skądże znowu. Jest mi miło, że pomyślałeś o starym przyku.

– Bez przesady.

Marek, przyglądając się Franciszkowi, szybko obliczył, ile ten skończył lat. Na zdrowym i czerstwym obliczu trud pięćdziesięciu ośmiu wiosen nie wycisnął zbyt wielu zmarszczek.

– Dlaczego nie jesteś na służbie?

– Chwilowo mam wolne – odparł zgodnie z prawdą. – Otrzymałem nowy przydział służbowy – tu również nie musiał zmyślać. – Zresztą nieważne... – wyciągnął papierosy i poczęstował rozmówcę. – Potrzebuję rady.

– W kwestii przydziału czy kobiety?

– Raczej to pierwsze – zaśmiał się szczerze.

– Nie wiem, czy będę w stanie pomóc. Widzisz, możliwości już nie te, co kiedyś, i z każdym kolejnym dniem maleją. Sam do tego dojdiesz, jak przekroczysz czterdziestkę.

– Nie o taką radę mi chodziło.

– Co u matki? Nie widziałem jej z miesiąc. Człowiek ciągle zajęty – Franciszek jakby nie słyszał siostrzeńca. – A ojciec? Chciałem się nawet umówić na szlemika...

– Chodzi mi o Rosję – młody Bagiński wpadł w słowo, korzystając z tego, że rozmówca musiał zaczerpnąć tchu.

Szczęka wuja nieznacznie drgnęła. Słowa, jeszcze przed sekundą płynące nieprzerwaną falą, uwięzły mu w gardle. Takiej reakcji Marek zupełnie nie przewidział.

– Pomyliłeś adres, synku.

– Wiem, że spędziłeś tam wiele lat. Przed wojną prowadziłeś jakieś interesy, tak twierdzi matka, a później nie wróciłeś od razu, choć pojawiła się taka możliwość.

– Stare dzieje – kłęb szarego dymu popłynął ku sufitowi.

– Chodzi mi o coś, o czym nie przeczytałem w książce. Suche dane statystyczne nie oddają rzeczywistości.

– Taka wiedza nikomu do niczego nie jest potrzebna.

– Wprost przeciwnie.

Walczył ze sobą, czy wyjawić, czego dowiedział się rano. W sumie tajemnica z tego żadna, a sekret wcześniej czy później

wypłyne na wierzch. Powiedział. Odpowiedzią było takie samo milczenie jak wcześniej. W końcu wujek prychnął jak kot, najwyraźniej nie mogąc dojść do siebie.

– Dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

– Jako pierwszy przyszedłeś mi do głowy. Nie znam nikogo innego.

– Ech...

– Straciłeś tam majątek.

– Straciłem o wiele więcej, bo młodość – wuj poglądził gazetę i położył winietą do góry, opierając łokcie o blat biurka.

Zanosilo się na rodzinną opowieść.

– Być może nie powinieneś wypytywać mnie, tylko poczytać Stasia Mackiewicza – szturchnął palcem wileński dziennik. – Ten przynajmniej wie, o czym pisze.

– Znasz go?

– Trochę – wuj Franciszek jakoś nie widział konieczności ujawniania przed Markiem wszystkich młodzieńczych sprawek. Działalności najpierw w Polskiej Organizacji Wojskowej, popularnym POW-ie, strukturze podległej komendantowi Piłsudskiemu, jak i późniejszej, nad wyraz aktywnej i różnorodnej, już w ramach zorganizowanego wywiadu wojskowego. Przez cały okres zmagania polsko-bolszewickich obie organizacje uzupełniały się wzajemnie, tworząc sieć kurierską i informacyjną wszędzie tam, gdzie istniały skupiska Polaków. Wiedział o tym sporo, sam będąc jedną z kluczowych postaci tych działań. Omal nie przypłacił życiem i zdrowiem podchodów z WCzK, czyli Wszechrosyjską Nadzwyczajną Komisją do Walki z Kontrrewolucją, Sabotażem i Spekulacją, kierowaną przez „żelaznego” rodaka Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. Mógł sobie zarzucić tylko tyle, że pracował nie dość skutecznie. Przez krótką chwilę jako osobisty wysłannik naczelnika przebywał w sztabie Denikina podczas

decydującej ofensywy na Moskwę.

Biali zajęli już Orzeł i wydawało się, że nic nie powstrzyma ich zwycięskiego marszu. Stało się inaczej. Bolszewicy przetrwali najtrudniejszy okres i zaczęli stopniowo wypierać przeciwnika z zajętych terytoriów, aż w końcu wygrali – co nikogo nie powinno dziwić, wzięwszy pod uwagę niemożność porozumienia się różnych frakcji monarchistów i brak jednolitego dowództwa mogącego koordynować działania na froncie.

Po latach przerwane dzieło miał podjąć nie kto inny, tylko Mareczek. Obserwował go od dawna i miał siostrze za złe nieprzyzwoite rozpieszczanie syna. Odetchnął, gdy dzieciak zaczął przejawiać talent do nauk ścisłych. Szkoła Podchorążych Lotnictwa to już był nadmiar szczęścia.

W końcu wyjazd do Moskwy. Nie przypuszczał, że dojdzie do czegoś podobnego. Marek musiał zwrócić uwagę kogoś wysoko postawionego. Nikt nie obejmował takiego stanowiska bez wcześniejszego sprawdzenia. Kto teraz kręcił tym całym cyrkiem? A, prawda, Tadek Pełczyński, dobry oficer i legionista.

– Chociaż parę szczegółów – siostrzeniec nie pozwalał o sobie zapomnieć.

– Pamiętaj, że nawet paszport dyplomatyczny nie ochroni cię przed prowokacją. I zawsze bądź przygotowany na najgorsze.

– To wszystko?

– Doświadczenie jest nieprzekazywalne – westchnął były wywiadowca. – Nic, ale to dosłownie nic nie jest w stanie uchronić cię przed najgorszym. Sam się o tym przekonasz – nie zabrzmiało to dobrze i chyba nie takiej wskazówki chłopak się po nim spodziewał. – Proste rady są dla głupców. Ty tylko nie zapominaj, kim jesteś i kogo reprezentujesz.

5 MOSKWA

Markiem wciąż targały sprzeczne uczucia, kiedy parę dni później wylatywał z Okęcia.

Deklaracje na temat nadziei, jakie są z nim związane, budziły w podporuczniku niedowierzanie, a zapewnienia o swym świetnym przygotowaniu przyjmował z zażenowaniem. Podobno dla tak wszechstronnego oficera jak on placówka w Moskwie nie jest niczym specjalnym. Nieśmiałe uwagi Bagińskiego, że jest po prostu nieprzygotowany do takiego zadania, zbywano pobłażliwym uśmiechem. Najważniejsze to obserwować i meldować o wszystkim. Resztą zajmą się inni. Łatwo powiedzieć: „obserwować”. Jak powiedział wuj, najprostsze zadania często bywają najbardziej niebezpieczne.

Wyprawa miała przynajmniej jedną dobrą stronę. Zamiast tłuc się pociągami, całą peregrynację odbędzie jednym z Lockheedów Super Electra LOT-u, co skróci podróż do zaledwie kilku godzin.

Wszedł po drabinie do środka i usiadł przy oknie zaraz za kabiną pilotów. Miał nadzieję, że nikt nie zwrócił uwagi na jego bagaż podręczny w postaci teczki z dokumentami przytwierdzonej łańcuszkiem do przegubu ręki. Całość ważyła dobre dziesięć kilogramów, z czego przynajmniej połowa przypadła na zabezpieczenia. Z samego rana został przykuty do tego dziadostwa, którego będzie się mógł pozbyć dopiero w ambasadzie. Jedyne, co mógł zrobić, to położyć teczkę na własnych kolanach i spróbować nie zwracać na nią uwagi.

Zmęczony intensywnymi przygotowaniami, wreszcie mógł

się odprężyć. Z kieszeni marynarki wyjął „Ilustrowany Kurier Codzienny” i zabrał się za czytanie, ale nie zdołał nawet przejrzeć nagłówek, gdy powieki mu same opadły.

Loty na tej trasie odbywały się zazwyczaj raz w tygodniu i nie cieszyły się wielką popularnością. Rzadko kiedy pasażerowie zajmowali więcej niż połowę miejsc. Przeważnie lecieli ci, którzy musieli – urzędnicy i radcy prawni, dziennikarze. Osoby prywatne tylko sporadycznie.

Wystartowali o czasie. Dwa silniki rażą grzmiały podczas wspinaczki na pułap przelotowy.

Dla Bagińskiego niewiele to znaczyło. Drzemał z głową opartą o poduszkę. Jako jedyny ze wszystkich pasażerów nie odczuwał stresu związanego z lataniem.

Moskwa przywitała pasażerów lotu z Warszawy drobną, siąpiącą mżawką. Lockheed podkołował pod drewniany barak spełniający rolę hali odpraw. Marek wysiadł jako ostatni. Wszedł do wnętrza i stanął przed ladą, za którą siedział enkawudzista. Z tyłu kręciło się ich więcej.

W długich szynelach, czapkach z niebieskimi otokami, pasach z bronią i wysokich podkutych butach nie sprawiali przyjaznego wrażenia.

Resztę pasażerów prawie wypędzono na zewnątrz. Za długo zwlekał i to był błąd. Został sam. Szybko policzył stojących naprzeciw niego „urzędników”, którzy tymczasem zablokowali wszystkie wyjścia. Siedmiu.

– *Nu, dawaj!*

Wyciągnął paszport dyplomatyczny i położył na ławie. Lejtnant, jak mu się zdawało po pagonach, przejrzał dokument i wpisał dane do wielkiej księgi.

– *Pokażicie bagaż.*

– Poczta dyplomatyczna.

Lejtnant walnął pięścią w ławę i poderwał się z furją.

– *Wy szpion!*

Nie upłynęło jeszcze pięć minut, a już został oskarżony o

szpiegostwo. Kropelka potu spłynęła z karku za koszulę, wywołując swędzenie.

– Nie jestem szpiegiem, tylko dyplomata.

Czerwona gęba enkawudzisty wyrosła tuż przed nim.

– *Wy mienia nie ponimajetie. U nas takowyje prawo.*

– Akurat.

– *Szto wy skazali?*

Wpatrywał się w rozszerzone źrenice Rosjanina, starając się zachować spokój. Ewidentnie była to tylko prymitywna próba zastraszenia, sprawdzenie, z kim mają do czynienia. Raczej nie wrzucą go do ciemnicy i nie ześlą na Sybir. Badali, jak daleko mogą się posunąć. Jeśli okaże słabość, wykorzystają to bezwzględnie.

– Usiądźcie, towarzyszu, i przestańcie na mnie chuchać.

Lejtnant otworzył szerzej oczy, ale jego oblicze nawet nie drgnęło.

– *Wy nie oddawat siebie otczet...*

– Może i nie, ale co mi zrobicie? – za każdym razem, kiedy stawał do walki, toczył podobne pojedynki na słowa i gesty. Kto kogo bardziej przestraszy. Bez podobnej zaprawy na pewno strach by ścisnął go za gardło. A tak przynajmniej wie, jak grać. – To u was częsta praktyka?

– *O czym wy gawaritie?*

– Pytam, czy wszystkich witacie tak przyjacielsko?

Lejtnant w końcu usiadł. Nie wyglądał na przejętego, co utwierdziło Marka we

wcześniejszych przypuszczeniach. Napięcie opadło i przez dłuższą chwilę nie działo się nic istotnego. Oprócz dowódcy posterunku cała reszta stała tam, gdzie przedtem. Tymczasem lejtnant wyciągnął z tekturowego pudełka papierosa i odpalił zapalnik. Zaciągał się niespiesznie, strzepując popiół wprost na deski baraku. W końcu i ta scena dobiegła końca. Oddał paszport i ponownie pochylił głowę nad księgą wpisów.

Bagiński próbował wyczuć, czy już jest wolny. Oderwał się od lady i ruszył do drzwi.

– *My jeszcze wstretimsia* – usłyszał za plecami. Nie odpowiedział i nacisnął klamkę.

Samochód z ambasady czekał nieopodal. Zaniepokojony kierowca w szarym garniturze kręcił się w pobliżu.

– Chyba czeka pan na mnie – powiedział Marek.

– Coś długo zeszło. Wszyscy inni już poszli.

– Nie ma o czym mówić.

– Pan ambasador będzie chciał znać szczegóły.

– Wspomnę mu o nich w stosownej chwili.

Dopiero teraz z ciekawością przyjrzał się okolicy. Lotnisko jak lotnisko, widział takich wiele. Dopiero po minięciu wojskowych posterunków i obraniu kierunku w stronę miasta mógł zwrócić uwagę na lokalny koloryt. Na przedmieściach Moskwa mało przypominała centrum tak prężnie rozwijającego się państwa. Rzędy drewnianych chat bardziej przywodziły na myśl rozległą wieś. Czasami przed oczami mignął mu jakiś murowany budynek bądź ukryta za płotem fabryka.

W miarę zbliżania się do centrum niewiele się zmieniało pod tym względem. Brakowało tak charakterystycznych dla innych miast kamienic, stanowiących gdzie indziej główną część zabudowy. W porównaniu z Warszawą ruch na ulicach również nie był wielki. Dopiero kiedy zobaczył z oddali wyrastające ponad dachami kremłowskie wieże, Marek uwierzył, że dotarł na miejsce. Polska placówka dyplomatyczna znajdowała się całkiem blisko centrum.

Drzwiczki samochodu otworzył niewysoki, starszy jegomość w tweedowej marynarce.

– Jak podróż?

– Dziękuję.

– Nie próbowali pana szykanować?

– Skąd pan wie?

– Jestem tu nie od dziś. Stanisław Bartel. Pomagam ambasadorowi w jego obowiązkach – przestawił się nieznanemu.

– Bagiński.

– Proszę za mną. Zaraz uwolnię pana od ciężaru – wymownie wskazał na przesyłkę coraz bardziej ciężącą Markowi.

Nie zostało nic innego, jak ruszyć za urzędnikiem w głąb placówki.

– W kraju myślą pewnie, że my tutaj baki zbijamy?

– Skądże znowu.

– Proszę nie zaprzeczać, i tak wiem swoje.

Z szuflady biurka wyciągnął kluczyki i zdjął bransoletkę opinającą nadgarstek podporucznika.

– Na razie to tyle. Jest pan wolny. Poproszę Antoniego, żeby zaprowadził pana na pokoje.

– Wcześniej chciałbym się odmeldować u majora.

– Ambasador razem z majorem Dobrzańskim są nieobecni. Wrócą dopiero wieczorem.

Pozostało mu tylko wycofać się do otrzymanej kwatery. Mimo dobrotliwego uśmiechu na twarzy Bartela widać było, że jak najprędzej chce się dostać do przesyłki kurierskiej.

Marek kiwnął głową. Spośród nielicznych rad i ostrzeżeń udzielonych przez wujka Franciszka wziął sobie głęboko do serca to, że pewnie wdepnie w gniazdo os – wzajemnych nieformalnych powiązań, antypatii i jawnej wrogości pomiędzy politykami wywodzącymi się z różnych frakcji i koalicijek. Tylko marszałek potrafił utrzymać ich w ryzach, a teraz biorą się za łby, byle tylko dopiąć swego.

Pokój, który otrzymał do dyspozycji, znajdował się na piętrze od frontu, cały wymalowany na kolor szpitalnej bieli. Przez okno z białą firanką widać było część ulicy. Resztę widoku zasłaniały krzaki i drzewa.

Porozwieszał ubrania w szafie, z rozkoszą wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy.

– Powiedzcie mi, towarzyszu, dlaczego to wszystko trwa tak długo?

Marszałek Siemion Konstantynowicz Timoszenko, ludowy komisarz obrony, przywykł już do takich pytań.

– Brak nam ludzi... To znaczy, wyszkolonych ludzi – poprawił się zaraz, starając się wypaść jak najbardziej profesjonalnie. – W związku z postępującą rozbudową armii wciąż za mało mamy oficerów do dowodzenia zarówno na szczeblu plutonu, kompanii, baterii, jak też i większych jednostek operacyjnych. Doraźne kursy i akademie kończy za mało specjalistów. Staramy się to nadrobić, ale sami wiecie, jak jest – dokończył niepewnie.

– Może za mało się staracie? – na obojętnym obliczu Josifa Wissarionowicza Stalina trudno się było dopatrzeć śladów emocji.

– To nie tak – myśl o strąceniu w niebyt podziiała na ludowego komisarza obrony jak ostrogi na konia. – Przy stałym wzroście liczebnym wprowadzamy równocześnie cały szereg nowych rozwiązań technicznych, i to we wszystkich możliwych dziedzinach. Zapoznanie żołnierzy z nowymi typami uzbrojenia wymaga tygodni. Wszystkiego muszą nauczyć się od początku, a w przypadku załóg czołgów dodatkowo zgrać w zespół.

– Konkretnie: jak długo to potrwa?

– Miesiąc, dwa – wolałby powiedzieć: „kto to może wiedzieć”, ale taka uwaga nie przeszła mu przez gardło. I bez tego całego pośpiechu została cała masa problemów do rozwiązania.

Przyśpieszenie zaczęło się już w 1938 roku, a w następnych latach nasilało się coraz bardziej. Plan przewidywał, że na wiosnę będą w stanie wystawić siły liczące 8,6 miliona ludzi.

Nawet na narkomie obrony te założenia robiły wrażenie. Na razie musieli zadowolić się armią niewiele większą od połowy planowanej. I tak przekładało się to na niespotykaną nigdzie indziej liczbę jednostek.

Dla Josifa Wissarionowicza mającego wciąż w pamięci doświadczenia wojny domowej, kiedy to niejednokrotnie o zwycięstwie decydował osobisty przykład dowódcy, a ze zdobyczy technicznych na większą skalę dostępna była jedynie artyleria, obecne zmotoryzowanie i zmechanizowanie formacji stanowiło wyłącznie poprawę środków transportowych i ogniowych.

To, co wcześniej zdawało się osiągalne jedynie dla masy kawaleryjskiej, przypadło teraz w udziale dywizjom pancernym. Dlatego czołgi i samochody opancerzone stanowiły środek, nie cel.

W leżących na biurku statystykach wszystko wyglądało wspaniale, ale tylko połowi dowódcy wiedzieli, ile wysiłku trzeba włożyć w przekształcenie grupy ludzi w zawarty i sprawnie działający organizm bojowy. Jednak apelowanie o cierpliwość i tolerancję mijało się w tym wypadku z celem.

– Na kiedy będziemy gotowi?

Narkom, mający w głowie wszelkie dostępne dane, czuł się wewnętrznie rozdarty. Im odleglejszy poda termin, tym efekt powinien być lepszy. Z drugiej strony dziobata twarz Stalina i jego nieruchome spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości – oczekiwanie nie może trwać wiecznie.

– Lipiec – wydukał w końcu.

– Co tam mamroczenie pod nosem, towarzyszu?

– Lipiec – odpowiedział pewniejszym głosem. – Początek miesiąca.

– No, to już wiemy, na czym стоимy.

Spośród wszystkich generałów Timoszenko wzbudzał w gospodarzu spotkania największą sympatię. Można powiedzieć, że miał do niego zaufanie. Oczywiście ograniczone, jak do każdego.

Budionny, dawny towarzysz broni, jak i Woroszyłow, nadawali się jedynie do ludowych prysiadów, mając rozumu mniej niż brudu za paznokciami, ale wódz narodu nie pozwalał ruszać wiernych stalinowców, wynajdując im mniej ważne zajęcia lub usprawiedliwiając ich niezbyt rozsądne decyzje. Na obecnym etapie planowania pętali się gdzieś z tyłu, pełniąc funkcje wyłącznie dekoracyjne.

Stalin posłał ustnik fajki. Na chwilę głód nikotyny przysłonił głód wiedzy. Lekarze... Co oni tam wiedzą i czy w ogóle są dobrymi komunistami? Będzie się temu musiał przyjrzeć z bliska.

Może nie zaraz, bo wiele spraw było znacznie pilniejszych, ale i na nich przyjdzie odpowiednia pora. A gdyby tak odrobina koniaczku do herbaty? Pomysł wydawał się przedni i nie tak skomplikowany jak wyjaśnienia narkoma. Nie wchodzili jeszcze w ostateczną fazę wymagającą stalowych nerwów i jasnej głowy. A co tam... Inaczej ci wojskowi specjaliści zanudzą go liczbami na śmierć.

Nacisnął przycisk na stole. Dokładnie dziesięć sekund później otworzyły się i osobisty steward wniósł odpowiednie akcesoria.

– Towarzysze, nie pogardzicie skromnym poczęstunkiem.

Nie pogardzą. Na przykład Timoszence najwyraźniej zaschło w ustach, bo co rusz oblizywał nerwowo wargi i z ukosa spoglądał na parujące dzbanki.

– Kapkę czegoś mocniejszego?

Siedzącemu obok zastępcy szefa Sztabu Generalnego *Rabocze-Krestiańskiej Krasnoj Armii*, zwanej w skrócie RKKA, Kiriłowi Mierieckowowi rozbłyśły oczy. Mołotow tymczasem zabrał się za uzupełnianie filiżanek alkoholem.

Przez chwilę siorbali w milczeniu, sprawdzając, czy napój spełnia oczekiwania. Był zupełnie niezły.

– Dobrze, towarzysze – wódz pierwszy zakończył konsumpcję. – To, o czym mówimy, jest istotne. Wszelkie sugestie przedstawione wcześniej wymagają rozwinięcia, a szczegóły dopracowania, ale to nie koniec. Taak... Proletariusze w Europie czekają na nas. Tym razem nie zawiedziemy. Pierwszy etap to Polska, ma się rozumieć, oraz Rumunia i Węgry. Akurat z tymi dwoma państwami nie powinniśmy mieć większego problemu. Przyjmą nas tam z otwartymi ramionami – dopił resztkę do dna i odstawił naczynie. – Operacja na Bałkanach to wstęp do dalszych działań na południu. Tutaj zadanie szczególnej wagi spadnie na Odeski Specjalny Okręg Wojskowy. Sprawa jest w zasadzie jasna. Natomiast droga do Warszawy, nie czarujmy się, nie będzie łatwa ani przyjemna. Plan nakreślony przez nasz sztab uważam za w pełni wykonalny – tu kiwnął głową w stronę Timoszenki, dowartościowując narkoma. – Jednak... – nieco zawiesił głos – jak już powiedziałem, trzeba dopracować szczegóły, to nie podlega dyskusji – lekka nagana ponownie speszyła Siemiona Konstantynowicza. – Za aktualizację należy zabrać się bezzwłocznie.

Przedyskutujcie to z towarzyszem Żukowem.

– Oczywiście.

– Chciałbym teraz wysłuchać, co ma do powiedzenia towarzysz Mołotow w sprawie rozmów w Berlinie.

Ludowy komisarz spraw zagranicznych w okrągłych binoklach na kwadratowej twarzy przejechał kciukiem po wąsach nad wąskimi ustami.

– Kanclerz Göring w wielu kwestiach podziela nasze poglądy – odparł dystygowanie. –

Współpraca na kilku płaszczyznach jest nawet wzorcowa. W przeciwieństwie do poprzedniego przywódcy Niemiec nie zdążył jeszcze narobić sobie wrogów w Europie. Sami

pamiętamy nieustanne żądania Hitlera, a to Nadrenii, a to Sudetów czy w końcu Gdańska. Bardziej umiarkowana postawa obecnych władz jest wszystkim na rękę, chociaż w pewnych kręgach wojskowych i wśród sporej części działaczy partii związanych z Hitlerem, których trudno przesunąć na boczny tor, dominują tendencje bardziej ekstremistyczne.

– Wiemy o nich więcej?

– Prowadzimy nieformalne rozmowy.

Ciekawe, czy byłaby szansa wykorzystania tego w przyszłości? Mała ruchawka nad Renem w marszu na Zachód? Pomysł wydawał się dobry. Zawsze to lepiej iść na pomoc, niż napadać na suwerenne państwo. Światowa rewolucja to nie zabawa. Trzeba brać pod uwagę wszelkie okoliczności. Tym razem muszą dać radę.

– Ach, to wy jesteście tym nowym pracownikiem!

Ambasador pełnomocny Rzeczypospolitej Polskiej w Moskwie Wacław Grzybowski przywitał się z Markiem. W eleganckim mężczyźnie trudno było dopatrzeć się wigoru i entuzjazmu. Wyglądał raczej na solidnie zmęczonego i roztargnionego, niemniej starał się być uprzejmy. W przeciwieństwie do niego postawę majora Dobrzańskiego cechowała wojskowa precyzja. Zamiast słów powitania usłyszał tylko:

– Mam nadzieję, że nie będzie z wami kłopotu.

Co odpowiedzieć na takie stwierdzenie?

– Wasza specjalizacja to, zdaje się, lotnictwo? – Grzybowski wskazał krzesło, na którym Bagiński zaraz usiadł.

– Tak. Skończyłem politechnikę...

– Świetnie – major wpadł mu w słowo. – Pojutrze mamy zaproszenie na pokazy w moskiewskim oddziale Osoawiachimu. Wiecie, co to jest takiego?

– Nie – przyznał zmieszany.

– To taka tutejsza odmiana Ligi Obrony Powietrznej. Organizują szkolenia lotnicze, spadochronowe i takie tam – Dobrzański dokończył ogólnikowo. – Nie myślcie tylko sobie, że to jacyś skauci. Szkolą ich instruktorzy wojskowi.

– Rozumiem – przytaknął niepewnie Bagiński.

– Z paroma zapoznacie się bliżej. Podpytacie o to i owo.

– Będą chcieli mówić?

– A skąd. Musicie sobie radzić. Znaleźć wspólne tematy. Zaprzyjaźnić się. Zresztą, co ja wam mówię. Wiecie o tym lepiej ode mnie.

– To znaczy mam się podszyć pod jednego z nich?

Major pokręcił głową.

– Takiego jak wy to oni wyczują na kilometr. Trzeba spróbować inaczej. Najlepiej zachwycić się osiągnięciami. Działa prawie zawsze. Oni lubią komplementy, tak samo jak wszyscy.

– Spróbuję.

– Jutro zrobimy wycieczkę po mieście. Pokażę wam charakterystyczne miejsca i wprowadzę w zagadnienia, jakie nas interesują.

Dobrzański sięgnął do bocznej kieszeni i wyciągnął papierośnicę. Ambasador odmówił.

Marek podobnie. Czasami wypalał jednego albo dwa w towarzystwie innych palących, ale tak sam z siebie – nigdy.

– Nie wiem, jak podchodzi do tego Warszawa... – major zgasił zapalnik i odłożył ją do popielniczki. – Prawdopodobnie zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co się tutaj wyprawia.

Grzybowski odruchowo przytaknął, pozwalając dalej mówić wojskowemu attaché.

– Nie trzeba być jasnowidzem, by dostrzec pierwsze zwiastuny nadciągającego kryzysu.

Wykluczyć nie możemy w zasadzie niczego. Początkowo myśleliśmy – Dobrzański spojrział na ambasadora – o kolejnych przetasowaniach na szczytach władzy. Wiecie, Stalin nie lubi, gdy ktoś poczuje się zbyt pewnie na zajmowanym stanowisku. Na dodatek chce kontrolować wszystkich i każdego z osobna. Tak jakoś z początkiem roku tutejsze struktury bezpieczeństwa, czyli NKWD, podzielono na dwa, jak to nazywają, narkomaty, czyli Spraw Wewnętrznych i Bezpieczeństwa Państwowego. W sumie nic się nie zmieniło. Po prostu dotychczasowy naczelnik bezpieczeństwa został kimś w randze ministra, czyli komisarzem... hmm... ludowym – dokończył z przekąsem –

choć samo dublowanie struktur jest zastanawiające. Do tego dochodzą do nas pogłoski o tajnej mobilizacji. Nie tylko my to zaobserwowaliśmy. Część informacji pochodzi od Japończyków. Co, jesteście zdziwieni?

Bagiński nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Oprócz nas to właśnie oni dysponują najlepszymi źródłami informacji. Co prawda głównie interesuje ich Daleki Wschód – major założył nogę na nogę – ale nikt nie jest doskonały. Cała reszta, łącznie z Anglikami i Francuzami, żeruje na tym, co zdobędziemy. Tak to już jest i nic z tym nie zrobimy. No, może jeszcze Abwehra ma coś do powiedzenia, ale będzie milczeć jak zakłeta.

Musicie uważać na nich równie mocno jak na tych z NKGB czy NKWD. Podobno już mieliście do czynienia z organami moskiewskimi?

– Próbowali przejrzeć mój bagaż.
– To zwykłe praktyki. Nie ma się czym przejmować.
– Odniosłem podobne wrażenie.
– Zastraszanie czy zwykłe uprzykrzanie życia inwigilacją są na porządku dziennym.

O pobiciach jakoś nie słyszałem.

– Z tym to ja akurat sobie... Hmm...
– Faktycznie – Dobrzański uśmiechnął się samymi kącikami ust. – Nie wiem, czy pan wie, ambasadorze, ale mamy przed sobą nadzieję polskiego pięściarstwa.

Marek skromnie spuścił oczy.

– Lekka?
– Średnia, panie majorze.
– Faktycznie. Czytałem w „Kurierze Warszawskim”. Pisali o was w samych superlatywach.

– Próbuję.

– I nieźle wychodzi.

Major wstał i rozgniół niedopałek.

– Nie będziemy tego przeciągać w nieskończoność.

Bagiński również się poderwał.

– Resztę spraw omówimy z rana.

– Tak jest.

– Możecie iść.

Gdy za podporucznikiem zamknęły się drzwi, a na korytarzu ucichły kroki, Grzybowski głośno westchnął.

– Oberwie chłopak.

– Jeszcze zobaczymy – odpowiedział major.

Początkowo obawiał się, że dostanie oficerka zaraz po szkole. Owszem, znającego perfekcyjnie język i wszystkie tajniki szpiegowskiego fachu, za to pozbawionego doświadczenia i dającego się wpędzić w każdą możliwą kabałę. Natomiast z Bagińskiego, rzadkiego połączenia technicznego zdolniachy z wykształconym oficerem i twardym sportowcem, jeszcze mogli być ludzie.

W Ludowym Komisariacie Obrony mimo późnej godziny wciąż paliła się większość świateł. Pracował sam narkom, pracowała więc również reszta oficerów i pozostały personel.

Przecież w każdej chwili do Komisariatu mógł zadzwonić Stalin, oczekując odpowiedzi na jakieś pytanie.

Siemion Konstantynowicz Timoszenko, chociaż pamięć miał fenomenalną, wiedzę ogromną, a doświadczeniem górował nad każdym innym dowódcą w RKKA, to jednak wszystkich szczegółów nie znał. W awaryjnej sytuacji ktoś musiał mu pomóc, stąd praca przeciągała się niekiedy w nieskończoność. Podobnie działo się w pozostałych komisariatach, od żeglugi po transport i handel.

Zresztą to nie jedyny powód nocnych nadgodzin. Plan, jaki przygotowywali, wymagał korekty zgodnie z sugestiami Josifa Wissarionowicza.

Do przeprowadzenia ataku wyznaczono dwa okręgi wojskowe, które z czasem przekształcić miały się we fronty. Na ich obszarze skoncentrowano *gros* sił – siedem armii stanowiących pierwszy rzut strategiczny, z tego cztery przypadały na obszar Zachodniego Okręgu Wojskowego, a trzy na obszar Okręgu Specjalnego. Teraz jeszcze bardziej wzmacniano północ.

Timoszenko krytycznym wzrokiem obrzucił mapę, na którą nanosił linie rozgraniczające pasy natarcia poszczególnych armii, kreśląc dodatkowo strzałki w kierunku Krakowa zaginające się w potężnym kleszczowym uderzeniu. Tak, tutaj wszystko wyglądało perfekcyjnie. Tylko czy Polacy potrafią to docenić i nie odpowiedzą jakimś manewrem w

stylu zwrotu zaczepnego z 1920 roku?

Przejrzał jeszcze wykaz formacji, jakie może napotkać Robotniczo-Chłopska Armia Czerwona. Gdyby tamtejsi generałowie wiedzieli, co ich czeka, pewnie przestaliby uczęszczać do teatrów i wzięli się za robotę. Już niedługo porachuje im kości.

Szum za plecami oderwał w końcu myśli narkoma od planowanej zemsty.

– Jegorow.

– Tak, towarzyszu dowódco? – młody lejtnant, świeżo po kursach, dopiero niedawno dołączył do zespołu Timoszenki. Dobrze się prezentował, a przede wszystkim świetnie rysował.

W jego wprawnych dłoniach pobazgrana mapa zmieniała się bez mała w dzieło sztuki.

– Nanieście to, bo ja nie mam zdrowia.

– Już się biorę.

– To dla samego wodza, więc musi odpowiednio wyglądać.

Uśmiechnięte lico Jegorowa wystarczyło za odpowiedź. W ręku trzymał pęk kolorowych kredek i ołówków, zatemperowanych jak igły, i aż rwał się do roboty. Tak oddanego sprawie podwładnego nie spotykało się często.

– Zaczynajcie sami. Ja zaczerpnę świeżego powietrza.

Faktycznie głowa ciążyła mu jak kowadło, oczy widziały podwójnie i na dodatek ta cholerna, przekłeta zgaga. Napięcie, w którym żył przez ostatnich parę lat, coraz wyraźniej dawało o sobie znać. Na początku drobnymi dolegliwościami, które wraz z upływem kolejnych miesięcy przeszły w nieustanne zmęczenie potęgowane bólami głowy. Awans na stanowisko marszałka, prócz związanych z tym zaszczytów i prócz zaspokojenia ambicji, przyniósł jeszcze więcej pracy i odpowiedzialności, a na dokładkę użeranie się z nowymi pupilami wodza, jak na przykład z tym Żukowem, lubiącym przyczepiać się do wszystkiego.

Kiedy Timoszenko cofnął się na dwa kroki od stołu i przyjrzał wprawnym dłoniom Jegorowa, wyczarowującym idealne, precyzyjne i kolorowe sztabowe strzałki, wprost nie mógł wyjść z podziwu, z jaką łatwością mu to przychodziło. Kiedy on sam musiał zrobić coś podobnego, trwało to godzinami, a i tak wychodziły bazgroły. W końcu sięgnął po czapkę z wieszaka i wyszedł z pomieszczenia, dając chłopakowi popracować w samotności.

Jegorow nawet nie odwrócił głowy, usłyszawszy za sobą trzask zamykanych drzwi. Jego intensywnie niebieskie oczy przebiegały nazwy miast i miasteczek stanowiących podstawy wyjściowe dywizji i *miechpołków*. Trochę tego było. Pierwszy rzut miał objąć ponad osiemdziesiąt wielkich jednostek. Jak to wszystko spaamiętać?

Odruchowo spojrział na kartkę, na której oznaczono jednostki Grupy Konno-

Zmechanizowanej Frontu Zachodniego: trzy dywizje kawalerii, dwie strzeleckie, korpus pancerny i jeszcze samodzielna brygada pancerna. Nie ma innej rady. Jeżeli chce to wszystko później odwzorować, to jedynym wyjściem jest wtłoczenie do głowy wszystkich informacji. Nawet jeśli nie będą szczegółowe i w pełni odzwierciedlające to, co robił w tej chwili, dadzą chociaż ogólne wyobrażenie.

Pozostawał jeden, acz zasadniczy problem: jak to wszystko przekazać? Kontakt urwał się niespodziewanie parę miesięcy wcześniej, kiedy jeszcze był elewem korpusu kadetów. Początkowo traktował wszystko jak żart. Dopiero po paru tygodniach zdał sobie sprawę z tego, co robi. Jakby nie patrzeć, przekazywał informacje, i to nie komu innemu, tylko starej, dobrej znajomej rodziców z lat drugiej pięciolatki, kiedy to przenieśli się do Moskwy. Matka zmarła niedługo potem, a ojciec wyruszył na wielkie budowy socjalizmu i zniknął. Co prawda ponoć widziano go nad Dnieprem przy budowie gigantycznej hydroelektrowni o długości zapory 760

metrów i wysokości 60 metrów, z nową rodziną i przyrodnim rodzeństwem, jednakże Jegorowi, już wtedy przemysliwu-jącemu o wojskowej karierze, pętanie się w roli piątego koła u wozu na pewno nie przypadłoby do gustu.

I tak wolał pozostać w stolicy u starej, niezamężnej ciotki.

Galina pojawiała się w życiu młodego chłopaka co jakiś czas, racząc go to dobrym słowem, to czymś bardziej przyziemnym jak dobra brzytwa, gdy już zaczął się golić, lub innym razem paroma rublami na drobne wydatki.

Wybór, jakiego dokonał, wydawał mu się zupełnie świadomy i właściwy. Nigdy bałwochwalczo nie wierzył w socjalizm ani w jego bardziej rozwiniętą formę, czyli komunizm. No, może i trochę wierzył, ale nie był gorliwym wyznawcą. Pewnie robił to na przekór ogólnemu trendowi. Trudno też byłoby go uznać za rasowego wywiadowcę czy szpiega jako takiego. Zresztą zupełnie nie wiedział, czy sama Galina nim była. Przecież tylko rozmawiali na różne tematy. Czuł jednak, że to, co robi w tym momencie, jest ważne. Bardzo ważne.

Tłum przelewający się przez błonia był naprawdę imponujący. O ile w Polsce wszelkie lotnicze pokazy ściągały tysiące osób chętnych do obejrzenia samolotów i śmiałków, którzy ich dosiadają, to tutejsze święto zgromadziło dziesiątki tysięcy ludzi i elitę sił powietrznych.

– Mówiłem, że tak będzie – major jak rasowy myśliwski pies obracał głowę to w jedną, to w drugą stronę.

– Śledzą nas? – Markowi, czujnemu jak nigdy wcześniej, udzieliło się napięcie Dobrzańskiego.

– Pewnie. Naliczyłem trzech, i to tych mniej ostrożnych – odpowiedział attaché wojskowy.

– Spróbujemy ich zgubić?

– Na razie nie ma takiej potrzeby – ruszyli wolnym, spacerowym krokiem wprost w największą ciżbę ludzi. – A później się zobaczy.

W cywilnych ubraniach nie odróżniali się zbyt od moskwian, co rzecz jasna zupełnie nie chroniło przed inwigilacją. Zaraz po wyjściu z ambasady został im przyczepiony „ogon”, nie na tyle jednak dyskretny, by go nie zauważyć.

Czekistowska czarna emka sunęła za nimi wprost na stację metra Borowicka, a w tunelach metra zastąpili ją funkcjonariusze, którzy odtąd ze znudzonymi minami stale podążali za nimi.

Marek nigdy wcześniej nie był poddany podobnej presji i nie potrafił ukryć emocji.

– Oni tak zawsze?

– Myślałeś, że jesteś w Paryżu czy Londynie? – majora

bardziej niż tajniacy interesował wystawiany sprzęt. – Nie przejmuj się nimi, z czasem przywykniesz.

Poszczególne samoloty ustawiono po drugiej stronie szerokiego pola. Tam kłębił się największy tłum. Ponad głowy wystawały jedynie górne skrzydła płatowców. Im dalej sięgali spojrzeniem, tym większe stawały się konstrukcje, od myśliwskich poprzez średnie bombowce aż do potężnych maszyn transportowych. Przynajmniej na taką wyglądał stojący prawie na samym końcu czteromotorowy samolot. W gondoli na szczycie dziobu siedział lotnik i machał do przechodniów, co wyglądało dość osobliwie. Nieosłonięte niczym stanowisko strzelca przywodziło na myśl konstrukcje sprzed dobrych dwudziestu lat: TB-3. Widział wcześniej rysunki tego dziwoląga, ale nie sądził, że zobaczy go na własne oczy. Stojący obok TB-7 wyglądał o wiele nowocześniej. W pierwszym odruchu właśnie do tego drugiego chciał skierować kroki, gnany nieokiełznaną ciekawością. To tak, jakby zobaczyć coś, o czym wcześniej się tylko marzyło, aż zupełnie nieoczekiwanie przybrało materialną postać.

– Wypada zacząć od początku – major od razu zauważył gorączkę pożerającą Marka.

Bagiński, zatrzymany w pół kroku, niechętnie przyznał Dobrzańskiemu rację. Pasja wciąż wygrywała w nim nad zdrowym rozsądkiem.

– Pamiętaj, później musisz napisać z tego raport.

– Szczegóły?

– Jak najbardziej. Myślałeś, że po co tu jesteś? Na wycieczkę?

Krok za krokiem przeciskali się do pierwszej maszyny. Niewielki dwupłatowy rozpoznawczy R-5 nie wzbudzał zainteresowania. Następny w kolejności R-10, dolnopłat o chowanym podwoziu, już bardziej.

Stojąc obok rozprawiających ze swadą pilotów, wysłuchał opowieści o lotniczych przygodach, ale nie o danych

technicznych. Stopniowo przesuwali się wzdłuż szpaleru, wśród którego dominowali pionierzy w czerwonych chustach i komsomolcy stanowiący ich nieco starszy odpowiednik. Osób w średnim wieku i starszych nie widziało się prawie wcale.

– Towarzyszu, no jak tak można? – Marek, zapatrzony na myśliwski I-16 najnowszej wersji, uzbrojony w dwa działka 20 mm SzWAK i dwa karabiny maszynowe 7,62 mm SzKAS, z rozrządzeniem przeniósł wzrok na upominającą go dziewczuszkę.

– No jak można – biadoliła tamta dalej. – Takie święto, a towarzysz paraduje jak jakiś burżuj bez należytego szacunku dla naszych lotników.

– Nie pomyślałem – bąknął skonfundowany.

– No właśnie.

Z własnej bluzy zdjęła odznakę Osoawiachim, czerwoną gwiazdę w złotym wieńcu, i wpięła w koszulę stojącemu jak słup soli Markowi, pomagając sobie wydatnie językiem, oblizującym kształtne usta pod niewielkim noskiem. Cała reszta również nie wyglądała najgorzej.

Blond włosy ściągnięte do tyłu i związane na karku kokardą, oczywiście czerwoną, uwydatniały wysokie kości policzkowe, a wielkie chabrowe oczy patrzyły na świat z uwagą i spokojem.

– Teraz lepiej.

Marek spojrzał w dół.

– Chusty wam nie dam. Sami rozumiecie.

– Szkoda. Już miałem nadzieję – wcześniejsze ostrzeżenia przed ładowaniem się w podobne historie wywietrzały mu zupełnie z głowy. Major, ostatnia deska ratunku, zniknął gdzieś wśród płynących fal widzów. W tej sytuacji mógł liczyć wyłącznie na siebie.

– Jestem...

– Towarzysz taki skory do zawierania nowych znajomości, a

odznaki to zapomniał zabrać z domu.

– Tak wyszło.

– Polina.

– Mark – najdelikatniej, jak potrafił, ujął podaną wiotką dłoń, bojąc się zmiażdżyć ją w uścisku. Niepotrzebnie. Palce dziewczyny z siłą imadła zatrzęsnęły się na jego ręce.

– Nie uprawiacie sportu?

– Wprost przeciwnie – odpowiedział z dumą.

– Szachy?

Dawno tak serdecznie się nie uśmieiał.

– Już wiem! – Polina klasnęła w dłonie. – Na pewno jesteście spadochroniarzem.

– Skąd ten pomysł?

– To oczywiste. Do latania i skoków potrzebna jest prawdziwa pasja, a ją tę pasję w was widzę.

Na razie postanowił nie odkrywać wszystkich kart.

– Trochę boksuję.

Na twarzy Poliny nie dostrzegł rozczarowania.

– Mogłam sama na to wpaść – westchnęła.

– Oprorowadzisz mnie? – wskazał brodą rząd samolotów.

– Chcesz?

– Gdybym nie chciał, to bym nie proponował.

Omijając grupki oglądających, ruszyli w stronę lekkich bombowców. Dziewczyna od niechcienia skubała skraj chusty, skręcając w supły wystające nitki.

– Ty na pewno jesteś pilotką. Widzę to po twoim zaangażowaniu.

– Ach nie. Staralam się. Nic z tego nie wyszło. Nie mam odpowiednich predyspozycji.

– Bo ja wiem – zerknął z ukosa.

– W czasie pierwszego lotu... – zostawiła chustę w spokoju i dla odmiany nawinęła kosmyk włosów na palec.

– No co?

– Wstyd przyznać, ale zemdlilo mnie. Te wszystkie zakręty i

nagle podskoki.

– Wiraże i turbulencje – poprawił odruchowo, na szczęście Polina nie zwróciła uwagi na podpowiedź.

– Spróbowałam jeszcze raz. Skutek był taki sam, tylko wszyscy serdecznie się uśmieiali.

Nawet Wołodia się śmiał, niewdzięcznik, a miałam dla niego tyle serca... – zamilkła nagle i uniosła głowę.

Coraz bardziej zainteresowany dziewczyną, przestał kontrolować otoczenie. Nie dowiedział się jednak, kim był rzeczony Wołodia. Na pewno nie chodziło o Lenina. Zamiast ciągnąć temat, popatrzył w niebo nad głową Poliny, gdzie z transportowego TB-3, prawie takiego samego jak stojący na ziemi, wyskakiwały małe ludzkie figurki.

Białe czasy spadochronów rozkwitły jedna po drugiej. W sumie naliczył około trzydziestu spadochroniarzy. Opadli na prawo od nich, tam gdzie udało się wygospodarować trochę wolnej przestrzeni, niezastawionej sprzętem lotniczym.

– Piękni, prawda? – szepnęła Polina

– Prawdziwi bohaterowie – bardzo się starał, by jego słowa nie zabrzmiały ironicznie.

– Sam powinienes spróbować.

– Ja...

– Ktoś tak zdecydowany jak ty na pewno się nada.

– Muszę to przemyśleć.

– Koniecznie.

Gdzie, do cholery, podział się major? Jakoś nie potrafił wyłować go wzrokiem. Zresztą postępował przecież zgodnie z zaleceniami. Polina może nie wyglądała na cenne wywiadowcze źródło informacji, ale to dopiero pierwszy krok. W sumie trafił doskonale i nie kosztowało to zbyt wiele wysiłku. Z drugiej strony, jak jej powiedzieć, skąd pochodzi i co tutaj robi?... Odłożył problem na stosowną chwilę. Okazja pewno nadarzy się sama.

W rzeczy samej. Markowi udało się wreszcie skierować ku

obleganemu przez widzów lekkiemu bombowcowi o pięknej, rasowej sylwetce. Wreszcie mógł zaspokoić zawodową ciekawość. Coś tam o nim słyszał, ale nie sądził, że tak szybko ujrzy go na własne oczy.

Konstrukcja Petliakowa stanowiła bez wątpienia osiągnięcie. Potężne gondole pod skrzydłami kryły nowoczesne widlaste silniki o dużej mocy. Smukły kadłub zakończony belką ogonową z podwójnym usterzeniem sprawiał, że w oczach Bagińskiego maszyna wyglądała jak wyścigowy koń. Akurat kręciło się przy niej kilku znajomych nowo poznanej działaczki Osoawiachimu.

– Kogo nam tu przyprowadziłaś?

Uśmiechnięty, jasnowłosy chłopak o dziecięcej buzi zupełnie mu nie pasował do bojowego rumaka, a może właśnie pasował, bo tylko tacy śmiałkowie zasiadali za sterami bombowca. – Andriej, poznaj Marka.

Awangarda radzieckiego lotnictwa w osobie Andrieja nie hołdowała burżuazyjnym nakazom skromności. Nad lewą piersią lotnika układała się cała galeria odznak, z których Strzelec Woroszyłowski przyćmiewał całą resztę. Wskazywało to na nieliczne zaangażowanie. Wyglądał na dwadzieścia lat, lecz to wrażenie mogło być mylne. Skoro tak, to niewykluczone, że miał podobne doświadczenie jak Polak. Tu lotnictwo i wszystko, co się z nim wiązało, było masowe, a nie elitarne jak nad Wisłą.

Ochota na chociażby mały przelot, nie wspominając o poprowadzeniu Petliakowa, opanowała świadomość Bagińskiego niecierpliwą żądzą. Z trudem powstrzymał odruch poklepania łopaty śmigła.

– Tysiąc koni to chyba nie ma – zagaił.

– Taki z was znawca, obywatelu?

– Wrodzona ciekawość.

– Mark jest bokserem – nieoczekiwane oświadczenie Poliny zaskoczyło lotników.

– Niezupełnie tak... – starał się powstrzymać dalsze wywody.

– Jesteście czy nie?

Nie chciał tego przeciągać.

– Tak – przyznał w końcu niechętnie.

– *Zachar, pridi siuda!*

Gdzieś z tyłu wyszedł ostatni członek czteroosobowej załogi bombowca. Posturą nie odbiegał tak bardzo od Bagińskiego. Może odrobinę. Pochylony w przód, z podwiniętymi rękawami kombinezonu, wpatrywał się w niego jak kobra w bezbronną ofiarę. Brakowało tylko przechyłów w bok, charakterystycznych dla tego gada, kiedy szykuje się do ataku. Dziwną manierą włosy miał wygolone tuż przy skórze, nie wiadomo po co, skoro ich linia przebiegała zaledwie parę centymetrów nad brwiami. Z twarzy płaskiej jak łopata, sugerującej dalekowschodnie pochodzenie, nie dawało się odczytać absolutnie nic. Poza złośliwością, oczywiście. Doprawdy, czym sobie na to zasłużył? No, tak, Polina. Najwidoczniej Andriej postanowił przywołać do porządku nowego znajomego dziewczyny przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Ciekawe, czy to kumpel Wołodii, czy konkurent do serca.

Obsługa Petliakowa stanęła jak do przeglądu.

– Towarzysz robi nam zaszczyt.

Chcą go wykończyć jak nic. Obić mordę i odesłać do szpitala. Jak to było? W miłości i na wojnie nie obowiązują żadne reguły?

– Chłopaki, przestańcie... – najlepiej obrócić wszystko w żart.

– Nie podejmiecie wyzwania?

A on jeszcze w Polsce martwił się, że nie znajdzie tu odpowiedniego partnera do sparingów.

No to właśnie go znalazł.

– Nie jestem przygotowany – spróbował ostatniej deski

ratunkowej.

– Ależ obywatelu, przecież nie zaraz.

Andriej koniecznie chciał przyszpilić Marka. Co rusz zerkał ma Polinę, jakby płatał właśnie nielichego figla.

– Jutro. W Pałacu Sportu. Zaraz po popołudniowym treningu – wyszczerzone zęby dowódcy Pe-2 błysnęły olśniewająco, by za chwilę przygasnąć. – A wy gdzie właściwie ćwiczycie?

W Pałacu Sportu trenowali żołnierze. Istniał też drugi klub sportowy, Dynamo, powiązany z organami bezpieczeństwa. Pewnie stąd niepokój Andrieja.

– Teraz was strach obleciał – zza pleców doszedł Marka głos z chropowatym akcentem.

– A wy tu czego? – bojowo zakrzyknął dowódca lotników.

– Grzeczniej, obywatelu – Dobrzański z typową dla siebie flegmą wyszedł przed Marka, przejmując dalsze negocjacje – Waszą propozycję przyjmujemy, o ile kierownictwo klubu nie będzie miało nic przeciwko.

Powoli zanosilo się na międzynarodowy skandal. Za chwilę zainterweniuje pierwszy z bezpieczeniaków, który wałęsał się w pobliżu, oglądając ze znudzoną miną kolejny aeroplan. To jeden z tych podążających za nimi od ambasady – podobny do trockistowskiego intelektualisty suchotnik w bluzie nieodgadnionego koloru, o przyprószonych siwizną włosach, z wielkim, garbatym nosem. Jednak zamiast interweniować, szpicel znikł pomiędzy ludźmi, jakby nic nie zaszło.

Tymczasem major rozkręcał się na dobre. Spokój zastąpiła irytująca wszystkich nadmierna pewność siebie.

– Ten wasz Zachar wygląda na cięższego o dobre dwadzieścia kilogramów. Nieładnie.

Czyżby zasady *fair play* nie obowiązywały w socjalistycznym sporcie?

Przewaga sprowadzała się co najwyżej do dziesięciu kilogramów, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Potencjalny

przeciwnik Marka stał speszony, mrużąc oczy. Najwidoczniej okazja sprania po pysku *innostranca* zaczęła mu przechodzić koło nosa.

Gdzieś w tym wszystkim zaginęła Polina. Przed chwilą stała obok Marka, by parę minut później skryć się za plecami kolegów i coraz bardziej niknąć pomiędzy otaczającymi ich ludźmi.

Na dobrą sprawę on i major stali sami naprzeciw tłumowi wietrzącego sensację.

Awantura ściągnęła w końcu milicjanta w białej bluzie, torującego sobie drogę jak buldożer.

– Dokumenty! – wezwanie wyraźnie było skierowane właśnie do nich.

Dobrzański wyciągnął dyplomatyczny paszport, w ostatnim momencie cofając rękę tak, że przedstawiciel ludu został ze zdziwioną miną.

– Wystarczy – orzekł polski attaché, ignorując dalsze próby przejęcia dokumentów przez milicjanta. – A my widzimy się jutro.

To, co spoczywało w zapiętej na guzik kieszeni na piersi, było jak tykająca bomba. Dwie złożone starannie kartki formatu A4 zawierały wszystko, co mu się udało zapamiętać. Do tego dochodziła mapa z oznaczeniami jednostek stojących już na granicy i tych, które zostały wyznaczone na kolejny rzut strategiczny. Symbole nanosił zaostrzonym ołówkiem w skali tak mikroskopijnej, że bez szkła powiększającego nie bardzo dawało się je odczytać. Dodał też tekst rozkazu ludowego komisarza obrony o utworzeniu na zachodzie kraju frontów z dotychczasowych okręgów wojskowych oraz o rozwinięciu sił w kierunku zachodnim.

Oprócz ścisłego kierownictwa socjalistycznego państwa jedynie parę osób zaangażowanych w bezpośrednie przełożenie decyzji politycznych na konkretne rozkazy znało całość zagadnienia.

Skala przedsięwzięcia powalała. Do już skoncentrowanych jednostek dołączyć miały wkrótce rzesze rezerwistów. Na początek w ciągu jakichś trzech tygodni chciano zgromadzić około ośmiuset tysięcy żołnierzy. Resztę planowano dokooptować sukcesywnie. Od lipca liczba dywizji strzeleckich Armii Czerwonej miała wzrosnąć do trzystu pięćdziesięciu. Do tego dochodziło sześćdziesiąt jeden dywizji pancernych i trzydzieści jeden dywizji zmechanizowanych, o kawaleryjskich, powietrznodesantowych, artyleryjskich, myśliwskich, bombowych i mieszanych nie wspominając. Machina już została wprowadzona w ruch i nic nie wskazywało na jakąkolwiek chęć powstrzymania szaleństwa.

Jegor jakoś nie mógł sobie wyobrazić, kto lub co potrafiłoby zatrzymać rozpędzony walec.

Mimo lat indoktrynacji wiedział, jakie naprawdę są siły polskiej armii. Dysponował tabelami porównawczymi i innymi materiałami wywiadowczymi przedstawiającymi w miarę dokładnie skalę zaangażowania obu państw. Jeśli wziąć pod uwagę same cyfry, nie było co porównywać. I to pod żadnym względem, bo co znaczy czterdzieści czy nawet pięćdziesiąt polskich dywizji piechoty przy trzystu pięćdziesięciu radzieckich. Tyle co nic lub jeszcze mniej.

Jakby na przekór temu wszystkiemu postanowił wyrazić swój protest. Jego znaczenie, jak się spodziewał, będzie zgoła żadne, wyłącznie symbolicznie i pozbawione większych konsekwencji militarnych czy politycznych.

Tak czy owak, zasadniczym problemem, jaki przed nim stał, był sposób przekazania tego, czym dysponował, w odpowiednie ręce. Próba wręczenia pakietu czy chociażby zbliżenia się do jakiegoś Polaka z ambasady groziła mu natychmiastowym zatrzymaniem, przesłuchaniem i kulą w łeb, a wszystko miało szansę wydarzyć się w ciągu tej samej godziny. Udziału osób trzecich zupełnie nie brał pod uwagę. Możliwości wyjazdu w bardziej dogodne miejsce, czyli za granicę, przedstawiały się równie marnie.

Nad tą kwestią głowił się cały ranek i przedpołudnie, jednak nie udało mu się znaleźć satysfakcjonującego rozwiązania. Dopiero wizyta w stołówce podsunęła Jegorowi pewną myśl.

Siedział akurat nad talerzem brunatnej brei zwanej eufemistycznie gulaszem, kiedy usłyszał rozmowę starszych kolegów raczących się wieprzowymi kotletami przy sąsiednim stoliku.

Dyskusja dotyczyła, co za traf, pojedynku boksterskiego pomiędzy mistrzem wojsk lotniczych w wadze ciężkiej Zacharem Pielepinem a jakimś – jak to określili – polaczkiem. Major i dwóch kapitanów zaśmiewało się do rozpuku,

komentując przyszłą walkę. Przewaga sowieckiego czempiona nad amatorem z kapitalistycznego kraju była przygniatająca, więc widowisko zapowiadało się ciekawie. Co tam ciekawie! Mordobicie jest lepszym widowiskiem niż koncert skrzypcowy Siergieja Rachmaninowa, wiedzieli o tym doskonale.

Dla Jegora to mogła być jedyna szansa.

Zakończył zleconą przez Timoszenkę pracę i wymówiwszy się niestrawnością, wyszedł z gmachu komisariatu obrony wcześniej niż zwykle.

Napięcie narastało gdzieś w środku. Potrafił je nawet w miarę dokładnie zlokalizować.

Chyba pomiędzy wątrobą a śledzioną, a może dwunastnicą. Do cholery, nie był felczerem.

Zaczynało gnieść z samego rana, osiągając punkt kulminacyjny podczas bandażowania dłoni, i mijało, kiedy już wchodził pomiędzy liny.

Teraz wszystko odbywało się podobnie. Przełknął lekkie śniadanie i poszedł na trening rozgrzać mięśnie. Najgorsze, że nie mógł liczyć na nikogo doświadczonego. Dobrzański stanie przy nim jako sekundant, ale brak ekipy wspomagającej nie wróżył dobrze. Major co prawda zmobilizował, kogo się dało – kierowca Antoni robił za masażystę, a referent do spraw wymiany kulturalnej – Staszek Dudziński – za sparingpartnera. Pozwalał sobie objąć fizjonomię w imię wyższych racji, chociaż jego mina dobitnie świadczyła, jak bardzo cierpi. Ale to było już wszystko.

Jedyne, co mogło Markowi pomóc, to własne doświadczenie i wola walki.

Przy kolejnej serii skłonów, przysiadów i pompek usłyszał ciche kroki. Dokończył, co zaczął, każąc czekać natrętowi.

– Panie Marku... – ambasador Grzybowski we fraku wyglądał jak przybysz z obcej planety w szarej socjalistycznej rzeczywistości. Jeżeli jeszcze zacznie mu prawić banały o konieczności udowodnienia wyższości polskiej racji stanu nad tutejszą, to nie pozostanie nic innego, niż oddać walkę walkowerem. – Nie musi pan tego robić.

O, to coś nowego.

– Panie ambasadorze.

– Wystarczy: Waławie.

Czyżby przełamał kolejną barierę?

– Eee... – wydukał jak idiota, zanim zebrał myśli. – Poradzę sobie. Naprawdę. Robiłem to nie raz. Proszę mi wierzyć.

– Ale teraz będziesz miał przeciw sobie nie tylko tutejszego mistrza. Cała publiczność będzie na ciebie gwizdać i buczeć – zafrasowany ambasador pokręcił głową. – Dam radę to jeszcze odwołać. Powiem, że się nie zgadzam, a wszystko było zaplanowaną prowokacją.

Dopiero teraz Bagiński przestraszył się nie na żarty. Odwołać walkę? Ma wyjść na tchórza?

Nigdy! Już lepiej, żeby mu łeb urwali, niż miałby skapitulować.

– Proszę mi tego nie robić – silił się na spokojny ton, chociaż czuł narastającą w nim wściekłość, jakiej nie doznał od dawna. Trema znikła, a żyłach pojawiła się pierwsza dawka adrenaliny. Nie zdając sobie z tego sprawy, pochylił głowę w dół, jakby to Grzybowski występował w roli przeciwnika.

Postawa młodego człowieka nie zrobiła na ambasadorze wrażenia. Dobrze wiedział, że tak zareaguje. Wystarczył delikatny psychologiczny zabieg pod tytułem: „dajmy temu spokój”, który na rasowego zawodnika podziałał jak płachta na byka. Przez okno widział niepewność człowieka rzuconego w zupełnie nowe dla niego okoliczności. Przy takim nastawieniu Bagiński leżałby na deskach, zanim stanąłby w szranki z Pielepinem. A tak, proszę bardzo, niepewny i zestresowany zastępca attaché wojskowego zmienił się w gotowego na wszystko i zdeterminowanego boksera.

– Rozumiem, że to ostateczna decyzja? – zapytał dla formalności.

– Tak.

– Nie będę więcej przeszkadzał. Wyjeżdżamy o czternastej.

– My?

– Oczywiście. Wszyscy wolni pracownicy placówki oraz zaprzyjaźnieni dyplomaci, głównie Włosi. Francuzi i Brytyjczycy również się wybierają. Taka okazja nie zdarza się często. Prawdę mówiąc, nie zdarza się w ogóle. Obdzwońłem, kogo się dało. Na jakieś pięćdziesiąt osób możemy liczyć. Mało, ale okoliczności nie są normalne. Proszę nie zapominać: godzina i ruszamy.

Serce waliło Markowi w piersi jak młotem. Nie spodziewał się aż takiej frekwencji. Już przy samym wejściu do hali Pałacu Sportu stała co najmniej setka osób i wciąż przybywały nowe. Wciąż żywił nadzieję, że zobaczy Polinę. Przez chwilę wydawało mu się, że ją dostrzegł, stojącą gdzieś w tyle, ale nie. Ta, za którą ją wziął, okazała się wyższa i tętsza, chociaż ubrana tak samo jak poznana dzień wcześniej dziewczyna.

Poprzedzany przez majora i ambasadora, wszedł do środka w szpalerze milczących czerwonoarmistów. Postawny kapitan lotnictwa powitał ich przy wejściu i poprowadził w głąb kompleksu. Tu ludzi było już mniej, co nie znaczyło, że Polacy zostali pozostawieni samym sobie.

W końcu dotarli do odosobnionej szatni na końcu korytarza, tuż przy pomieszczeniach gospodarczych.

– Jeżeli czegoś potrzebujecie, mówcie – Rosjanin sprawiał dość sympatyczne wrażenie.

– Pozwólcie się rozejrzeć.

– Przyjdę po was za pół godziny – spod starannie przyszytych wąsików błysnął uśmiech politowania, po czym kapitan oddalił się, wystukując na posadzce równy takt.

– Ja również nie chcę przeszkadzać – Grzybowski wyciągnął dłoń do Bagińskiego. – Życzę powodzenia. I proszę nie dziękować.

Marek, zmieszany, pokiwał tylko głową.

– Wszystko będzie dobrze – dodał ambasador.

– Wiem.

Zostali w czwórkę, bo masażysta i sparingpartner za nic nie chcieli opuścić podopiecznego.

Dobrzański stanął przy drzwiach, własnym ciałem broniąc dostępu do środka i zapewniając im chociaż minimum intymności.

Teraz najważniejsze to koncentracja i nastawienie. Wszystkie pozostałe sprawy odsunął na bok. Przebrał się i rozpoczął rozgrzewkę. Salka była za mała na krótką przebieżkę. Nawet nie było kranu, żeby splukać zroszoną potem twarz. Co gorsza, parcia na pęcherz nie mógł dłużej ignorować.

– Zaraz wracam.

Wyskoczył na korytarz w poszukiwaniu toalety. W zasadzie był gotów do walki. Biegając truchcikiem, wymierzał ciosy bynajmniej niewyimaginowanym przeciwnikom, czym przestraszył co najmniej kilku obserwujących go żołnierzy uskakujących pod ściany.

Po chwili za zakrętem znalazł odpowiednie pomieszczenie. Nie sposób było tam nie trafić.

Wyraźny zapach doskonale wskazywał, do czego służy. Oddychając przez usta, wszedł do środka i natychmiast tego pożałował. Już chciał się cofnąć, kiedy obok niego przesunęła się drobna postać.

Jeśli on może, to ja też – pomyślał Marek, zresztą i tak drogę odwrotu odcięła mu grupka obserwujących go bacznie funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa. Nawet na sekundę nie został sam. Widać kontrola obowiązywała i w takich miejscach.

Kolejny kwadrans minął szybko. Przed walką zawsze tak się działo. Najpierw długie oczekiwanie, a później czas nabierał rozpędu.

– Chodźmy.

Ruszyli krętymi korytarzami.

Już tutaj ludzi było zatrzęsienie. Stali pod ścianami, wpatrując się w polską reprezentację, niczym w dziw natury, a gdzieś z przodu przed nimi narastał gwar podniesionych głosów. W końcu wyszli na salę. Publiczność – co najmniej trzy tysiące ludzi – przywitała ich grobowym milczeniem.

Trwało to może parę sekund, po czym przerodziło się w niechętne okrzyki i gwizdy. Równocześnie Marek zobaczył przed sobą zwarty ludzki mur naciskający na nich z całej siły.

Major wyprostował ręce i jak taran wbił się w sam środek. Mając po prawej stronie Antoniego, a po lewej Dudzińskiego, którzy też usiłowali zapewnić mu względną swobodę ruchów, znalazł się w oku cyklonu. Spocone, wykrzywione złością twarze coś do niego wykrzykiwały i raczej nie było to nic przyjemnego. Jakiś konus odepchnął w końcu Antoniego i przypadł do Marka. Już go gdzieś widział. No, tak – w tej ohydnej toalecie. Najchętniej potraktowałby natręta ciosem prosto w szczękę. Powstrzymał odruch, kiedy poczuł, że ten wsuwa mu do zabandażowanej ręki jakieś papiery.

– Trzymaj – wyszeptały zaciśnięte usta.

Młodzian znikł równie niespodziewanie, jak się pojawił.

Zmięte w nieforemną masę kartki z drobnym, odręcznym pismem wsunął do kieszeni spodni Dudzińskiego, nie bardzo wiedząc, co się stało. Dotarli do samego ringu. Antoni jak rasowy sekundant podskoczył do góry i przytrzymał liny, przez które przecisnął się Marek. Teraz niechęć tłumu osiągnęła apogeum.

– Zawodnik z Polski. Waga średnia. Mark Bagiński. Dwadzieścia pięć walk. Dwadzieścia zwycięstw.

To o nim? Trochę się zdziwił. Stoczył najwyżej osiemnaście walk, z tego wygrał czternaście. Ciekawe, co im nagadał Dobrzański.

– A teraz przed państwem mistrz klubu sportowego

Dynamo Zachar Pielepin. Trzydzieści trzy walki. Dwadzieścia osiem zwycięstw. Niekwestionowany champion wojsk lotniczych i ubiegłoroczny wszechzwiązkowy mistrz kraju.

Burza oklasków wzbiła się aż do nieba.

Zaczęli chwilę potem, już bez dalszych ceregieli. Pierwszy do ataku ruszył Rosjanin.

Najpierw kilka słabych lewych prostych w celu wymacania przeciwnika, a później już ostra szarża i grad ciosów. Marek zasłonił głowę rękawicami, tylko sporadycznie kontratakując. Czekał na okazję, na razie pozwalając Pielepinowi wyskakać się do woli. Przez całą pierwszą rundę wszystko wyglądało tak samo. Większość ciosów przeciwnika lądowała na rękawicach bądź przechodziła bokiem na skutek uników Marka. Raz, co prawda, z zaskoczenia mocno oberwał w prawy bark, ale w porę odskoczył, nie pozwalając wykorzystać chwilowej przewagi.

Druga runda i znów podobnie. Mistrz klubu Dynamo i mistrz kraju doskakiwał, młóćąc serią ciosów powietrze, sporadycznie tylko trafiając Polaka, który wciąż walczył w szczelnej gardzie. Podczas trzeciej rundy już zupełnie rozluźniony i pewny łatwego zwycięstwa Pielepin odsłaniał się coraz bardziej. Przy okazji słabła siła i precyzja jego ciosów. Najwyraźniej zmęczenie dawało mu się we znaki.

W końcówce czwartej rundy Bagiński dostał to, na co czekał: zupełnie odsłoniętego i ciężko dyszącego Rosjanina. Teraz kontra. Lewy prosty. Skontrowanie. Jeszcze raz tak samo. Prawy podbródkowy również nie doszedł, ale sprawił, że lewa ręka Pielepina poszła w dół. Poprawka.

Sierpowy ląduje na szczęce. Przeciwnik ogłuszony i z błędnym wzrokiem powoli traci orientację.

Pora kończyć.

Lewy prosty poszybował w punkt raz i drugi. Kropelki potu oderwały się od skroni Zachara niczym na zwolnionym

filmie, a on sam runął na deski jak podcięty kosą.

Koniec.

Zamiast owacji hala odpowiedziała grobowym milczeniem.

Komitiet powitalny w osobach Grzybowskiego i kilku jeszcze zagranicznych dyplomatów czekał tuż koło szatni. Bagiński zebrał gratulacje, uściśnął wszystkie dłonie, wysłuchał komplementów. Zwłaszcza młodszy pracownik angielskiej placówki Jasper Marshall nie mógł wyjść z zachwyty. Jako wytrawny znawca boksu pochwalił obroną przez Marka taktykę i jako jedyny zauważył, jak nierówne były szanse. Już na sam koniec szepnął mu prosto do ucha:

– Proszę mi wierzyć, nie zapomnimy o panu.

Francuzów i Włochów nie bardzo zrozumiał – trudno było ocenić, czy ekscytowali się samą walką, czy sobą nawzajem. Dobrnął w końcu do zarezerwowanego dla niego pomieszczenia i z ulgą opadł na ławkę.

– No, no... – w stwierdzeniu Dobrzańskiego czaił się nieskrywany podziw. – Było świetnie!

– Sam się wystawił.

– Nie przesadzaj. Stałem w narożniku i wszystko widziałem. Sierpowe miał naprawdę potężne.

– Ale nie potrafił ich wykorzystać – odparł Marek.

– A co ci Marshall nagadał do ucha?

Major zauważył nawet to, ale Bagiński zdziwiłby się, gdyby było inaczej.

– Że mu się podobało i że nie zapomni.

– Gotowi cię jeszcze zwerbować – major wyciągnął z kieszeni marynarki papierośnicę, ale powstrzymał odruch.

– Co takiego?

– Dobrze usłyszałeś – wojskowy attaché zagryzł usta. – Zrobiłeś wrażenie, a to się liczy. Za parę lat będziesz kimś. Nie zaprzeczaj, wcale nie przesadzam. Wylądujesz w końcu w centrali i staniesz się wart tyle, ile sam ważysz.

Jakoś nigdy nie brał tego na poważnie. On w roli agenta

wywiadu lub kogoś kierującego siatką wywiadowczą? Mało prawdopodobne. W tym momencie przypomniał sobie zdarzenie sprzed walki.

- Staszek, pozwól tutaj.
- Zaraz przyniosę ręczniki.
- Nie o to chodzi.

Marek odwrócił się do kolegi.

- Sprawdź kieszenie.

Dudziński wykonał prośbę.

W kieszeniach nie było niczego.

- Gdzie są te papiery, które wcisnąłem ci, gdy szliśmy na salę?

- Jakie papiery?

Dopiero teraz dotarło do Marka, że być może zawałił istotną sprawę. Zdenerwował się nie na żarty.

- Dostałem je od jakiegoś chłopaka i włożyłem do twoich spodni.

Na obliczu Dudzińskiego odmalowało się zdziwienie, a następnie cały proces intensywnego przypominania sobie.

- Faktycznie... Coś tam było... Ale wywaliłem wszystko do kubła na śmieci.

- Co? Gdzie?

- Przy ringu. Jeszcze przed pierwszą rundą.

- To gnaj z powrotem i módl się, by nie zaczęli sprzątać.

Już przy drzwiach referenta zatrzymał głos majora.

- Zrób to w miarę dyskretnie.

- Dobra.

Dudziński znikł na zewnątrz.

- Wiesz, co to było?

- Jakies rysunki i bazgroły.

– Cholera, zalatuje prowokacją – attaché w końcu wyciągnął upragnioną papierosnicę i nerwowo zaczął chodzić od ściany do ściany. W jego mniemaniu wyglądało to na dobrze przemyślany ruch ze strony NKWD. Przecież nic na tym nie

tracili, a wplątanie polskiej placówki w aferę szpiegowską działało wyraźnie na ich korzyść. Był na siebie zły. Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że dał się podejść. Z drugiej jednak strony ochrona, jaką dawały im dyplomatyczne paszporty, pozwalała żywić nadzieję, że wyjdą z tego obronną ręką.

W końcu do środka wpadł Dudziński.

– Co tak długo?

– Fakt, trochę mi zeszło, ale mam – wyciągnął pomięte kartki w stronę oficera.

Majora z kolei teraz nawiedziła zupełnie inna myśl – a może to wszystko nic nie jest warte?

Podsunał poplamiony czymś żółtym plik bliżej oczu. Pismo było tak drobne, że ledwie dawało się odczytać. Gdzie tu jest początek? O... Już tytuł wydawał się ciekawy – „Ogólne Założenia Rozwinięcia Strategicznego”. Przebiegł wzrokiem podpunkty z zadaniami i listę dywizji. Jeżeli wszystko się potwierdzi, to mają niezły strzał. Odwrócił stronę: rozkaz Timoszenki o utworzeniu frontów z początkiem... O cholera... „Pierwszy i Drugi Rzut Strategiczny” i najważniejsze zadania postawione przed zgrupowaniami. Ostatnia strona to mapa. Mapa ze strzałkami wymierzonymi wprost w... Na ile potrafił, zacisnął zęby, nie dając nic po sobie poznać.

– Ważne? – zapytał Bagiński.

– Tak sobie – odpowiedział major po chwili wahania.

– I po co tyle gadania? – dodał od siebie Dudziński, zajęty pakowaniem sprzętu. – Zawołam Antoniego. Pora się zbierać.

– Jasne.

Staszek wyszedł po raz drugi.

– Strzał w dziesiątkę? – pozornie obojętna mina Dobrzańskiego nie zwiodła Marka.

– Nawet lepiej.

– Cieszę się, że mogłem pomóc, chociaż niewiele w tym

mojej zasługi.

- Musimy to jeszcze skonfrontować z rzeczywistością.
- Zrobię, co będę potrafił.
- A jakże. Ty to zacząłeś i ty to skończysz.

Sam niewiele wymyśli. Miał ograniczone możliwości, na dodatek i tak znajdował się pod bezustanną kontrolą, co dawało niewielkie opole manewru. Oczyszczył papier, na ile potrafił. Dla pewności wykonał dodatkowe mikrofilmy, dublując informacje. Teraz najważniejsze to przerzucić wszystko do Warszawy wprost na biurko Pełczyńskiego. Ha, takiego obrotu sprawy generał pewnie się nie spodziewał, gdy wysyłał go do Moskwy. W końcu nigdy nie był rasowym oficerem wywiadu. Miał za to jedną cechę, która pozwalała mu nadrabiać braki w wyszkoleniu: z równą pasją jak do ujeżdżania koni podchodził do wszystkiego i w dowolnej dziedzinie szybko osiągał niezbędną biegłość.

Do prowadzenia najtrudniejszej ze wszystkich placówki podszedł jak do narowistego konia – najpierw dał się mu wyskakać, by później mocniej spiąć ostrogami i zobaczyć, dokąd pogalopuje.

Jednak to, co trzymał przed sobą, nie było jego zasługą, raczej dziełem przypadku. Może nigdy nie dojdą do tego, kim był informator. Narwaniec czy rozczarowany własnym krajem ideowiec, a może jeszcze ktoś inny? Bagiński niewiele pamiętał. Nic dziwnego, to żółtodziób o mizernym doświadczeniu. Na szczęście sprawił się dobrze i nie skrewił.

W tych okolicznościach najbardziej zależało majorowi na czasie. Mógł co prawda skorzystać z kuriera, ale doszedł od wniosku, że najlepszy będzie jego młody podopieczny. Niech wraca do centrali i opowie wszystko Pełczyńskiemu. Najbliższy lot jest za trzy dni, o ile dobrze pamiętał. Spokojnie przygotuje raport, sprawdzi to i owo, podpytując

dyskretnie wojskowych attaché z pozostałych krajów. Może do nich dotarły chociażby strzępy interesujących go informacji.

Nic więcej nie działo.

Zamknął teczkę z dokumentami, włożył ją do sejf, wyłączył światło i poszedł w końcu spać.

Odniósł wrażenie, że wrócił do punktu wyjścia. Ponownie stał przed nieprzyjemnym lejtnantem, który z zainteresowaniem oglądał jego paszport, jakby to robił pierwszy raz, nawet mrugnięciem oka nie dając znaku, że pamięta sytuację sprzed tygodnia.

– *Familia?*

Marek westchnął i podał nazwisko. Widać cały rytuał musiał się odbyć od początku.

Do środka baraku wparował niespodziewanie Jasper Marshall w szarej tweedowej marynarce. Mrugnął porozumiewawczo do Bagińskiego i ustawił się w kolejce zaraz za nim.

Lejtnant skrzywił się z nieskrywaną niechęcią, na tym jednak poprzestał i znów zajął się formularzami.

– *Pierechodit* – machnął końcu na podporucznika, z czego ten skwapliwie skorzystał.

Srebrny Lockheed stał nieopodal. Do odlotu pozostał dobry kwadrans.

Idąc powoli w stronę samolotu, Marek pomyślał, że powinien zaczekać na Anglika. Nad głową usłyszał szum. Po niebie z dudnieniem silnika przemknął dwupłatowiec. Pękaty, krótki kadłub. Nic, co by go mogło zainteresować.

Kiedy tak stał, odprowadzając maszynę wzrokiem, doszedł Marshall i przystanął o krok za nim.

– Nie znoszę latać – zdobył się na wyznanie Anglik.

– Przykro mi to słyszeć, bo ja uwielbiam.

– Wiem – powiedział Jasper, po czym ruszył w stronę LOT-owskiego samolotu. Przez ramię przerzucił jasny płaszcz. Już

przy schodkach zdjął z głowy kapelusz, jakby wchodził do kościoła, i znikł we wnętrzu Super Elektry.

Unikanie Marshalla nie miało najmniejszego sensu. Przecież ich ścieżki skrzyżowały się nieprzypadkowo. Marek ruszył zatem w ślad za nim, zastanawiając się, co przyniesie podróż.

Usiadłszy przy Jasperze, wyciągnął nogi przed siebie, na ile było to możliwe. Latanie chyba faktycznie nie służyło brytyjskiemu dyplomacie, bo gdy tylko został uruchomiony silnik i samolot rozpoczął kołowanie, jego zaciśnięte na podłokietnikach dłonie zeszytywniały, a oblicze zbladło.

Marshall wyglądał na bliskiego śmierci.

– Masz to od dawna?

– Co?

– Strach przed lataniem.

– Od dziecka, *fu...*

Ostatniego słowa Marek nie zrozumiał, bo przecież nie uczył się tak rynsztokowego słownictwa.

– Mam lekarstwo na twoją dolegliwość.

– Naprawdę? – promyk nadziei mignął w wystraszonej spojrzeń.

– Powiesz mi tylko, co tutaj robisz... I już.

– Dostałem polecenie.

– Tyle to i ja się domyślam.

Samolotem szarpnęło w przód.

– Oho...

– Spadamy?

– Jeszcze nie wystartowaliśmy.

– To co to było?

– Próbuje silniki, ale... – Bagiński nie miał już ochoty dłużej pastwić się nad Marshallem.

– Powiedz.

– Jak Rosjanie dowiedzą się, że jesteś na pokładzie, to mogą próbować nas zestrzelić.

– Pieprzysz.

– Więc jak będzie?

– Nic takiego. Konferencja. Mam umówić spotkania.

Jasper z wdzięcznością przyjął srebrną piersiówkę. Kochany Antoni, o niczym nie zapomniał. Od Dobrzańskiego Marek dostał list i instrukcje, aby przekazać materiały bezpośrednio Pełczyńskiemu. Zainteresowany czekał na niego, powiadomiony osobnym kanałem. Przynajmniej teraz wiedział, dla kogo bezpośrednio pracuje, a skoro zainteresowanie wykazał sam generał, to informacje zawarte na tych karteczkach musiały być naprawdę istotne. O główne zadanie – zbadanie stanu sowieckiego lotnictwa – ledwo się otarł. Tak czasami wychodzi. Może następnym razem będzie miał więcej szczęścia.

– Długo siedziałeś w Moskwie? – zapytał Jaspera.

– Pół roku. Prawie – odrzekł tamten, zdobywając się na odwagę i wyglądając przez okienko na zewnątrz. Z wysokości stu metrów szczegóły na ziemi były wciąż łatwe do dostrzeżenia. – Przyleciałem z końcem listopada. Ledwie dałem radę. Ten klimat mnie wykańcza.

– Tylko to?

– System też, nawet bardziej. Dodaj do tego nudę i masz komplet.

– W czym konkretnie robisz?

– Systemy komunikacyjne, czyli szeroko rozumiana łączność. – Marshall wyrzwał po raz ostatni na zewnątrz i już rozluźniony wrócił do rozmowy. – Parę tygodni przed twoim przyjazdem wszystko zaczęło się zmieniać. Atmosfera. Niby nic się nie wydarzyło, ale zaczęto patrzeć na nas z wyższością i nieskrywaną wrogością. Sam wiesz. Również padłeś tego ofiarą.

– Chyba masz rację.

– Prasa i radio to osobna historia. Ton wypowiedzi pod naszym adresem uległ zaostrzeniu, i to bez wyraźnego powodu.

Nie tak dawno słyszał podobną wypowiedź. Począł, pozwalając wspomnieniom wypłynąć na wierzch. Tak, noc w Grodnie: jacyś kumple Zygmunta twierdzili coś podobnego. Poczł przechodzące po plecach ciarki i spojrzł na przykutą do nadgarstka tęczkę. Czy to w niej znajdowały się odpowiedzi na dręczące go ostatnio pytania?

14
WARSZAWA

Przeczucie to dobra rzecz. Zwłaszcza takie, które znajduje potwierdzenie w faktach. Druga dobra sprawa to sam Bagiński, który spina wszystko jak klamra. Liczył na chłopaka, lecz nie spodziewał się, że efekty przyjdą tak szybko. Z listu Dobrzańskiego wynikało, że młody lotnik sprawił się dobrze, żeby nie powiedzieć doskonale. Tak... Ten Pielepin to kawał sukinsyna – na twarzy Pelczyńskiego zagościł uśmiech satysfakcji. Generał pamiętał z doniesień prasowych, że Rosjanin w ostatniej walce o mistrzostwo kraju wprost zmasakrował przeciwnika, którego po walce wynieśli na noszach. Tym razem miało być podobnie, i co? Ale, ale: oprócz satysfakcji Bagiński przywiózł z Moskwy coś jeszcze.

Jak na razie o całej sprawie wiedziało raptem kilka osób, a i to głównie z Referatu Wschód.

Wcześniej docierały do nich różne szczegóły dzięki skrupulatnemu kompletowaniu odprysków informacji, niemniej wciąż brakowało klucza do interpretacji tych danych. Szczególnie zastanawiała mnogość doniesień o formowaniu nowych dywizji, których liczba rosła chyba w postępie geometrycznym. Początkowo pracownicy referatu przypisywali to planom ekspansji na nowe terytoria, gdzieś w Pendżabie czy Bengalu, ewentualnie chęci poszerzenia wpływów kosztem Turcji lub brytyjskiego Iraku. Koncepcja wyglądała na w miarę spójną i logiczną. Tylko do czasu, gdyż po paru dobach ślęczenia nad informacjami, po weryfikacjach i konsultacjach z okruchów i fragmentów wyłonił im się zupełnie nowy obraz.

Powodu do strachu jeszcze nie było, ale do zaniepokojenia – owszem, jak najbardziej. Pod schematem widniała nawet przypuszczalna data: 4 lipca. Kiedy Pełczyński pierwszy raz trafił na nią podczas lektury opracowań, poczuł nieprzyjemny skurcz żołądka. Szarpnęło nim jak nigdy wcześniej. Dwa miesiące to zarazem mało i dużo. Cała polska armia od ponad dwudziestu lat przygotowywała się właśnie na taką okoliczność. Strukturę organizacyjną, wyposażenie, przemysł, plany mobilizacyjne, KOP, ćwiczenia sztabowe podporządkowano jednemu założeniu – wojnie z Sowietami. No i właśnie wszystko zaczęło wskazywać, że ta wojna im realnie grozi lada moment.

Za parę dni przedstawi wszystko Śmigłemu, ministrowi spraw wojskowych generałowi Tadeuszowi Kasprzyckiemu i szefowi Sztabu Głównego generałowi Wacławowi Stachiewiczowi.

Politycy – prezydent Ignacy Mościcki, premier Felicjan Sławoj Składkowski i minister spraw zagranicznych Józef Beck – to już nie jego działka. Wiedział, że za parę dni rozpęta się burza na najwyższych stanowiskach w państwie, i bardzo liczył, że odbędzie się to poza nim. Niestety, animozje między Kasprzyckim i Stachiewiczem mogą wpłynąć na sytuację w armii, jeżeli Śmigły nie powstrzyma tych sporów. Podobnie jak poprzednim razem, Polska z pewnością od samego początku znajdzie się w stanie wojny totalnej. Terytorium całego państwa, wszystkie województwa, nawet te najbardziej oddalone, nie unikną przykrych konsekwencji. Tylko od powściągnięcia własnych urazów i ambicji będzie zależeć los kraju i ich samych. To próba, której muszą sprostać.

Jeśli nie – biada przyszłym pokoleniom.

15
MOSKWA

– Jegor, chłopcze... – Siemiona Konstantynowicza Timoszenkę rozboleła głowa od nadmiaru papierosów, alkoholu i emocji. Niby już wszystko było przygotowane, aż tu nagle wtrącił się Żukow. Pod jego wpływem „Koba” ponownie przeanalizował założenia i dokonał poprawek w planach. Poprawek daleko idących: największym taranem rozbijającym polską obronę już nie miało być północne skrzydło, tylko południowe, koncentrujące *gros* sił w rejonach Żytomierza, Berdyczowa, Mohylewa i Kamieńca Podolskiego.

– Tak, towarzyszu dowódco?

Narkom przekazał młodszemu lejtnantowi wykaz jednostek wraz z dyslokacjami.

– Bierz się do roboty.

Skupienie na twarzy pomocnika nie uszło uwagi Timoszenki.

– Tak już bywa w naszym fachu.

– Czy to ostateczne decyzje?

– Tu nic nie jest ostateczne, chłopcze – marszałek przysłonił usta pięścią i zakasłał. – I tak mamy szczęście – zrobił parę kroków do tyłu. – Nie wszystkie transporty ruszyły. I Pancerny i LXIV Piechoty dopiero ładują się na eszelony.

– Podobnie jak XXVIII KP z 4 Armii – odpowiedział Jegor.

– To akurat bez znaczenia, bo co do niego rozkazy się nie zmieniały.

Lejtnant rzucił okiem na rozpiskę. W ustach zebrał tyle śliny, że nie bardzo wiedział, co z nią zrobić. Przełknął

wszystko za jednym razem, przez co o mało się nie zakrztusił. To, co miał wprowadzić do jako aktualizację do planu, zmieniało wszystko. Powinien był to przewidzieć i zaznaczyć w danych przekazanych Polakom, że dostają wersję hipotetyczną, nieostateczną. Tylko czy wtedy by uwierzyli? Nie dość, że z niepotwierdzonego źródła, to jeszcze niepewne dane. Wtedy wszystko na nic. Teraz problem był o wiele większy – jeżeli przekazane informacje przyjęli za dobrą monetę, to wprowadził ich w błąd, a to o wiele gorsze. Wzmacniając pozycję na północnym skrzydle Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego, pozostawiali odsłonięty rejon na południe od błot Prypeci. Tym samym wręcz ułatwiali agresję. A on, zamiast pomóc, stał się mimowolnym sojusznikiem Stalina i jego najgroźniejszą bronią. Dezinformacja bywa równie skuteczna jak cały pancerny korpus. Albo i dwa.

16
WARSZAWA

Sytuacja zaczęła się klarować w połowie maja, potwierdzając w znacznej mierze to, co już wiedzieli, oraz dodając parę nowych pytań, na które nie znali odpowiedzi.

Pierwsze informacje zostały najnormalniej w świecie opublikowane w prasie. 7 maja „Izwestia” na pierwszej stronie zamieściła tekst o mianowaniu Stalina przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych. Nowy przewodniczący zachowywał funkcję szefa rządu oraz sekretarza generalnego partii. Cała władza cywilna teraz już oficjalnie została skupiona w jednym ręku. Tylko najwięksi naiwniacy mogli jeszcze żywić złudzenia co do dobrych intencji Kremla. Tak daleko idącej centralizacji nie dokonywano bez powodu. Na potwierdzenie tych przypuszczeń już dzień później, 8 maja, agencja TASS oficjalnie zaprzeczyła pogłoskom, jakoby Armia Czerwona przeprowadzała koncentrację sił wzdłuż własnych granic.

Parę dni po tych prasowych enuncjacjach na biurko Pełczyńskiego spłynął kolejny dokument, w którym potwierdzano przerzut dodatkowych dwudziestu ośmiu dywizji nad zachodnią granicę Sowietów. Jeśli dodać do tego powołanie ponad ośmiuset tysięcy rezerwistów, to zamiary miłującego pokój narodu stawały się całkowicie jasne.

W trakcie pierwszej narady na Zamku Królewskim w Warszawie, gdy szef wywiadu i kontrwywiadu wojskowego przedstawił rządowi stan wiedzy o siłach i planach Moskwy, odpowiedziała mu cisza. Nawet tak zwykle elokwentny i pewny siebie minister Beck milczał.

Dobre kontakty z Paryżem czy Londynem obecnie na niewiele się przydawały. Praga, Budapeszt i Bukareszt przyjęły wyczekującą pozycję. Zdaje się, że bez względu na wszystko Polska będzie stanowić główny filar obrony. Oby nie jedyny. Na razie z punktu generała Pełczyńskiego było źle, ale nie katastrofalnie.

W końcu zyskał trochę wolnego czasu i po ostrym maglu ostatnich paru tygodni mógł odetchnąć pełną piersią. Wciąż pozostając do dyspozycji wywiadu, właściwie nie pełnił żadnej funkcji, a to go wkurzało i deprymowało. Wedle własnego przekonania wiedział więcej od pozostałych, a równocześnie pozostawał w odstawce. Stamtąd widział, jak kraj powoli przestawia się na inne tory. Wyrwawszy się z całkowitej beztroski, jeszcze nie popadł w straceńcze męczeństwo. Różnice były bardziej subtelne – ot, kolejna zbiórka Funduszu Obrony Narodowej na szczytny cel, powołanie większej niż zwykle liczby junaków z Przysposobienia Wojskowego na szkolenia czy niezapowiedziane wcześniej *tournée* ministra Becka po sojuszniczych stolicach.

Przebąkiwało się również o wizycie w Berlinie. Kanclerz Hermann Göring zainteresował się nią, podkreślając wagę pokoju w Europie jako wartości samej w sobie. Podobnie twierdzili premierzy Francji – Édouard Daladier – i Wielkiej Brytanii – Winston Churchill. Oczywiście, Moskwa milczała jak zaklęta, z rzadka tylko wydając oficjalne oświadczenia, bardzo enigmatyczne w tonie i treści.

Europejscy socjaldemokraci i komuniści co rusz organizowali masowe wiece poparcia i solidarności z ojczyzną światowego proletariatu. Większość manifestacji kończyła się podobnie – ulicznymi burdami, podczas których naprzeciw nich stawali młodzi członkowie partii zorientowanych zdecydowanie bardziej prawicowo. Tak było w Londynie, Paryżu i – o dziwo – w Rzymie. Tam „Czarne

Koszule” Mussoliniego przy współudziale policji próbowały rozgonić tłum. Faszyści przeliczyli się jednak z możliwościami. W trakcie zamieszek wokół placu Weneckiego podpalono Il Vittoriano – pomnik wzniesiony dla uczczenia pięćdziesięciolecia królestwa Włoch – lecz zwolennikom Duce udało się obronić przed zdewastowaniem jego siedzibę, Palazzo Venezia. Dopiero nawoływanie papieża Piusa XII o rozwagę i opamiętanie przyniosło skutek. Spokój jednakże nie trwał długo.

Wśród tych niepokojów jak grom z jasnego nieba zadziało kilka zdjęć w światowej prasie, wykonanych przez nikomu nieznanego reportera. Na podberlińskim lotnisku w Gatow wylądował ANT-25 „Stalinowski Szlak”, samolot do zadań specjalnych wodza światowego proletariatu. Na jego pokładzie przybył do stolicy III Rzeszy sam Wiaczesław Mołotow, narkom spraw zagranicznych, witany przez swojego odpowiednika Joachima von Ribbentropa. Fotografie uwieczniły kołowanie słynnej maszyny i długie, serdeczne uściski obu ministrów. Oficjalnym powodem wizyty było zacieśnienie wzajemnych powiązań gospodarczych, lecz tylko niewielu obserwatorów dało się na to nabrać. Wizyta sowieckiej delegacji, mająca charakter półoficjalny, za sprawą przecieku nadała polityce tych dwóch krajów zupełnie nowe oblicze. Dla Warszawy, niespodziewającej się podobnego obrotu sprawy, stanowiło to poważne ostrzeżenie.

Wydarzenia te, choć relacjonowane przez krajowe gazety, nie robiły jednak na Bagińskim zbytniego wrażenia. Młody lotnik nadal żył w przeświadczeniu, że wszystko będzie dobrze.

Niemniej jednak dany mu czas postanowił wykorzystać najlepiej, jak potrafił.

Trudno powiedzieć, że Sidorowicz przyjął go na powrót z otwartymi ramionami, jednak nie utrudniał. 111 Eskadra Myśliwska intensywnie ćwiczyła, więc każdy pilot mógł się

przydać.

Na lotnisku panował ruch, jakiego Marek nigdy wcześniej nie widział. Co najistotniejsze, zamiast jedenastek wyciągnięto starannie do tej pory zakonserwowane MS.406.

Początkowy cykl szkoleń go ominął, na szczęście jednak nie musiał nadrabiać zaległości.

Jego kilkutygodniowa absencja została usprawiedliwiona chorobą, więc koledzy o nic nie pytali, przyjmując Marka, jakby się nic nie stało.

Stał w kombinezonie przy hangarze i oglądał kolejno wytaczane przez mechaników myśliwce. Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że to właśnie on pośrednio stał się sprawcą tego całego zamieszania.

Ktoś grzebał w silniku najbliższej stojącej maszyny, chyba sprawdzając gaźnik. Właśnie zamknął pokrywę silnika i wyłonił się z cienia.

– Dawno pana nie widziałem – ostatni element wskoczył na właściwe miejsce. Znow wszystko było jak dawniej.

– Panie Felicjanie, jak się cieszę.

– Szmata czasu.

– Miesiąc z okładem...

– Z mojej perspektywy.

Podeszli do maszyny.

– Można? – zapytał dla zasady.

– Jak pan koniecznie chce, panie Mareczku...

Bagiński palcami pieszczotliwie dotknął trójęłopatego śmigła. Model stojący przed nim napędzany był rzędowym silnikiem Hispano-Suiza, nadającym płatowcowi prędkość 500 kilometrów na godzinę, i wyposażony w dwa działka HS.104 kalibru 20 mm i dwa karabiny maszynowe MAC 7,5 mm. Wymalowana na oliwkowym tle biało-czerwona szachownica na skrzydłach i stateczniku pionowym nie pozostawiała wątpliwości co do przynależności państwowej samolotu.

Marek stał tak przez dłuższą chwilę, zanim głos mechanika nie wyrwał go z otępienia.

– Na co pan jeszcze czeka? Wszystko gotowe, tylko wsiadać i lecieć.

Pośpiesznie wskoczył do kabiny, jakby pan Felicjan mógł się rozmyślić, i zapiał pasy. Silnik zaskoczył od razu. Dawno nie czuł takiej euforii. Pierwszego startu na maszynie, na jakiej nigdy wcześniej nie latał, nie dawało porównać się z niczym.

Na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów poeksperymentował trochę z akrobacjami.

Zwykle pętle i beczki nie wystarczyły. Spróbował korkociągu, sprowadzając Morane' a w dół przez lewe skrzydło. Spadał dłuższą chwilę i w końcu wyprowadził myśliwiec z ewolucji. Ściągnął drążek do siebie i zwiększył ciąg, ponownie wzbijając się w błękitne niebo. Jak on to lubił!

Wylądował bez problemu. Morane był niezły. Nie rewelacyjny, ale niezły. Prawdziwe cuda słyszał o Hurricane'ach i Spitfire'ach, mających zdecydowanie większą moc i lepsze uzbrojenie.

Ech, niechby tylko zdarzyła się okazja...

– Jak było?

– Wspaniale!

Zdjął rękawice i pilotkę. Przejechał rękawem kombinezonu przez mokre włosy, przyklejone do skóry głowy.

– Jeżeli to możliwe, chciałbym go sobie zaklepać – mrugnął porozumiewawczo do pana Felicjana.

– No, nie wiem.

– A co, ktoś mnie wyprzedził?

– Czekają na pana – starszy mechanik wzruszył ramionami.

– Kto?

– Sam pan wie najlepiej.

Obok hangaru stał czarny osobowy citroën z dwoma agentami opartymi o maskę. Mimo dość ciepłej pogody obaj byli ubrani w długie jasne płaszcze i kapelusze, co wyglądało

dość osobliwie. Poruszali się niezgrabnie. Bagiński westchnął. „Dwójkarze” byli potrzebni, chociaż nikt nie pałał do nich miłością.

Podszedł, przecież nie będzie uciekać.

– Panowie pozwolą, zmienię strój na bardziej odpowiedni.

– Poczekamy – odpowiedział niższy, o bardziej inteligentnym wyrazie twarzy. Kolega najwyraźniej robił za kierowcę.

Przebrał się szybko. Chciał to mieć za sobą. Usiadł z tyłu. Chwilę trwało, zanim wyższy z tajniaków uruchomił motor i samochód ruszył po nierównościach, postępując. Droga do gmachu Ministerstwa Spraw Wojskowych zajęła im pół godziny. Minęli wzmocnioną wartę przy bramie i weszli do środka. Senni oficerowie i urzędnicy, których pamiętał ze swojej ostatniej wizyty, znikli w magiczny sposób, przeistoczeni w pełnych werwy oficjeli załatwiających pilne sprawy.

Biuro, w którym kazano mu czekać, wyglądało jak tysiące podobnych – szafa, stół, krzesło.

Nudził się dobry kwadrans.

– Dzień dobry – do pokoju wszedł barczysty pięćdziesięciolatek z włosami zaczesanymi do tyłu i wypiełgnowanym wąsikiem, pachnący dobrą wodą kolońską. Znakomicie skrojony garnitur nie krył sylwetki rasowego oficera. Cechująca go precyzja ruchów uświadomiła Bagińskiemu, że ma do czynienia z osobą przywykłą do wydawania poleceń i potrafiącą przedstawić przełożonemu własną, choćby niepopularną opinię.

– Siadajcie, nie będziemy przecież stali.

Opadli na miejsca, każdy po swojej stronie biurka.

– Generał prosił mnie, bym... – na Marku spoczęło badawcze spojrzenie ciemnych oczu spod ciężkich brwi. – Pan, zdaje się, nie pali?

– Raczej nie.

– Ja też chciałbym rzucić, ale jakoś nie wychodzi – w precyzję ruchów wdał się niepokój. – Mniejsza z tym. Zacznijmy od początku.

Jak od początku, to od początku. Zaczął opowieść.

– Nie, nie zrozumieliśmy się. Trochę dalej. Pokazy lotnicze własnymi słowami. Wszystkie sugestie, spostrzeżenia, również te błahe, jakich nie było w raporcie. Jesteście przecież specjalistą.

– Jeżeli miałbym dokonać analizy porównawczej...

– Tak, o właśnie.

– Mówię o parametrach technicznych. Stan ilościowy jest mi niestety nieznany – rozpoczął ostrożnie Bagiński, przywołując wspomnienia ustawionych na podmoskiewskich błoniach samolotów.

Rozpoczął od rozpoznawczych, nie znajdując w nich nic ciekawego. Myśliwce I-16 całkiem dobre, silnie uzbrojone, o sporej mocy silnika. Użyte w dużej liczbie, będą groźnym przeciwnikiem.

O Jaku-1 i MiG-u-3 wołał się nie wypowiadać. Za mało danych. Niestety, naprawdę istniały i latały, stopniowo wypierając maszyny starszej generacji. W bombowcach, zarówno tych średnich, jak i ciężkich, przewaga już wyraźnie należała do Sowietów.

Marek z satysfakcją obserwował reakcje „dwójkarza”. Wszelkie zdobyte dane uzupełniało jego osobiste doświadczenie.

– Myślałem... – oficer chciał wejść mu w słowo.

– Z pełnym przekonaniem mogę stwierdzić: na tym polu zostaliśmy w tyle.

– Proszę nie mówić głupstw.

– A jednak.

– Czytałem charakterystyki porównawcze.

– I jakie wnioski pan wysnuł? – zapytał ze złośliwą satysfakcją.

– Prawdę mówiąc, nie jestem specjalistą
– Powiem tak: decyzja o zakupie Fairey'ów była... – starał się dobrać odpowiednie słowo.

– Błędna?

– Może nie aż tak, chociaż dla bombowca udźwig 750 kilogramów bomb to nie rewelacja.

– I tu pana mam – oficer wywiadu przyłapał w końcu Bagińskiego na kłamstewku. –

Opisany przez pana Pe-2, jak wynika ze zdobytej przez nas specyfikacji, ma podobny udźwig, a lata hmm...

– Właśnie, szybciej. Jego silniki mają większą moc. Następne wersje, jestem prawie pewien, będą w stanie udźwignąć dwa, a może i trzy razy tyle.

– Czyli tyle co nasze Łosie?

– Tak.

– To nie ma się czym martwić – odparł tamten z ulgą.

– Zdaje się, że pan mnie nie zrozumiał. Petliakow to nie jedyna konstrukcja, jaką dysponują.

Jest jeszcze Su-2 i naprawdę niezły DB-3.

– Skąd pan o nich wie?

– Ludzie mówią.

– Czytał pan to? Momencik – oficer wyjął z szafy plik dokumentów i podał Markowi.

Rozporządzenie Rady Komisarzy Ludowych i Komitetu Centralnego WKP(b) z października 1940 roku o zwiększeniu zasięgu wszystkich maszyn bojowych – od myśliwców po ciężkie bombowce. Zasięg dla tych ostatnich ustalono na pięć tysięcy kilometrów.

Podniósł oczy na przepytującego, żeby sprawdzić, czy ten aby nie robi go w konia, ale nie.

Wywiadowca wyglądał na ciekawego, co też lotnik ma do powiedzenia na ten temat. Tyle że nie był tu potrzebny jakiś szczególny geniusz, wystarczyło wyobrazić sobie mapę.

– Hm, hm – Bagiński musiał pilnie odchrząknąć.

– Ciekawe, prawda?

Założony dystans obejmował z zapasem całe terytorium Polski. W zasięgu takich bombowców znajdował się każdy polski ośrodek miejski i przemysłowy. Zresztą, nie tylko polski.

Mając samoloty zdolne pokonać taką odległość, mogli z powodzeniem planować nalot na... – uświadomiwszy to sobie, lekko osłupiał – na większość kontynentu! Ba, żeby tylko! Taki na przykład Kanał Sueski osiągną bez problemu. Ten cel strategiczny jako pierwszy przyszedł

Markowi do głowy. Po co komu samoloty o tak wyśrubowanych parametrach? Można bić na nich rekordy prędkości, wznoszenia i udźwigu. To automatycznie przekłada się na wyniki wersji przeznaczonej do produkcji seryjnej – takie podejście wydawało mu się najbardziej prawdopodobne.

– Pracują nad tym?

– Intensywnie – orzekł oficer, odbierając dokumenty. – Widzę, że to panem wstrząsnęło.

– Dlaczego nie wiedziałem o tym wcześniej?

– Pan, zdaje się, specjalizuje się w silnikach? – pytanie, a właściwie stwierdzenie faktu utwierdziło Bagińskiego w przeświadczeniu o instrumentalnym traktowaniu jego misji. – Wyszło inaczej. Nikt nie ma panu tego za złe. Zdecydowanie osiągnął pan sukces. Może nie taki, o jaki nam chodziło, niemniej jednak bez wątpienia jest to sukces. Major Dobrzański wprost nie może wyjść z zachwyty. Oddał pan krajowi nieocenione usługi. Mówię poważnie.

– Dziękuję – odpowiedział bez przekonania.

– Stąd moje dalsze pytanie. Proszę się zastanowić i nie odpowiadać od razu. Chciałby pan tam wrócić?

– Do Moskwy?

– Czy ja proponuję wycieczkę „Batorym” do Nowego Jorku? Oczywiście, że do Moskwy.

- Nie jestem przekonany.
 - Dopóki działa nasza ambasada, jest spora szansa na w miarę bezpieczne działanie. Nie wszystkie sprawy zostały zamknięte, ale tego chyba nie muszę mówić.
 - Ile mam czasu?
 - To zależy – odpowiedział powoli wywiadowca. – Misja działa, chociaż... Powiem tak: tamtejsze organy bezpieczeństwa przykręcają nam śrubę.
 - Czyli jest gorzej niż miesiąc temu.
- Oficer niechętnie przytaknął.
- Nikt nie będzie miał panu za złe, jeśli nie podejmie pan wyzwania. Proszę to dobrze przemyśleć. Tutaj zapiszę numer telefonu. Proszę się ze mną kontaktować. Jesteście wolni.
- Bagiński smętnie popatrzył na drzwi. To wszystko? Wstanie, wyjdzie i ponownie zostanie wolnym człowiekiem, nie będzie już chodził na smyczy wywiadu. Jeśli tylko zechce, wsiądzie do kabiny Morane’a lub wróci do Instytutu Lotnictwa, żeby konstruować nowe silniki. Wszystko to bez ciągłego idiotycznego oglądania się za siebie i pilnowania tyłów. Nie, do tego to on się zupełnie nie nadawał. W imię wyższej konieczności można kogoś sprać po gębie raz czy drugi, ale zdecydowanie nie uśmiechało mu się czynić z tego profesji. Z drugiej strony pamiętał ten dreszczyk niepokoju... Jak przy oblocie nowej maszyny. Był prawie chory ze zdenerwowania.
- Dobrze, dam znać.
- Bagiński wstał. Oficer również.
- Miło było.
 - Mnie też. Jeszcze jedno... – „dwójkarz” wydawał się zakłopotany.
 - Tak?
 - Nie chciałem o tym wspominać. Osobiście jestem przeciwny takim metodom. Naciski źle wpływają na morale – bezradnie rozłożył ręce. – Inni z kolei twierdzą, że to

stymuluje. Może, różnie bywa – mętny wywód przeciągał się w nieskończoność. – Otóż – oficer wziął Marka pod ramię – rozkaz to rozkaz i nikt nie ma tu nic do gadania. Dowództwu – zebrał się w końcu w sobie – bardzo zależy na odnalezieniu informatora. To najważniejsze zadanie.

– Nie mam pojęcia, gdzie go szukać.

– Nie ulega kwestii, że tylko pan go widział i potrafi zidentyfikować. Nigdy wcześniej nie doszło do spotkania?

– Nie.

– Szkoda, lecz to i tak niczego nie zmienia. Proszę nas zrozumieć. To źródło ulokowane w samym naczelnym sztabie RKKA z nieograniczonym dostępem do informacji. Zaniechanie próby werbunku czy choćby identyfikacji byłoby grzechem trudnym do wybaczenia.

– Jak powiedziałem wcześniej, nie bardzo się widzę w roli szpiega.

– To ważniejsze od latania Moranem, panie poruczniku.

– Przemyślę sprawę.

– Oczywiście. Nic na siłę.

Jak to rozumieć – zwykle jesteśmy rozleniwieni i powolni, pokojowo nastawieni do świata i wszelkich jego przedstawicieli. Nic nas nie wkurza, a sprawy idą z wolna własnym biegiem.

I wystarczy ułamek sekundy, by z najbardziej dobrodusznego człowieka zrobić maszynę do zabijania. Może w mózgu jest jakiś przełącznik powodujący takie zmiany? Tego Pełczyński nie wiedział. Wiedział natomiast, że ma ochotę kogoś zamordować. Akurat w tym przypadku morderczy odruch nie dotyczył anonimowego przeciwnika, tylko bardzo konkretnych przedstawicieli polskiej generalicji. Panowie generałowie bowiem na najwyższej wagi informacje przedstawione im przez Pełczyńskiego, w obliczu śmiertelnego zagrożenia dla dalszego istnienia ojczyzny, reagowali nie tyle bez werwy, co straszliwie ospale, niemrawo.

Podjęto pierwsze działania, ale tak jakoś bez ikry, jakby istniało pojęcie pokoju za wszelką cenę. I jakoś to będzie.

Z końcem maja i początkiem czerwca na biurko Pełczyńskiego wpłynęły kolejne dowody potwierdzające wcześniejsze ustalenia i przypuszczenia. Wiele do myślenia dała mu zwłaszcza treść przemówienia Stalina z 7 maja do dwóch tysięcy absolwentów uczelni wojskowych, opublikowana w prasie pod tytułem „Musimy być przygotowani na wszelkie zaskoczenia”. Jeżeli dodać do tego naradę z 24 maja, na którą zaproszono dowódców dywizji i korpusów, oraz decyzję z 27 maja o budowie polowych

stanowisk dowodzenia w Specjalnych Okręgach Wojskowych, to w zasadzie wyłaniał się jasny obraz wojennych przygotowań wschodniego sąsiada.

A u nas jak zwykle wszystko szło bez zbędnego pośpiechu i przesadnego zaangażowania.

Taktyka „nie prowokować i nie eskalować napięcia” święciła triumfy. Dane o zatrważającej liczbie dywizji, czołgów czy samolotów nie robiły wrażenia na poszczególnych inspektorach armii.

Zwłaszcza generał Stefan Dąb-Biernacki, dowodzący wysuniętą na północ lewoskrzydłową Armią

„Wilno”, zdawał się żywić przekonanie, że powtórzy się rok 1920. Twierdzenie o zbyt rozciągniętej obronie i słabości własnych środków zbywał pogardliwymi prychnięciami i chępliwymi oświadczeniami o gotowości do odbicia Mińska. Co złośliwsi twierdzili, że generałowi chodzi o Mińsk Mazowiecki, ale plotka o szykowanym zagonie kawaleryjskim już rozeszła się wśród szwadronów Wileńskiej, Suwalskiej i Podlaskiej Brygady Kawalerii.

Operujące dalej na południe zgrupowanie, czyli Armia „Baranowicze” pod dowództwem generała Tadeusza Piskora, miała równie trudne zadanie co Armia „Wilno”. Dogodne warunki obronne zaczynały się dopiero w odległości pięćdziesięciu kilometrów od granicy, wzdłuż górnego biegu Szczary i Serweczy i zlokalizowanych tam umocnień. Dwie brygady kawalerii i cztery dywizje piechoty – nawet w ocenie Piskora to zbyt mało, by zatrzymać stojące naprzeciw dwie sowieckie armie: 4 i 10.

Centralne miejsce zajmowała Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie”. Dwie dywizje piechoty i Flotylla Pińska w tych okolicznościach wyglądały na rozpaczliwą mizериę. Jedynie osoba generała Kazimierza Sosnkowskiego dawała isierkę nadziei.

Na południowym odcinku granicy ulokowano Armię

„Wołyń” generała Stanisława Burhardta-Bukackiego i Armię „Podole” generała Kazimierza Fabrycego. W stosunku do obu dowódców wysuwano zastrzeżenia. W czasach pokoju byli zręcznymi organizatorami, ale miało się dopiero okazać, jak sprawią się w walce na czele armii.

Oprócz czterech głównych armii i grupy operacyjnej przygotowano odwody. Na północy Armia „Lida” generała Antoniego Szyllinga – trzy dywizje piechoty i brygada kawalerii. Na południu nieco większe zgrupowanie nazwane zdecydowanie na wyrost Armią Pancerną „Lwów” generała Tadeusza Kutrzeby – trzy dywizje piechoty, 10 Brygada Kawalerii, Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa i Lwowska Brygada Pancerna. Odwód główny pod komendą samego

Śmigłego – sześć dywizji piechoty i trzy brygady kawalerii – zajmował rejon Brześcia nad Bugiem.

W sumie trzydzieści siedem dywizji piechoty, jedenaście brygad kawalerii i trzy jednostki zmechanizowane, co dawało w sumie jakiś milion dwieście tysięcy żołnierzy. Do tego dochodziło blisko trzysta pięćdziesiąt tysięcy koni we wszystkich formacjach. Na siły na zachodzie składały się wyłącznie oddziały zapasowe i szkolne, żandarmeria, trochę junaków przysposobienia wojskowego, weterani śląskich powstań i zmotoryzowane oddziały policji. W razie konieczności dałoby się wyskrobać do pięćdziesięciu tysięcy regularnego wojska, ale to już wszystko, na co można było liczyć.

Za to po drugiej stronie granicy... Taaak... Już teraz liczebność Sowietów przewyższała stan polskiej armii prawie dwa i pół raza. To jeszcze o niczym nie przesądzało, ale dużo mówiło.

Według tajemniczego anonimowego źródła – dla którego Pełczyński wciąż nie wymyślił pseudonimu – do rozpoczęcia inwazji pozostał nie więcej niż miesiąc.

Generał nawet nie potrafił ubrać w słowa tego, do czego

musiało dojść. Miał wątplą nadzieję, że być może, widząc stan przygotowań, Moskwa cofnie rozkazy w ostatniej chwili. Oszukiwał sam siebie. Wszyscy pozostali agenci przynajmniej w części potwierdzali stan przygotowań. Trudno sobie wyobrazić, co by musiało się stać, żeby Stalin zrezygnował. Od ponad dekady dyktator podporządkowywał sobie wszystko i wszystkich. Mając w pamięci chłopskie bunty z początku lat dwudziestych, zaraz po przewrocie bolszewickim złamał im kark przez wprowadzenie przymusowej kolektywizacji. Na obecnym etapie nie musiał się martwić o zaplecze. Na tyłach nie groziło mu żadne zamieszanie. Niepokorni zostali zesłani lub zlikwidowani wraz z rodzinami. Na nowego Aleksandra Antonowa nie było można liczyć. Z robotnikami zrobiono podobnie – industrializacja i pełne podporządkowanie produkcji celom wojennym. To stąd tysiące czołgów i samolotów. I wciąż przybywało nowych. Z partią, armią i strukturami bezpieczeństwa rozliczał się sukcesywnie od 1937 roku. Wszelkie odchyły likwidował bezlitośnie, po czym równie bezwzględnie eksterminował samych likwidatorów. Zinowiew, Kamieniew, Bucharin,

Tuchaczewski, Jeżow, Jagoda – wraz z tysiącami zwolenników szli w piach bądź marli w obozach.

Tylko Trockiemu udało się uciec, ale kto wie, czy jeszcze długo pożyje. Całe olbrzymie państwo, każdy jego najmniejszy element, wszystko w Związku Sowieckim działało na rozkaz jednego człowieka – a wyglądało, że i tego jest mu mało.

Dwadzieścia lat spokoju to jednak zbyt długi okres. Zrobili, co mogli. Widać nie dość.

Większość kolegów generałów była przekonana, że zwycięstwo będzie szybkie i łatwe. Ciekawe, na jakiej podstawie?

18
MOSKWA

Historia nie znosi próżni. Dla towarzysza Josifa Wissarionowicza Stalina myśl ta nie była niczym nowym. Równie dobre frazy to „dziejowa konieczność”, „lokomotywa postępu” czy „rewolucyjna sprawiedliwość”. Grunt to dialektyka. Marksistowsko-leninowska oczywiście. Tym niemniej istnienie niepodległej i suwerennej Polski odczuwał jako osobistą obelgę. Jako przywódca nie chciał ulegać emocjom, powinien kierować się jedynie chłodnym racjonalizmem. To nie przystoi, jest małostkowe i przede wszystkim prowadzi donikąd. Problemy należy rozpatrywać na zimno.

Przyglądając się bujnej zieleni za szybami packarda, uświadomił sobie nagle, jaka tak naprawdę jest pora roku. Oczywiście, znał dzień i miesiąc, ale czas spędzany na naradach i spotkaniach połączony z nocnym trybem życia sprawił, że pory roku przestały dla niego istnieć.

Liczył się tylko miesiąc z największą liczbą lotnych dni potrzebnych do zaskakującego ataku i unicestwienia większości sił wroga na ziemi. Doskonale. Ten punkt planu wyglądał wyjątkowo obiecująco. Działania wojenne na obecnym etapie pozwalał prowadzić generałom. Osobiście wolał zająć się polityką. Od dobrych kilku miesięcy nie potrafił podjąć decyzji, kto stanie na czele nowego ludowego rządu w Warszawie.

Brak towarzysza Dzierżyńskiego wciąż był dotkliwy. Zmarło się biedaczkowi jeszcze w 1926 roku. Zresztą i tak ów żelazny człowiek przy wszystkich swoich zaletach był zbyt

niezależny. Może zatem wdowa po nim, Zofia? Miejsce dla niej na pewno się znajdzie, podobnie jak dla Wandy Wasilewskiej, ale nie w roli premiera. Kobieta na czele rządu, nawet socjalistycznego? To nie uchodzi.

Polski kontrwywiad i policja znacznie przerzedziły szeregi działaczy KPP. Niechętnie musiał przyznać, że on również nie był bez winy. Posłał do piachu wszystkich, którzy mu wpadli w ręce. Wytrzebiecie kadr wiązało się z planowanym porozumieniem z Niemcami oraz z czystką wewnątrz ruchu komunistycznego. Co się stało, to się nie odstanie. Poszukał w pamięci innych nazwisk. Zrazu żadne nie przyszło do głowy, dopiero po chwili wypłynęły postacie Bermiana, Bieruta, Borejszy i Findera. Działacze co najwyżej drugiego sortu, za to z ogromnymi ambicjami.

Zamiast nich lepiej postawić na czele któregoś ze swoich, o pięknym, rewolucyjnym życiorysie – takiego Świerczewskiego, towarzysza „Waltera”, na ten przykład. I kogoś o gorącym sercu z NKWD czy NKGB. Musi o tym pomyśleć.

Co tam było dalej? Mobilizacja i konsolidacja przemysłu wchodziły w ostateczną fazę. Już obecnie Armia Czerwona liczyła pięć i pół miliona żołnierzy i marynarzy. A to i tak nie wszystko.

W niedługim czasie szeregi miały zasilić kolejne trzy miliony.

Josif Wissarionowicz skubnął węża, wpatrzony w podgolony kark szofera. Nadchodzące wypadki nie wzbudzały w nim emocji. Wszystko przemyślał odpowiednio wcześniej, nic nie pozostawiał przypadkowi. Zostały cztery tygodnie. Westchnął jak stary, zmęczony człowiek przytłoczony zbyt wielkim brzemieniem odpowiedzialności.

Nie przewidywał istotnych problemów, co nie znaczy, że nie liczył się z drobnymi utrudnieniami. Tak, to dobre słowo: „utrudnienia”. Bo ile to wszystko może potrwać? Tydzień,

półtora, do trzech – każdy z wojskowych twierdził co innego, rozkładając ręce. Zdecydują pierwsze godziny. Zmasowany nalot rozbija poszczególne zgrupowania wojsk i obiekty strategiczne. W powstałym chaosie oddziały Armii Czerwonej nie powinny napotkać zdecydowanego oporu. Generalne pytanie, na które nie znalazł odpowiedzi, brzmiało: gdzie zatrzymać ofensywę? Przejść przez Polskę i Niemcy i wkroczyć do Francji czy tylko poskromić Warszawę i Berlin, resztę pozostawiając na później? Na południu są jeszcze Rumunia, Węgry, Bułgaria i Turcja, lecz nie unikną swojego losu. Akurat o ten teatr działań wojennych był zupełnie spokojny.

Gdy padnie Warszawa, reszta sama podniesie ręce do góry. Masy pracujące obalą skorumpowaną władzę i poproszą o zaszczyt przynależności do socjalistycznej wspólnoty.

Komintern pod kierunkiem Georgiego Dimitrowa wykonał dobrą robotę. Ile razy przeglądał dostarczoną na biurko przetłumaczoną zachodnią prasę, tyle razy ogarniał go śmiech. Twierdzenie, jakoby partia komunistyczna – niemiecka, włoska, austriacka, francuska czy jakakolwiek inna – była tworem na wskroś niezależnym, całkowicie mijало się z prawdą. Wszystkie one to nic innego jak przybudówki Kominternu – jego narodowe sekcje, a decyzje co do ich działań zapadały tutaj, w Moskwie. Pod okiem wprawnych funkcjonariuszy wykuwano nowe kadry mające niebawem zastąpić stare reżimy.

Gdy już dojeżdżali na miejsce, jego wzrok przykuły czerwone mury Kremla. Niedługo stara siedziba przestanie pełnić swoją funkcję. Światowa rewolucja potrzebować będzie nowego symbolu – jasnego źródła, z którego wypływa mądrość, wiedza i władza. Gigantyczny Pałac Rad stanie na miejscu dawnego soboru Chrystusa Zbawiciela. W sumie to niedaleko stąd. Praktycznie tuż obok.

Pierwsze prace już rozpoczęto, nie czekając na przyłączenie

kolejnych republik, ale nie szkodzi.

Zarówno budowniczych Pałacu Rad, jak i wojskowych obowiązywały terminy.

19
AUGUSTÓW

– No co ja mówię?! Co ja mówię?! Więcej gazu!!!

Zza budynku dworca kolejowego dochodził wrzask chorążego kierującego poszczególne brygadowe TKS-y, lekkie bezwieżowe czołgi rozpoznawcze, na długą rampę załadowniczą.

Podporucznik Zygmunt Rayski wstrzymał gniadego ogiera, żeby przepuścić przodem trzy ostatnie pojazdy. Wszystkie uzbrojone w najcięższe karabiny maszynowe kalibru 20 mm, wyglądały dość osobliwie ze względu na wysokość nie przekraczającą 1,30 m. Do tego wystające z przodu lufy enkaemów jakoś nie pasowały do całości. Dwuosobowe załogi w fantazyjnych czarnych beretach niewiele uwagi poświęcały ułanom. Ostatni z pojazdów zarzucił zamontowaną z tyłu przyczepką i znikł za składem węgla. Nowy stek przekleństw chorążego zagłuszył nawet warkot silników. Jeżeli ma jechać z tymi nerwusami, to woli poczekać.

– Wachmistrzu, przypilnujcie wszystkiego. Ja się rozejrzę – zsiadł z konia i oddał lejce.

– Tak jest – podoficer przejął gniadosza. – Z koni!!! – siłą głosu mógł śmiało iść w zawody z chorążym.

Zygmunt spojrzał za siebie, skąd akurat nadjeżdżał łazik Fiat 508 i samochód pancerny wz. 29 szwadronu rozpoznawczego. Począł, aż przejadą, i przeszedł na drugą stronę. W sali restauracyjnej dworca kolejowego na pewno spotka kogoś znajomego.

W sumie nie było źle. Przed każdymi większymi

manewrami oglądał podobne scenki.

Wszyscy chcieli być pierwsi, więc naginali grafik do własnych potrzeb. Załadować wszystko do eszelonu i spokój, a reszta niech czeka.

W holu oprócz wojskowych kręciło się trochę cywilów czekających na pociąg do

Białegostoku. Z tego, co wiedział, pojedą przez Grodno i Wilno. Teoretycznie powinni uwinąć się w dwadzieścia cztery godziny, ale jak znał życie, szanse na dotrzymanie terminu były niewielkie.

Dla części oddziałów zabraknie transportu, reszta utknie w szczerym polu. Przecież nie ogłoszono mobilizacji. Ruch towarowy szedł normalnie. Dochodzących zewsząd pogłosek nie traktował zbyt poważnie. Zawsze znajdą się czarnowidze, którzy wieszczą nieszczęście.

Wyminął kobietę z dzieckiem, tragarza z ręcznym wózkiem i skręcił w boczny korytarz przed kasą biletową. Przez oszklone drzwi ujrzał nabitą po brzegi salkę bufetową. Wszedł do środka.

– Zygmus, tutaj! – co najmniej dwudziestoosobowe towarzystwo młodszych oficerów okupowało stoliki pod oknem. Paru kapitanów i majorów rozlokowało się w pozostałych strategicznych punktach sali.

– Co pijesz? – Wiesiu Rokicki, kumpel z trzeciego szwadronu, wyglądał na wyjątkowo rozochoczonego. Na stoliku stała karafka z wodą i kufle z piwem.

– Piwo – rozpiął górne guziki kurtki i koszuli.

– Panie starszy, jeszcze jedno!

– Dwa!

– Pięć!

– Już się robi! – odkrzyknął właściciel, zajęty uzupełnianiem naczyń.

– Jeszcze krzesło.

– Chwileczkę.

– Strasznie dzisiaj gorąco – uwaga Rokickiego wywołała ogólną wesołość.

– Wiktor sądzi tak samo – Rokicki wskazał na wąsatego dowódcę kolumny taborowej melancholijnie spoglądającego na osuszony już prawie do dna kufel.

– Dalej tak sądzę – wychrypiał zainteresowany. – Ooo...

Spotniałe kufle zostały momentalnie rozdysponowane.

Zygmunt delikatnie zdmuchnął nadmiar piany i umoczył usta. Pociągnął solidny łyk i od razu poczuł się lepiej. Odetchnął.

– Ludzie przygotowani?

– Bardziej nie będą.

– Jak zwykle nic z tego nie wyjdzie.

– Obyś miał rację.

– Czy ja was kiedyś wprowadziłem w błąd? – Rokicki odstawił z rozmachem opróżnione do połowy naczynie.

– Nie, nigdy.

– Ty to chyba masz monopol na złośliwość – porucznik z trzeciego szwadronu zapalił papierosa i dmuchnął dymem w sufit. – Pewnie nie słyszałeś, ale Podhorskiemu okulał koń.

Cholera, pewnie chodzi o tę siwą klaczkę, którą wypatrzył dla dowódcy brygady w trakcie ostatniego poboru koni. Dwulatka jak marzenie. Dumny do nieprzytomności właściciel ledwie dał się namówić. Normalnie Zygmunt wziąłby ją dla siebie, ale widział, że wpadła w oko generałowi.

Oddał ją z żalem. Jak ją nazwano? Rusałka. To się generał na niej nie nawojuje.

– Po twojej minie widzę, że nie wiesz, co powiedzieć.

– Przykra sprawa.

– Podhorski pojedzie samochodem. Przynajmniej dupy nie obije w siodle.

– Już niedługo koni zostanie więcej niż ludzi – wpatrzony w dal taboręta zdawał się pogrążony we własnym świecie.

– Nie kracz. Tfu... Znacie moje zdanie...

Dalszy wywód Wiesia Rokickiego przerwało wejście kolejarza. Cisza zapadała stopniowo, aż w końcu oczy wszystkich zawisły na zawiadowcy stacji.

– Ruch osobowy wstrzymany do odwołania. Panów oficerów proszę o dopilnowanie rozlokowania ludzi i sprzętu w wagonach. Jak dostanę zgłoszenie załadunku, zaraz ruszacie. To wszystko.

Jak to – wszystko? Przyśpieszono wyjazd. Rozkład jazdy to święta rzecz. Nie wstrzymywano by ruchu cywilnego z błałego powodu.

Podobnego zdania był też jeden z majorów, który zaraz wstał i podszedł do kolejarza.

– Ma pan jakieś bliższe informacje?

– Panie majorze, ja tam nic nie wiem.

Nie mówili głośno, ale słowa i tak docierały do uszu pozostałych.

– A nieoficjalnie?

– Kolega z Wilna mówił o jakieś strzelaninie pod Mołodecznem. Wiem tylko tyle. Reszta poleceń przyszła z Wilna.

– Dziękuję.

Major powiódł wzrokiem po salce. Bez słowa wstali i zebrali się do wyjścia.

Na bocznicę jakiś parowóz gwizdem dał znak do odjazdu. Zabrzmiało to wyjątkowo żałośnie, bez zwyczajowego animuszu i wesołości.

20
FRONT ZACHODNI

Wszystko zaplanowano starannie i ze sporym wyprzedzeniem. U podstaw Wielkiego Planu leżała gra operacyjno-strategiczna przeprowadzona w styczniu 1941 roku. Wnioski z niej były na tyle obiecujące, że podporządkowano im w zasadzie wszystko. Jediną obawą, za to spędzającą sen z powiek większości dowódców armii, była możliwość niespodziewanego natarcia polskich jednostek. Mało prawdopodobna, jednak nie należało jej zupełnie wykluczyć. Szczególnie teraz, kiedy poszczególne formacje dokonywały ześrodkowania i przechodziły na pozycje wyjściowe, taka akcja mogłaby mieć dla RKKA opłakane skutki. Wciąż uzupełniano paliwo i amunicję, systematycznie podciągając zaopatrzenie nad samą granicę. Nerwy generałów w ostatnich dniach były wystawione na ciężką próbę.

W szczególnie trudnej sytuacji było lotnictwo. W obrębie pasa od pięćdziesięciu do stu kilometrów od granicy rozlokowano trzy mieszane dywizje lotnicze, składające się głównie z pułków myśliwskich. Nieco dalej stacjonowały dywizje bombowe oraz III Korpus Lotnictwa Dalekiego Zasięgu. W sumie dawało to pięć samych dywizji bombowych. Sił i środków wystarczy aż nadto do wykonania zaskakujących nalotów na Toruń, Wilno, Łódź, Warszawę i Dęblin, by potem stopniowo przenieść zainteresowanie na ośrodki leżące dalej na zachodzie: Poznań, Berlin czy Hamburg.

Przed kolegami z południa, czyli przed Kijowskim i

Odeskim Okręgiem Wojskowym, postawiono bardziej ambitne zadania – po zdławieniu Węgier i Rumunii ich oddziały miały uderzyć na Bosfor, Bejrut, Hajfę, Cypr, Kanał Sueski i Mosul.

Pracujące na trzy zmiany fabryki bezustannie dostarczały nowych maszyn, a komendy uzupełnień – rekrutów. Szlaki kolejowe w zachodniej części kraju zostały prawie całkowicie zajęte przez niekończące się eszelony, którymi przybywało wciąż więcej i więcej wszystkiego, czego potrzeba na froncie. Niektóre węzły komunikacyjne wręcz nie nadążały przyjmować i odsyłać nowych transportów. Poprawy spodziewano się dopiero w drugim tygodniu lipca, kiedy armie już opuszczą miejsca stacjonowania i pognają na wroga. Pewien problem wiązał się z różnicą w szerokości torów kolejowych w obu państwach, lecz bataliony i pułki wojsk kolejowych wraz z potrzebnym sprzętem posuwać się będą zaraz za oddziałami pierwszorzutowymi i wojskami NKWD, kłopoty zatem miały być chwilowe.

W kadrze dowódczej wszystkich szczebli panowały wyśmienite nastroje. Nikt nie przewidywał większych trudności. Przecież, logicznie rzecz biorąc, każdy przeciwnik musiał ulec wobec takiej przewadze sił i środków, jaką dysponowali. Rozgniotą przeciwnika i pomaszerują ze śpiewem na ustach, niosąc wolność uciśnionym ludom. Wszak, jak mawiał towarzysz Stalin, cudów nie ma.

21
WARSZAWA

– I co, zdecydował się pan w końcu? – serdecznie powitał Bagińskiego oficer wywiadu, tym razem już w mundurze z dystynkcjami podpułkownika.

– Jeżeli wyłącznie w ten sposób jestem w stanie pomóc...

– Nie wyłącznie, ale tak byłoby najlepiej.

Marek kiwnął głową.

– Więc?

– Proszę mną dysponować – odparł sucho.

Przygotowany na potok słów i zapewnień o dokonaniu właściwego wyboru, usłyszał jedynie ciche chrząknięcie.

– To nie takie proste. Personel placówki w Moskwie został znacznie okrojony. Pozostało zaledwie parę osób. Cała reszta jest już w kraju. Szanse na przerzucenie nowej osoby zmalały w zasadzie do zera – „dwójkarz” nie potrafił ukryć zażenowania.

– O ile się spóźniłem?

– Nie o to chodzi. Decyzje o redukcji podjęto już wcześniej, po incydencie, do którego doszło zaraz po pańskim wyjeździe.

Po raz pierwszy od pamiętnej walki Marek poczuł gwałtowne bicie serca.

– Przykro mi to mówić. Nie mogli dobrać się do pana, to wyżyli się na kierowcy.

– Żyje? – zaniepokoił się.

– Dorwali go na ulicy i pobili do nieprzytomności. Sprawców, oczywiście, nie znaleziono, pomimo, jak nam powiedziano, intensywnych działań organów śledczych.

Pański kolega Dudziński uniknął podobnego losu, w porę biorąc nogi za pas. Skończyło się na porwanej marynarce. W tej sytuacji – sam pan rozumie, że niewiele możemy zrobić. Nie twierdzę, że nasze możliwości zostały wyczerpane, są jednak mocno okrojone.

– Ostro sobie poczynają.

– Nie tylko zresztą tam. W Mołodecznie napadli na dyspozytornię ruchu, a w Wilnie podłożyli bombę w Dowództwie Okręgu Korpusu.

– Nic o tym nie słyszałem.

– Bo nie wybuchła. Przysłużył się nam wadliwy zapalnik. Resztą zajęli się nasi saperzy.

Mamy podstawy spodziewać się wzrostu liczby podobnych incydentów w ciągu najbliższych kilku tygodni. Podjęliśmy odpowiednie kroki zapobiegawcze, przymknęliśmy paru wichrzycieli pozostających do tej pory na wolności. Trudno mi powiedzieć, jaki będzie tego skutek.

Bagiński wyprostował się na krześle, z dłońmi zaciśniętymi na kolanach, i rozważał to, co przed chwilą usłyszał. Ambasada w Moskwie prawie w całości ewakuowana. Pewnie Grzybowski i Dobrzański zostali sami, starając się dopilnować ostatnich spraw i za wszelką cenę dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Siedzieli na beczce prochu, która mogła eksplodować w każdym momencie. To raz. A dwa: eskalacja napięcia w kraju nie wróżyła niczego dobrego na przyszłość.

Nawet nie chciał myśleć, do czego to wszystko zdąża. Wizja niewyobrażalnej katastrofy stała mu przed oczami, a przecież zaledwie otarł się o zasady funkcjonowania komunistycznego państwa.

– Co pan proponuje? – w końcu zadał pytanie mające zdecydować o jego przyszłości.

– Poczekajmy. Ekspediowanie pana w ciemno nie jest dobrym pomysłem. Przy trwającej tajnej mobilizacji

wpadnięcie w łapy czekistów to kwestia paru godzin.

– Ostatnim razem...

– Ostatnim razem wszystko wyglądało inaczej. Proszę poczekać, coś na pewno wymyślimy.

– Jak długo?

– Tyle, ile trzeba będzie. Naciski na nic się nie zdadzą – w głosie oficera Marek usłyszał ślad zniecierpliwienia. – Doceniam pańską chęć działania. Zresztą... Doceniamy ją wszyscy. Taka postawa zasługuje na szacunek – „dwójkarz” uniósł rękę ponad blatem.

– Jeżeli to wszystko...

– Proszę mnie posłuchać – wywiadowca potarł skórę za uchem, zbierając myśli.

Organizujemy specjalną eskadrę wywiadowczo-rozpoznawczą. To na razie tajne, i takie powinno pozostać. Akurat do tego nadaje się pan idealnie. Mam już wstępną akceptację góry. Zostanie pan dowódcą sekcji. Część personelu już skompletowaliśmy, co do reszty – wszelkie sugestie będą mile widziane.

Po raz pierwszy od początku rozmowy w duszy Bagińskiego odżyła nadzieja. W zalewie złych wiadomości ta jedna błysnęła jak drogocenny diament. Jeżeli to, co usłyszał, jest prawdą, a przedsięwzięciem dowodzi ktoś z otwartą głową i o sporych kompetencjach, to istniała szansa na dokonanie czegoś naprawdę interesującego.

– To jak? Jest pan chętny na nową posadę? Bądźmy szczerzy, 111 Eskadra nie jest dla pana.

Oczywiście, wiem, kapitan Sidorowicz i pozostali piloci stanowią doskonały zespół. Są pełni poświęcenia i tak dalej, ale pan tam się marnuje.

– Stosunki wewnątrz eskadry pozostają w obszarze zainteresowania kontrwywiadu?

– To nie ma nic do rzeczy – dostrzegł pobłażliwy uśmiech podpułkownika.

– Skoro tak...

– Wróćmy do tematu. Podobnie jak ostatnim razem, wszystko jest przygotowane. W sumie to idealne rozwiązanie. Jesteście, poruczniku, zorientowani w temacie i lubicie latać. Takie połączenie nie występuje często.

– Boksować też będę mógł?

– Czemu nie – uradowany oficer o mało nie wybuchnął głośnym śmiechem. – Podałem panu odpowiednią osobę. Henryk Chmielewski może być?

– Nie widzę przeciwwskazań – Marek docenił żart.

Po dość nieprzyjemnym początku zmierzali do znacznie bardziej sympatycznego końca.

– To gdzie mam się zgłosić?

– A to akurat nie jest takie proste.

Odjeżdżał z Dworca Gdańskiego o 6.30, pierwszym pociągiem w stronę Gdańska.

Niewyspany, jeszcze przecierał oczy dłonią. Żeby się nie spóźnić, musiał wstać godzinę przed wyjazdem. Nie zjadł oczywiście śniadania i nie wypił kawy, ale przynajmniej zdążył. Był nawet nieco wcześniej. Poranny chłodek dość szybko ustępował. Zapowiadał się kolejny gorący dzień, jednak teraz jeszcze nieprzyjemny dreszcz raz i drugi przebiegł mu po krzyżu. Marek postawił kołnierz i podszedł do skraju peronu. Sprawdził godzinę. Zostało równo dziesięć minut do odjazdu, kiedy w oddali pojawiła się dymiąca lokomotywa.

Wrzuciwszy bagaż na półkę nad głową, zajął miejsce. Trochę żałował, że nie wziął niczego do czytania. Najwyżej prześpi najbliższą godzinę, bo do Torunia – celu wyprawy – miał dojechać za godzinę i kwadrans. Wbrew temu, czego się spodziewał, tłok rósł z każdą mijaną stacją. Co chwila ktoś go potrącał, przepraszał i przechodził dalej. Zniechęcony, podkulił nogi pod siebie, podpierając głowę ramieniem.

Dowódca sekcji – nieźle jak na kogoś w jego wieku. Z tego,

co wiedział, wszystko ma charakter eksperymentu. To dobrze. Wiele spraw na pewno nie zostało dokończonych, ale może nie wytworzyły się jeszcze żadne układy i układziki, jak w poprzedniej eskadrze. Dawało mu to pole do popisu i możliwość zrobienia czegoś na własną modłę. Oczywiście, o ile przełożeni na to pozwolą.

O Witoldzie Urbanowiczu nie słyszał wiele, a tych parę wzmianek nie dawało się łatwo zweryfikować. Nie wszystkie fakty były powszechnie znane. Coraz częściej kolejne tematy czy ludzie znikali z łamów gazet czy z codziennych plotek, co było nieomylnym znakiem, że zaczyna to obejmować tajemnica wojskowa. Po co wywalać wszystko na wierzch? Niech konkurencja chociaż trochę się potrudzi, a szczegóły przerobienia samolotu komunikacyjnego na wojskowy transportowiec nie muszą interesować opinii publicznej.

Jedyne, czego się spodziewał i obawiał, to rozczarowanie. Nudna służba pod ciężką ręką, sprowadzająca się do nieistotnych zadań i równie nieistotnych obowiązków. Żadnej ekscytacji.

Próby, próby i jeszcze raz próby – silników i elementów konstrukcji. Co najwyżej wprowadzanie poprawek w już istniejących egzemplarzach.

Nim zdążył się porządnie zmęczyć siedzeniem i tymi myślami, dotarł na miejsce. Zdjął walizkę i ustawił się w kolejce przy drzwiach. Wysiadł ostatni.

– Zabrać kłopoty, panie szanowny?

– Nie trzeba. Och, zaraz! Jak dojechać na lotnisko? – zapytał bagażowego.

– Najlepiej bryczką. Stoją przed dworcem.

– Dziękuję – skinął głową. Sam mógł się domyślić.

Przeszedł przez hol i wyszedł na plac. Dziesiątki chłopskich furmanek szczelnie wypełniały przestrzeń. No tak, piątek, dzień targowy – pomyślał rozbawiony. Ludzka ciżba przemieszana z żywym inwentarzem tworzyła trudny do

ogarnięcia chaos.

Szybko znalazł wolną bryczkę.

– Na lotnisko będzie daleko?

– Ni – usłyszał w odpowiedzi.

– To jedźmy.

– Najwyżej do Bydgoskiej, bo dalej wojsko pilnuje. To jak?

– Resztę przejdę.

Koń ruszył różnym truchtem. Tak się jakoś złożyło, że nigdy wcześniej nie odwiedzał Torunia. Co najwyżej przejeżdżał tędy w drodze nad morze, nie przywiązując do średniowiecznego grodu większej wagi.

Pierwsze, co rzucało się w oczy, to spora ilość wojska. Rzędy taborowych wozów omijały plac przy dworcu i jechały na wschód podwoda za podwodą, jak niemający końca wąż. Wszystko z wykorzystaniem siły końskiego grzbietu. Koła skrzypiały, woźnice pokrzykiwali, od czasu do czasu świsnął bat.

Im dalej, tym ruch był mniejszy, lecz i tak nie przekładało się to na szybkość, z jaką posuwali się do przodu. W końcu dotarli. Patrol żandarmerii zatrzymał bryczkę. Bagiński zapłacił i stanął przed sierżantem, okazując rozkaz wyjazdu.

– Proszę iść – podoficer wskazał kierunek. – Już niedaleko.

Po dziesięciu minutach skłął w myślach żandarma. To „niedaleko” rozciągnęło się

w całkiem długi spacer. Zniechęcony stanął, postawił walizkę na drodze. Spojrzał do tyłu. Zupełna pustka. Na podwiezienie nie miał co liczyć. Powoli, krok za krokiem pokonał ostatni odcinek. Gdy już doszedł do bramy, senny kapral wpuścił go bez zbędnych ceregieli.

Lotnisko w ciągu ostatnich kilku lat przeszło gruntowną modernizację. To rzucało się w oczy. Dwa betonowe pasy w kształcie litery L, budynek sztabowy, dystrybutory paliwa i hangar na wschodnim krańcu robiły nie najgorsze wrażenie. Na dodatek kompleks przylegał do zespołu fortów, co

dodatkowo zabezpieczało go przed niepowołanymi osobami.

Do budynku dowództwa wkroczył dziarskim krokiem. Trochę obawiał się spotkania z Urbanowiczem. Pierwsze wrażenie często decydowało o późniejszych kontaktach.

– Chce pan odpocząć? – zapytał szef kancelarii w stopniu sierżanta sztabowego.

– Nie bardzo mam po czym. Jeżeli mógłbym...

– Majora Urbanowicza nie ma. Musicie uzbroić się w cierpliwość.

– Długo to potrwa?

– Bo ja wiem... – na obliczu sierżanta odmalowało się niezdecydowanie. – Lepiej poczekać w kantynie. Zje pan jakieś śniadanie.

– Co racja, to racja.

– Walizkę możecie zostawić tutaj, poruczniku.

– A gdzie ta kantyna?

– Trzeba wyjść na zewnątrz i skręcić w prawo. Dosłownie parę kroków.

Bagiński skinął głową. Lepiej zrobi, jak zastosuje się do rad kancelisty. Takie wyczekiwanie pod biurem, jakkolwiek długo by trwało, dla petenta ciągnęło się w nieskończoność. Na szczęście nie zaszedł daleko. Zdążył zrobić parę kroków, kiedy przed nim trzasnęły drzwi i wszedł pilot w skórzanym, podbitym futrem kombinezonie. To, że nie spływały po nim strugi potu, należało uznać za cud.

Przybysz zlustrował Marka od stóp do głów.

– To nowy – pospieszył z wyjaśnieniami sierżant.

– Ach tak... – major Witold Urbanowicz wyciągnął dłoń na powitanie. – Zapraszam do siebie. Widzi pan, mamy tu mały rozgardiasz. Zajęliście się papierami? – zapytał podoficera raczej dla porządku niż z konieczności. Major słynął z bezpośredniego podejścia do podwładnych i nie tolerował bałaganu w najbliższym otoczeniu. Jeżeli ktoś nie spełniał oczekiwań, lepiej jeśli odchodził na własną prośbę.

– Wpakowali mnie tu, a wcale tego nie chciałem – major rzucił kombinezon i zanim usiadł, podlał jeszcze kwiatki na parapecie.

Bagiński milczał. Zresztą, co miał odpowiedzieć.

– Jak wspomniałem wcześniej, to co zobaczycie, poruczniku, to prowizorka. Po co ja to mówię? Lepiej jak sami wyrobicie sobie zdanie.

Po raz kolejny Marek przeciął hol kancelarii i tym razem w towarzystwie majora wyszedł na zewnątrz.

– Nie wiem, co nagadali panu w centrali. Na razie wszystko jest w powijakach: ludzie, maszyny, tylko ogrom zadań jakoś nie chce się zmniejszyć.

– A co mamy robić?

– Pan to, co umie najlepiej: pracować z mechanikami przy silnikach. Mamy tu najlepszych ludzi. No i latać, latać i jeszcze raz latać.

Do hangaru doszli szybciej, niż Marek się spodziewał. Przy samym wejściu ustawiono obserwacyjną Mewę. Obok stała druga. Nigdy wcześniej nie wzbił się w przestworza na tym typie samolotu. To nie znaczy, że widział go po raz pierwszy. LWS-3 powoli wypierał wcześniej stosowane Lubliny i Czaple w roli maszyn obserwacyjnych, dyspozycyjnych i towarzyszących.

– Co z nimi?

– Nic. Testujemy, czy nadają się do naszych celów, podobnie jak tamtego Lysandera.

Obydwa typy maszyny – górnopłaty ze stałym podwoziem – były zbliżone wyglądem. Przy konstrukcji obu kierowano się podobnymi zasadami. Miały zapewniać dobrą widoczność z kabiny i możliwość lądowania w trudnych warunkach. W razie konieczności można było posadzić samolot na zapleczu przeciwnika, dostarczyć zaopatrzenie i zabrać kogoś lub coś z powrotem. Na Lysanderze połyskiwała świeżutka farba. Wielkie trójbarwne kokardy

Royal Air Force zamalowano i na ziemisto-brązowym tle naniesiono małe białe-czerwone szachownice. W porównaniu z bombowcami, którymi zajmował się ostatnio, oba typy wyglądały jak zabawki, ale to, co dostrzegł w mroku hangaru dalej z tyłu, zabawką z pewnością nie było. Matowoczarna, solidna, choć nie pękata sylwetka płatowca z dwoma silnikami robiła wrażenie.

– Nie chcę zawracać panu głowy tymi gratami. Tamten będzie bardziej odpowiedni –

Urbanowicz doprowadził Marka do tajemniczego samolotu. – Bristol Beaufighter. U Anglików robi za myśliwiec. My przerobiliśmy go na maszynę zwiadowczą. Zainstalowaliśmy z tyłu kadłuba sprzęt fotograficzny. Pewnie wcześniej o tym nie słyszeliście.

– Prawdę mówiąc...

Podeszli bliżej.

– Rzadko go wyciągamy, za bardzo rzuca się w oczy.

– Latał na misje?

– Pewnie. Obfotografowaliśmy parę niemieckich umocnień w Prusach Wschodnich, głównie w rejonie Ostródy i Elbląga oraz Wałcza.

– Nie zorientowali się?

– Zorientowali, owszem – Urbanowicz machnął ręką. – Próbowali nawet gonić. Nic z tego nie wyszło. Odwdzięczyli się, naruszając naszą granicę. Zdrowo ich wtedy wkurzyliśmy. Do dziś nie wiedzą, co to było.

– Jest tylko jeden?

– Na razie.

– To znaczy?

– Ktoś będzie musiał przejechać się do Londynu i odebrać kolejny egzemplarz.

22
OKOLICE RAKOWA

Wyruszyli parę minut po północy. Do granicy nie mieli więcej niż sześć kilometrów, i to całkiem dobrą drogą wśród sosnowego boru. Przez cały wieczór odpoczywali, dodając sobie animuszu lokalnym samogonem. W końcu interweniować musiał sam komisarz pułku, bo spora część osiemdziesięcioosobowego Oddziału Bojowego im. Warszawskiego Proletariatu gotowa była zalać pałę i pójść spać, zamiast narażać się na kule. Kilku co bardziej pijanych obudził kopniakami.

Zawsze ten sam problem. Do dwudziestoosobowego rdzenia złożonego z wytrawnych dywersantów dołożono resztę o wiele gorzej wyszkolonych bojowników frontu ideologicznego, których jedynym doświadczeniem była agitacja we własnych krajach i kolejne przełomy partyjne w samej WKB(b).

No cóż, z czegoś trzeba było sklecić grupę. Do Polaków z byłej Komunistycznej Partii Polski dokooptowano sporą liczbę Litwinów i Ukraińców, paru Łotyszy i Niemców. Na czele postawiono jego – Siemiona Jefriemowicza Tychenkę, starego wyjadacza, bolszewika od 1919 roku i pułkownika GRU.

Tychenko, potężny, zwalisty mężczyzna o wadze przekraczającej 110 kilogramów i łysej, jajowatej głowie, z politowaniem przyjrzał się barwnej gromadce swoich bojowców. W panującym mroku niewiele widział. Jedynie pomarańczowe ogniki papierosów i zduszony gwar prowadzonych rozmów dawał wyobrażenie, jak są liczni.

– *Bystrieje, bystrieje!*

Tutejsi pogranicznicy służyli im za przewodników, więc ryzyko opóźnienia było znikome, ale Tychenko chciał już być na granicy. Im szybciej przekroczą niebezpieczną strefę, tym prędzej znikną w lasach po drugiej stronie.

Zadanie otrzymał proste: spróbować zająć nadgraniczny Raków i wesprzeć lub stworzyć miejscowy aktyw. W zależności od powodzenia tych działań albo utrzymać miasteczko, albo ująć pogoni na zachód i przyczaić się do nadejścia sił głównych, w tym czasie próbując tworzyć lokalne ogniska oporu. Oczywiście, na papierze wszystko wyglądało pięknie. Obywatele ochoczo witają nadchodzące ze wschodu wyzwolenie, kontrakcja policji i żandarmerii nie przynosi rezultatu, a oni triumfują. Osobiście nie był aż tak naiwny, trzymał jednak głowę na kłódkę. Nie potrzebował dodatkowych kłopotów, no i jednak miał nadzieję, że coś uda mu się zdziałać.

Na kilometr przed granicą zarządził ostatnią zbiórkę. Od tej pory żadnych petów i żadnych rozmów. Ścisłe pogotowie bojowe. Za niesubordynację kulka w łeb. Dopilnować tego miał pluton zwiadowców.

Sprawdzili broń – Nagany i Mosiny. Sam pułkownik nie rozstawał się z Mauzerem C96, którego w końcu wyciągnął z drewnianej kabury i powiesił na rzemieniu u szyi. Machnął lufą, lecz w ciemnościach niewielu dostrzegło ten gest. I dobrze. Nie widzieli, jak dowódcy drżą ręce.

Ostatnie metry pokonali w absolutnej ciszy. Nad nimi szumiał las tłumiący wszelkie odgłosy. Na odcinku granicy, który wybrali, do przejścia był wyłącznie rów z wodą i podchodzący do niego olchowy zagajnik. Po drugiej stronie sto metrów wolnej przestrzeni i znów ciemna ściana drzew.

Siemion Jefriemowicz Tychenko ruszył pierwszy. W końcu to przywilej dowodzącego oddziałem. Wyszedł spoza prętów olchy, przystanął i śmiało zszedł do rowu. Nogi w butach z

cholewami zapadły się po kostki w lepkim mule. Zrobił parę kroków. Przeszedł na drugi brzeg i czepiając się kęp trawy, wygramolił po polskiej stronie. Dźwignął się z kolan i wstał. Ciągle nic.

Teraz poszło już szybko. Dywersanci, a właściwie rewolucyoniści, jeden za drugim szli za nim, następnie biegli pod osłonę lasu, gdzie czekali na resztę. Zdziwił się, że poszło tak łatwo.

Godzinę później prawie był gotów uwierzyć w sukces. Miasteczko wyglądało na pogrążone we śnie. Nad niskimi zabudowaniami górowała ciemna wieża kościoła świętego Kazimierza, najwyższy punkt w okolicy. Wystarczyło przeskoczyć kilkusetmetrowy odcinek podmiejskich pól, łąk i sadów, by wkroczyć na brukowane uliczki. Tychenko otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

Pragnął jeszcze przez chwilę rozkoszować się tą absolutną ciszą. W końcu gwizdnął, dając tym samym znak reszcie.

Na otwartą przestrzeń wyszli w trzech kolumnach. Każdą z nich prowadził doświadczony zwiadowca. Chcieli wejść do Rakowa z kilku stron. Tak zawsze łatwiej jest uzyskać zaskoczenie, nawet jeżeli w miasteczku stacjonowało tylko paru policjantów. Dla pewności przetną dodatkowo druty telefoniczne, a wtedy nikt nie przyjdzie z pomocą. Plan tyleż prosty, co elegancki.

Przyśpieszył kroku. Lekko pochylony, przeszedł w trucht. Ścisnął Mauzera tak mocno, że poczuł skurcz w dłoni. Rozluźnił uchwyt. W płucach zaświstało. Przy swojej tuszy męczył się szybciej niż pozostali. Pot spływający spod skórzanego leninówki zrosił mu czoło, ale Tychenko nie mógł zatrzymać się w tym miejscu. Pokonali dopiero połowę drogi, do przebycia zostało drugie tyle. Szum w głowie i łomot serca zlały się w jedno. Czyżby jego serce biło aż tak głośno? Nie, to raczej... Seria z cekaemu minęła pułkownika i skosiła idących za nim bojowców. Tychenko padł w miedzę i

poszukał osłony. Zasadzka? Skąd wiedzieli? To niemożliwe. Za sobą słyszał jedynie jęki rannych i konających. Jeden dobrze wstrzelany karabin maszynowy kilkoma celnymi seriami zmasakrował pluton, który prowadził.

Poszukał miejsca, skąd Polacy prowadzili ogień. Spod zabudowań w ich kierunku walił nie jeden kaem, jak się spodziewał, tylko kilka. Nie mieli szansy, tym bardziej że jego ludzie odpowiadali wyjątkowo niemrawo. Wreszcie w polskie stanowiska poszła pierwsza seria z sowieckiego Diektariewa, lecz bez zauważalnego rezultatu. Starannie wymierzył i raz za razem naciskał spust aż do opróżnienia magazynku. Poszukał po kieszeniach pocisków i ponownie załadował Mauzera. Atak odpadał. Nie poderwie przecież ludzi do samobójczego szturmu, zresztą ci jeden po drugim uchodzili na tyły, byle dalej od zmasowanego ostrzału.

– *Stoj!* – krzyknął za którymś z nich. Bez rezultatu. Teraz przynajmniej nie chybi.

Wycelował w plecy i wystrzelił. Poprawka nie była potrzebna. Uciekinier padł z cichym jękiem.

Na prawo od Tychenki napięcia nie wytrzymał inny człowiek Oddziału im. Warszawskiego Proletariatu. Tutaj interwencja pułkownika okazała się zbyteczna. Porządek z dezterem zrobił pocisk z polskiego kaemu. Za parę minut nie będzie miał kim dowodzić. Musiał poszukać lepszej osłony. W najbliższej okolicy nie dostrzegł nic, co by mogło spełnić tę rolę. Zupełnie płaskie pole.

Wybiją wszystkich bez problemu, tym bardziej że za plecami horyzont zajaśniał pierwszymi promieniami wschodzącego dnia. Podjęcie kolejnej decyzji przyszło zatem nad wyraz łatwo.

– *Nazad!*

Cała reszta tylko czekała na pozwolenie. Skoczyli w tył, ścigani przez przelatujące kule.

Dywersant z Diektariewem padł pierwszy. Nie zdążył

zrobić nawet pięciu kroków, kiedy czubek jego głowy ścieła krótka seria. Tychenko w niewytłumaczalny dla siebie sposób przeskoczył nad nim i popędził dalej. Do zbawczej ściany lasu dobiegli we trzech. Przynajmniej na razie byli bezpieczni. Zaryzykował szybkie spojrzenie w tył. *Gospodin, pomiluj!* – jakoś zupełnie nie zdziwiło pułkownika, skąd w jego ateistycznej świadomości odnalazło się nagle wezwanie do Najwyższego. Tętent kopyt zdławił gardło mocarnym uściskiem. Wybija ich wszystkich. Konnemu pościgowi nie ujdą. Teraz niech każdy ratuje się na własną rękę. Gnany przerażeniem, wpadł na pień jodły. Odbił się od niej ogłuszony i poleciał na plecy. Na dodatek zgubił pistolet. Przeszukał dłońmi ściółkę obok. Nic z tego. Tychenkę powoli opuszczały siły.

Gdzieś w oddali ucichły odgłosy biegnących bojowców. Zdaje się, że został sam. Na czworakach ruszył dalej. Po paru metrach wstał, przytrzymując się kolejnego drzewa. O, cholera.

Poczuł, jak rozorał sobie policzek. Ból nieco go otrzeźwił. Ciężko dysząc, włókł się, szukając drogi w leśnej gęstwinie. Krok za krokiem, tym razem z wyciągniętymi przed siebie dłońmi, zaczął przedzierać się dalej.

Pogoń przeszła boki. Przynajmniej taką miał nadzieję. Echo wystrzałów dobiegało pułkownika bardziej z przodu i na prawo od niego. Na wszelki wypadek skierował kroki na lewo, żeby obejść trwającą potyczkę. Do cholery, jak doszło do tego, że osiemdziesięciu doświadczonych dywersantów wpakowało się w taką kabałę? To klęska. Jeżeli trzem pozostałym grupom wysłanym tej samej nocy poszło podobnie, prowokację szlag trafił. W świat nie pójdzie wiadomość o represjach, których dopuszczali się białopolacy względem autochtonicznej ludności. Towarzysz Stalin nie będzie miał kogo wziąć w opiekę, pałając słusznym oburzeniem. Może lepiej, jak zostanie tu na miejscu, choćby

w więzieniu, niżby miał wrócić tam, gdzie z wrogami rozprawiano się w jeden sposób. Szybko odrzucił tę myśl. Nie jest zdrajcą. Potrafi udowodnić własną wartość.

Po paru minutach doszedł do leśnego duktu i stanął niezdecydowany. Pokusa ruszenia przecinką w stronę nieodległej granicy była trudna do odparcia, ale teraz przynajmniej znał kierunek. Nie sądził, by zostało mu dużo czasu. Dzień szybko wstanie, szarówka poranka przepędzi mrok nocy, a wtedy pogranicznicy rozpoczną metodyczne przeczesywanie całego rejonu.

Odczekał jeszcze chwilę. Cisza, bezruch. Skoczył na drugą stronę. Szczęśliwy, nie patrzył pod nogi. Straciwszy równowagę, poleciał na łeb i szyję. Ból skręconej kostki sparaliżował zmysły Tychenki. Leninówka poleciała gdzieś w bok, a on przywarł czołem do wilgotnej trawy.

Rów, a może raczej dziura w ziemi, idealnie zamaskowana przez naturę, była nie do zauważenia. Bez pomocy szczególnie tu, sam na obcej ziemi. Przeturlał się na plecy i usiadł. Próba ściągnięcia buta spełzła na niczym. Do tego niezbędny byłby nóż, ale musiał posiać go gdzieś razem z pistoletem. Do swoich nie dotrze, nie przy tej wadze. O czołganiu czy kuśtykaniu mógł zapomnieć. Na razie odpoczywał, ciężko oddychając.

Nie czekał długo. Konny patrol KOP-u znalazł Siemiona Jefriemowicza niespełna dwa kwadranse później. Trochę dłużej przyszło mu czekać na furmankę, która go zabrała.

W Rakowie spotkał podkomendnych. Trupy ułożono rzędem na polu, przez które przechodził parę godzin wcześniej. Żywych zamknięto w stodole pod czujnym okiem strażników.

Rannych oddano w ręce miejscowego lekarza. I jedni, i drudzy mieli trafić do twierdzy w Brześciu, ale dla pułkownika Tychenki otwierał się zupełnie nowy etap życia. Na razie jeszcze sam o tym nie wiedział.

– Pana opinia, generale, jest, zdaje się, jednoznaczna – wygolona, jajowata głowa naczelnego wodza i dotychczasowego generalnego inspektora sił zbrojnych zwróciła się w stronę Pełczyńskiego.

– Tak. Wszystko na to wskazuje. Zebrane dane pozwalają sądzić, że do zmasowanego wystąpienia Sowietów dojdzie w ciągu najbliższych dni.

– Tak, oczywiście. Na bieżąco analizujemy pańskie raporty. Sytuacja rzeczywiście wygląda na poważną. Zastanawiam się tylko, czym sobie zasłużyliśmy na takie traktowanie?

– Mówiąc szczerze, niczym. Stalin nie potrzebuje pretekstów. On po prostu realizuje wcześniej założony plan, jak w mechanizmie zegarowym, i tak samo beznamietnie. Wprowadzając w nasze granice oddziały dywersyjne, chce wywołać niepokoje społeczne. Znaleźć wygodne uzasadnienie dla wypowiedzenia nam wojny, chociaż osobiście sędzę, że nic takiego nie nastąpi.

Ale i tak któregoś ranka przeleją się przez granice i nie spoczną, dopóki nie dopną swego.

Szczerza wypowiedź Pełczyńskiego poruszyła pozostałych inspektorów armii, z których tylko generał Stefan Dąb-Biernacki, dowódca Armii „Wilno”, wydawał się zadowolony. Na szczęście zachował milczenie, wpatrzony w blask własnych oficerów.

– Obecna chwila stawia przed nami wielkie wyzwanie – na obliczu Śmigłego odmalowała się autentyczna troska. Tu, w gronie zaufanych doradców, nie musiał grać. Pozy są dobre

na paradach. W sytuacjach takich jak ta nie sprawdzały się wcale. – Proponuję wysłać do Moskwy delegację na rozmowy ostatniej szansy. Mam już wstępną zgodę ministra Becka, że stanie na czele...

– Spróbować można, ale nie sędzę, by coś to dało – odparł z przekonaniem Pełczyński. –

Według ich zasad mobilizacja to wojna, a oni są właśnie w trakcie olbrzymiej mobilizacji. Stalina nie powstrzyma ani minister Beck, ani sam Churchill.

– Międzynarodowa akcja na dużą skalę powinna odnieść skutek – powiedział żywiący jeszcze jakieś złudzenia premier Składkowski, lecz zabrzmiało to jakoś żałośnie.

– Bez wątpienia każdy sposób jest dobry. Odwleczenie ewentualnego terminu choćby o tydzień daje państwu dodatkowe możliwości, a przed nami stawia nowe zadania. Proponuję już nie bawić się dalej w ceregiele, tylko i u nas ogłosić mobilizację.

– Powołaliśmy pod broń jeszcze sto tysięcy ludzi – cierpko zauważył premier. – Za parę tygodni gospodarka zacznie odczuwać ich brak. Przystawienie jej na tryb militarny zrujnuje nas w ciągu najwyżej trzech, czterech miesięcy, nawet bez wojny. Już teraz odczuwamy brak funduszy na nowe inwestycje, a niedługo zabraknie na bieżące wydatki. Bezzwrotna pożyczka, jaką otrzymaliśmy z Paryża i Londynu, w znacznej mierze już się rozeszła.

– Poprosimy o następną. W tej sytuacji nam nie odmówią – zapewnił naczelny wódz.

– Zróbmy to szybko – podpowiedział szef wywiadu.

– W takim razie na popołudnie umówię spotkanie z Noëlem.

Francuski ambasador miał w tym względzie odpowiednie pełnomocnictwa.

– Ja sformuję zespół oficerów – zaofiarował się szef sztabu generał Wacław Stachiewicz. – Niech przetrząsną magazyny

wojskowe naszych sojuszników i pozyskają, co się da.

– Przy okazji pozbędą się zalegającego złomu – skrzywił się generał Kasprzycki.

– Bez obawy, będziemy uważać – głos generała Stachiewicza podskoczył o oktawę.

– Panowie, panowie, apeluję o rozwagę – Śmigły musiał przełknąć gorzką pigułkę. Nie wszyscy współpracownicy potrafili dogadać się bez wywoływania awantury.

Spośród zebranych jedynie generał broni Kazimierz Sosnkowski zachowywał wręcz olimpijski spokój. W ostatnich wydarzeniach nie było dla niego nic zaskakującego, w reakcjach generalicji niestety również nie, a nerwy mogły tylko zaszkodzić. Odcinek, jaki jemu przypadł w udziale, czyli środkowe Polesie, wymagał wyjątkowego zdecydowania i siły woli. Jeżeli już musiał zabrać głos, wołał to robić z rozwagą, podobnie jak siedzący obok generał Tadeusz Piskor, inspektor Armii „Baranowicze”. Obaj co chwila zerkali na siebie, zde gustowani poziomem, do jakiego zniżala się narada.

Generałowie Stanisław Burhard-Bukacki i Kazimierz Fabrycy z południowego odcinka ugrupowania obronnego może i mieliby coś do powiedzenia, ale trudno im było przebić się w starciu szefa sztabu z ministrem spraw wojskowych.

Zastępca szefa sztabu pułkownik Józef Jaklicz, który przez ostatnie kilka tygodni wprowadzał istotne poprawki do planu operacyjnego „W”, w końcu został poproszony przez Śmigłego o zabranie głosu.

– Panowie, wszyscy zdajemy sobie sprawę, że samą obroną wojny nie wygramy. Linearne ugrupowanie narzuca nam przebieg granicy państwowej, co powoduje już na wstępie rozciągnięcie działań na tysiąckilometrowym froncie. Jeżeli wyrównamy linię, i tak pozostanie ponadosiemsetkilometrowy pas obrony. W tej sytuacji same

działania osłonowe na niewiele się zdadzą. Sukces jest możliwy jedynie dzięki manewrowi i to właśnie w nim pokładamy swe nadzieje. Nie bez powodu oddziały szybkie zostały skoncentrowane na południu. Stanowią one strategiczny odwód i przy sprzyjających okolicznościach przeprowadzą kontrofensywę.

– Bardzo dobrze, proszę mi powiedzieć, do jakiej linii mogę kontratakować – Dąb-Biernacki już teraz szukał okazji do zaprezentowania swego kunsztu dowódczego.

Jaklicz podniósł wzrok na Stachiewicza, szukając u niego pomocy. Doczekał się tylko nic nieznaczącej miny „radź sobie sam”.

– Samo wypchnięcie Sowietów poza nasze granice będzie sukcesem, chociaż jeżeli pan generał chce, nie widzę przeszkód, by wejść na kilkadziesiąt kilometrów w głąb ich przestrzeni operacyjnej. W przypadku powodzenia otrzyma pan wszelką potrzebną pomoc.

Ptasia fizjonomia generała wykazywała nieskrywane zadowolenie.

– Zakładamy nieco dłuższą obronę na liniach fortyfikacyjnych. Odwrót na zachód wyłącznie po wyczerpaniu wszelkich środków, na polecenie sztabów poszczególnych armii.

– Jak pan to sobie wyobraża? – spytał generał Piskor, w którego pasie działań znajdował się odcinek obronny „Baranowicze”. – To apelowanie o samobójstwo, a ja tego na własne sumienie nie wezmę.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Panie generale, żołnierski obowiązek... – jedynym chętnym do podjęcia polemiki był minister Kasprzycki.

– Żołnierski obowiązek nie oznacza bezsensownego szafowania życiem. Zamiast chwalebnej śmierci na pozycjach nie do obrony wolę dysponować batalionami gotowymi do zwycięskiej walki. Przedkładam planowanie nad

improwizację i taktykę nad kozietulszczynę.

– Oczywiście. Proszę postępować zgodnie z własnym sumieniem – zakończył sprawę marszałek. – Kwestią o zasadniczym znaczeniu jest czas. Czy z informacji, jakimi dysponujemy, możemy wysnuć wniosek o terminie?

Pełczyński wałkował ten temat od początku i wciąż nie był w stanie podać konkretnej daty.

Zresztą, mogła ona już kilkakrotnie ulec zmianie. Tydzień w tę czy tydzień w tamtą stronę przy tym, co planował Stalin, to doprawdy szczegół. Zaryzykował odpowiedź, kierując się bardziej intuicją niż rozsądkiem.

– Moim zdaniem tydzień, a może i mniej.

24
LONDYN

Właśnie mijał ostatni dzień czerwca. Dla Marka jakoś nie miało to większego znaczenia.

Prawdę mówiąc, stolica Wielkiej Brytanii zrobiła na nim duże wrażenie. Warszawa była swojska, Londyn – imperialny. Ten nieuchwytny sznyt dawało się wyczuć na ulicach, jakby unoszony przez ciepły wietrzyk ponad dachami domów, Tower i Pałacu Westminsterskiego. Można powiedzieć, że z dala od kraju odżył. Nie analizował każdej wiadomości w gazetach i radiu pod kątem tego, co mogą przynieść. W zasadzie każde wolne popołudnie spędzał z Marshallem, którego odszukał zaraz po przylocie. Łazili po knajpach i teatrach. Kilkakrotnie gościł w domu Jaspera. Za każdym razem miał okazję wysłuchać opowieści jego ojca, byłego oficera wojsk kolonialnych w Indiach i Birmie, o potyczkach z rozbójniczymi Pasztunami na zachodzie lub z Tamilami na południu. Stary, jak się zdaje, otarł się również o Turkmenistan, podobno bywał za Amu-Darią i penetrował dolinę Fergany. Dochodząc do tej części opowieści, zawsze zawieszał głos i porozumiewawczym spojrzeniem sugerował, że dalej mówić nie może.

Reszta rodziny puszczała te opowieści mimo uszu, tylko Bagiński słuchał ich z ciekawością.

Gdy siedział po obiedzie w salonie i popalał wielkie cygara wśród tysięcy woluminów na półkach, wyobrażał sobie, że utracony na wschodzie majątek wujka Franciszka musiał wyglądać podobne.

Stary James Marshall i wuj dopiero mieliby o czym

rozmawiać. Generalnie jednak zajmował się pracą. Zamiast banalnego, jak przypuszczał, przelotu

Beaufighterem na trasie Londyn–Toruń, co przy zasięgu maszyny wynoszącym ponad 2800 kilometrów nie byłoby żadnym wyczynem, wylądował w biurze konstrukcyjnym firmy De Havilland. Nie było w tym żadnego przypadku, po prostu załatwiono to gdzieś ponad jego głową.

Jasper któregoś dnia zabrał go samochodem i zawiózł na miejsce. Stanie przy desce kreślarskiej nie było dla niego nowiną, ale też nie spełnieniem marzeń. Jednak szybko się zorientował, że fart go nie opuszcza.

Najnowszy samolot De Havillanda – DH.98 Mosquito – zachwyił go jeszcze bardziej niż Beaufighter. Latał szybciej, wyżej i dalej od poprzednika. Łatwy w pilotażu, potężnie uzbrojony i na dodatek po prostu bardzo ładny. Nie ulegało wątpliwości: taka maszyna musi zasilić polskie dywizjony, i to jak najprędzej.

Ku zdziwieniu Marka nie robiono z tym większych problemów. Zdaje się, że Londyn coś zrozumiał – będzie musiał walczyć do ostatniego żołnierza swojego sojusznika. Stąd ta niesłychana rozrzutność.

Podczas pobytu w Moskwie nauczył się jeszcze czegoś – nawet mając do dyspozycji sto takich samolotów, wojny nie wygrają. Tutaj potrzebna była całkowita mobilizacja przemysłu. Takich maszyn jak Beaufighter i Mosquito muszą mieć tysiące, podobnie jak Sowieci I-16, Jaków i MiG-ów. Bez tego walka potrwa najwyżej parę tygodni. Berlin już teraz patrzył jakoś z ukosa, wyczekująco, mnożąc problemy na granicach i zamykając swą przestrzeń powietrzną dla polskich samolotów.

W sumie nie jego sprawa. Pierwszą partię DH.98 już montowano – z paroma poprawkami, jakie zasugerował producentowi. Za kilka tygodni zostanie przygotowana pierwsza eskadra, a wtedy pokażą, co potrafią.

25
FRONT ZACHODNI

Początek wyzwolenczego marszu zaplanowano na godzinę 3.30 nad ranem 4 lipca.

W wyznaczonym terminie z lotnisk zlokalizowanych wzdłuż zachodniej granicy Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich poderwały się w powietrze eskadry i dywizjony lotnictwa bombowego dalekiego zasięgu. Setki samolotów Jer-2, Su-2, DB-3 i SB-2 przystąpiły do niszczycielskich zadań. Ich pierwszy cel stanowiły Wilno, Wołkowysk, Białystok, Brześć, Lublin, Kowel, Lwów i Stryj, gdzie miały unicestwić lotniska i centra dowodzenia. Natarcie na Warszawę zaplanowano dopiero po rozbiciu polskich sił powietrznych. Planowanie zajęło lata, więc nie przewidywano kłopotów.

Dowódcy jednostek w obecności komisarzy politycznych otworzyli czerwone pakiety. Ich treść i tak odpowiadała wcześniejszym przypuszczeniom. Nie pozostało im nic innego, jak przystąpić do wykonania obowiązków. Dudnienie setek i tysięcy silników rozbrzmiało jeszcze przed świtem, mącąc ciszę mechanicznym grzmotem. III Korpus Lotnictwa Bombowego wzbił się w powietrze jako pierwszy. Za nim posuwać się miała reszta dywizji bombowych i lotnictwa mieszanego. Te ostatnie, złożone w sporej części z dywizjonów lotnictwa myśliwskiego, dawały osłonę własnym maszynom albo pilnowały rosyjskiej przestrzeni powietrznej. Znaczny odsetek wśród pilotów i załóg stanowili weterani, którzy swój szlak bojowy rozpoczęli w Hiszpanii i w walkach nad Chałchyn-Goł. Tak dużego

doświadczenia bojowego nie miał nikt inny. W kabinach myśliwców I-16 czy Jak-1 czuli się na dobrą sprawę niepokonani.

Nie wszystkim jednak było dane dokonać kolejnego udanego nalotu. Za dużo działo się naraz. Najlepiej wyszkoleni lotnicy zostali przemieszani z całkowitymi żółtodziobami. Przede wszystkim na żadnych szkoleniach nie używano takiej masy sprzętu, dodatkowo sprawne przeprowadzenie pierwszych startów utrudniała panująca jeszcze szarówka. Ustawiające się na początku pasów startowych i drogach kołowania samoloty wpadały jedne na drugie. W paru przypadkach obciążone do granic możliwości paliwem i bombami DB-3 i SB-2 staranowały wylatujące wcześniej myśliwce. Tak na przykład stało się w Mińsku i Bobrujsku. Musiano wstrzymać starty do czasu ugaszenia pożarów i usunięcia szczątków maszyn. W całym okręgu wojskowym przez pierwszą godzinę doszło do trzydziestu wypadków, w których śmierć poniosło czterdziestu siedmiu lotników. Formacje zebrane w grupy liczące od dwustu do trzystu maszyn obrały w końcu kurs na zachód. W sumie dawało to ogólną liczbę prawie półtora tysiąca samych bombowców rzuconych do niespodziewanego ataku.

Jak się wkrótce okazało, nalot nie był dla Polaków zaskoczeniem. Sieć dozoru obrony przeciwlotniczej podciągnięto wcześniej na odległość od stu do sześćdziesięciu kilometrów od granicy, tworząc dwa łańcuchy posterunków. Planowane wyprzedzenie alarmu wynosiło około dwudziestu i dwunastu minut przed nalotem. Dodatkowe zabezpieczenie miały stanowić strażnice i stacje Korpusu Ochrony Pogranicza. To właśnie stamtąd pobiegły pierwsze meldunki o wielkich zgrupowaniach nadciągających nad przestrzeń powietrzną Polski. Część strażnic zresztą i tak już prowadziła walkę z wysuniętymi elementami sowieckich jednostek piechoty i dywersantami przenikającymi przez pas

graniczny.

Do pierwszych powietrznych potyczek doszło nad Wilnem i Pińskiem. Na bombardowanych lotniskach nie odnotowano dużych strat dzięki wcześniejszemu rozśrodkowaniu samolotów bojowych. Zniszczone lub uszkodzone zostały głównie maszyny szkolne oraz obserwacyjne i wywiadowcze, wycofywane z pierwszej linii. Przeciwlotnicze armaty kalibru 40 mm i 75 mm świetnie się spisywały, lecz niestety nie było ich zbyt wiele. Większość przeznaczono do obrony dużych ośrodków miejskich w centralnej części kraju. Natomiast ogień karabinów maszynowych z powodu wysokiego pułapu, na jakim operowało sowieckie lotnictwo, nie spełnił oczekiwanego zadania. W efekcie zestrzelono jedynie dwanaście maszyn, uszkodzając kilka następnych. Prawdziwego pogromu dokonały dopiero myśliwce. Operujące kluczami i parami Morane'y rozbijały poszczególne formacje bombowców. Serie z działek siały spustoszenie.

W zasadzie każdy z polskich pilotów zaliczył jedno strącenie, niektórzy dwa, a w paru przypadkach po trzy. Łatwość, z jaką to osiągnięto, wynikała przede wszystkim z braku doświadczenia sowieckich pilotów. Problem w tym, że w akcji udział brała jedynie garstka MS.406. Udało im udało się zniszczyć ponad pięćdziesiąt bombowców, jednak ze wschodu wciąż przybywały nowe pułki, przytłaczając liczebnie polską obronę. Kiedy do walki włączyły się I-16, a przede wszystkim nowe Jaki i MiG-i, nie szło już tak łatwo. Do siódmej rano w Wilnie płonęło już Wzgórze Zamkowe i część osiedli mieszkalnych. Ucierpiała również katedra św. Stanisława. Mieszkańcy i tak mogli mówić o szczęściu, bo spora część zrzuconych ładunków trafiła na pola i lasy okalające miasto. W Pińsku pociski zapalające wywołały pożar znacznej części drewnianej zabudowy, podobnie w Stryju i Łucku.

Im dalej na zachód, tym bardziej malała skuteczność, rosły natomiast straty napastników.

Nalot na Warszawę z godzin południowych przesunięto na popołudniowe, a w końcu na wieczorne.

Zmobilizowano do tego zadania tych, którzy jeszcze nie zdążyli wziąć udziału w walce i dysponowali maszynami o odpowiednim zasięgu. Dla odwrócenia uwagi w dalszym ciągu koncentrowano znaczne siły na kierunkach drugorzędnych, tak by jak najbardziej rozproszyć polskie myśliwce. Sowieccy dowódcy zapomnieli jednak, że centrum było najsilniej bronionym rejonem kraju. Bitwa, jaka rozgorzała, nie miała odpowiednika w dotychczasowej historii.

I jedna, i druga strona rzuciła do walki wszystko, co jeszcze miała do dyspozycji. Ponad sto polskich Morane'ów, Hurricane'ów i starych PZL-11 starło się na wschód od stolicy z przeszło siedmiuset maszynami wroga. Nic dziwnego zatem, że wielu bombowcom udało się przedrzeć.

Przy zrzućcie nie celowały w żadne konkretne miejsca. Bomby spadały przypadkowo od Pragi po Wolę. Trafiono w Zamek Królewski, z którego w niebo wzbił się słup czarnego dymu. Podobne punkty znaczyły całe miasto. Na razie obie strony nie odczuwały jeszcze zmęczenia. Powietrzna wojna na wyniszczenie dopiero miała wejść w kolejną fazę, kiedy to ilość posiadanego sprzętu zyska decydujące znaczenie.

Jednak w całej tej świetnie przygotowanej maszynie coś zaczęło zgrzytać już po południu 4 lipca. Do pierwszych odwetowych nalotów na lotniska przeciwnika ruszyły samoloty PZL.37 Łoś i Fairey Battle z X i XV Dywizjonu Średnich Bombowców. Na razie nieliczne, w dodatku połowa z nich padła łupem najnowszych sowieckich myśliwców MiG-3. Ci, którym udało się przedrzeć, mogli mówić o podwójnym szczęściu. U celu bowiem widać było, że pasy startowe zostały zapchane samolotami pobierającymi paliwo

bądź ładującymi kolejny zestaw bomb na pokłady.

Zaskoczenie było pełne. Kilkanaście PZL.37 i Battle'i rzuciło swoje ładunki wprost na gęste szeregi maszyn i mrowie ludzi. To za mało, by sparaliżować działania przeciwnika, niemniej kilka lotnisk zostało na jakiś czas wyłączonych z ofensywy. Kolejna taka szansa nie pojawiła się szybko.

W efekcie walk powietrznych, ostrzału artyleryjskiego, nalotów i katastrof lotnictwo sowieckie straciło tego dnia ponad czterysta maszyn. Tyle że dowództwo *Wojenno-Wozdusznych Sił* brało pod uwagę tak duże ubytki. Stanowiły one przecież tylko niewiele ponad trzy procent ogółu zasobów. Szeregi dało się uzupełnić w ciągu zaledwie paru godzin. Przystawiona na produkcję wojenną sowiecka gospodarka była w stanie zapewnić ciągłość masowej produkcji, a do zniszczenia wielkich radzieckich zakładów zbrojeniowych Polsce brakowało sił i środków.

W dywizjach strzeleckich i pancernych Armii Czerwonej komisarze batalionowi przeczytali wezwanie towarzysza Stalina: „Wybiła godzina wyzwolenia!”. Rozdano frontowy przydział wódki i setki tysięcy żołnierzy ruszyły na zachód ze śpiewem na ustach.

Jeszcze przed świtem zorganizowane kolumny piaszczystymi polnymi i leśnymi drogami, przy wtórze czołgowych gąsienic przekroczyły granicę w miejscach, gdzie wcześniej oddziały szturmowe stoczyły zaciętą walkę z plutonami i kompaniami Korpusu Ochrony Pogranicza. Dla czterdziestu dwóch tysięcy pograniczników rozlokowanych wzdłuż linii 1412 słupów granicznych, bo tyle właśnie ich umieszczono wzdłuż granicy, wybiła godzina próby. Ich zadaniem nie było powstrzymanie inwazji, jedynie stawianie oporu, jak długo się da, i zbieranie informacji o kierunkach natarcia i siłach przeciwnika.

Wobec powtarzających się w ostatnich tygodniach

wielokrotnych prowokacji o zaskoczeniu nie było mowy. Pierwsze walki wybuchły w środku nocy, jeszcze przed trzecią. Dywersantów atakujących stacje powitał celny ogień maszynowy. Potyczki przeciągały się i dopiero wprowadzenie do boju samochodów pancernych i czołgów przechyliło szalę zwycięstwa na stronę Sowietów. W czerwonym blasku podpalanych punktów oporu przez granicę przeszły kolejne jednostki. Pierwszy dzień nie zapowiadał się ciężko. Główne oddziały polskiej armii ulokowane jednak były dalej na zachód. Zmasowany ogień artylerii miał się przydać dopiero jutro albo i nawet pojutrze.

Ku konsternacji większości *komkorów* jeszcze nie opadł kurz z porannych potyczek, a pierwsze czołówki pancerne już wpadły na urzutowaną w głąb obronę. Taka sytuacja zaistniała pod Kleckiem, Stołpcami, Krasnem i Dokszykami. 37-milimetrowe armaty Bofors i przeciwpancerne karabiny Ur siały spustoszenie wśród sowieckich czołgów BT i T-26. Drogi i leśne przecinki zatarasował pancerny złom. Ponawianie natarć niczego nie zmieniało, powiększały się jedynie sowieckie straty. Nie było rady, użycie haubic i artylerii polowej okazało się już konieczne, tym bardziej że polskie haubice kalibru 100 mm masakrowały czerwonoarmistów zmasowanym ogniem. W tym przypadku zawiodło planowanie i zadanie błyskawicznego posuwania się naprzód okazało się niewykonalne.

Sowiecka artyleria przystąpiła do ostrzału z półgodzinnym opóźnieniem. Jej huraganowy ogień, jakiego te ziemie jeszcze nigdy nie widziały, przyniósł zaskakująco słaby efekt. Walkę z nią podjęły tylko niektóre polskie baterie, większość zaprzęgnięto i odesłano na tyły.

Harmonogram operacyjny RKKA przewidywał, że pierwszego dnia inwazji jej wojska wtargną na trzydzieści kilometrów w głąb terytorium wroga. Dla niektórych dywizji i korpusów 4 i 10 Armii nawet pierwsze pięć kilometrów

okazało się drogą przez mękę. Najlepiej radziły sobie oddziały 3 Armii operujące po obu stronach Berezyny. Obrona tak daleko wysuniętego na północ skrawka państwa była prawie symboliczna. Za to sporą przeszkodę do pokonania dla atakujących tworzyły rozlewiska samej rzeki i tereny Puszczy Nalibockiej.

Zdecydowanie najmniej korzystna dla Polaków sytuacja wykształciła się na południu, w pasie działań Armii „Wołyń” i Armii „Podole”. To właśnie na nie spadło najtrudniejsze zadanie.

11 KARPACKA DYWIZJA PIECHOTY

Przed dowódcą najbardziej wysuniętej na południe 11 Dywizji Piechoty, pułkownikiem Bronisławem Prugarem-Ketlingiem, postawiono niebywale trudne zadanie. We współdziałaniu z granicznym batalionem „Borszczów” i pułkiem KOP-u „Karpaty” miał nie dopuścić do przerwania styczności z Rumunią. Przeciw sobie miał całą sowiecką 2 Armię, zatem sprawa wydawała się przesądzona.

Pewne szanse na obronę dawały górzyście pasma Gorganów i Pokucia, które niestety rozciągały się kilkadziesiąt kilometrów za plecami obrońców. Pułkownik przynajmniej na razie musiał obsadzić linię granicznego Zbrucza. Od następnej znacznej przeszkody – Seretu – dzieliło ich trzydzieści kilometrów. Pokonanie takiego odcinka pod ogniem Sowietów równało się zagładzie całej dywizji. Tym bardziej że oni dysponowali pojazdami mechanicznymi, a on mógł liczyć wyłącznie na nogi piechurów.

Z wysuniętego punktu obserwował płynącą rzekę. W uszach dzwoniło mu od nieprzerwanego huku wybuchających pocisków artyleryjskich. Na sekundę przymknął oczy, koncentrując się na wewnętrznych

doznaniach, ale oprócz uporczywego bólu głowy nic nie odczuwał. Przywarł do osłony sztabowej lornety, wpatrzony w miejsce, gdzie Zbrucz forsowała czerwona piechota. Nad nimi zauważył niewyraźne czarne punkciki wyłaniające się spoza horyzontu. Szybko przybrały kształt szturmowych samolotów, które lotem koszącym zaczęły ostrzeliwać rozpoznane stanowiska. Na szczęście działa wciąż waliły w rzekę, wyrzucając w górę gejzery wody wraz ze środkami przepławowymi. Stan wody nie przekraczał dwóch metrów, trudno więc w tym wypadku mówić o znaczącej przeszkodzie, niemniej nawet taka poważnie zmniejszała impet ataku.

Tych parę cekaemów z tymczasowych umocnień dopełniało dzieło zniszczenia. Browningi wypływające kolejne serie wybijały grupy i grupki saperów i zwiadowców chcących jak najszybciej przebić się na drugą stronę. Na razie nie było bardzo źle, jednakże pułkownik zdawał sobie sprawę, że nie może stawiać oporu bez końca. Zostanie w końcu przygnieciony ulewą stali. To jedynie kwestia minut. W tej chwili jego żołnierze jeszcze byli górą. Bezpośrednie wysunięcie nad samą granicę przyniosło efekt i należało to wykorzystać.

Jakby w odpowiedzi nad frontem przetoczył się potężny grzmot. Nastąpiło to, czego obawiał się najbardziej. Setki sowieckich dział i moździerzy wyrzuciły w powietrze dziesiątki ton pocisków. Z taką nawałą ognia nie zetknął się nigdy wcześniej. Poprzedni ostrzał okazał się jedynie przygrywką do tego, co właśnie się rozpętało.

– Dajcie rozkaz odwrotu! – wykrzyczał w momencie, gdy łoskot odrobinę zelżał.

Może zwlekał za długo? Nie. Tutaj nie miał sobie nic do zarzucenia. Teraz najważniejsze to odskok. O ile przeciwnik pozwoli. Wyjrzał ponownie na przedpole. Czerwonoarmiści nabrali animuszu. Na brzegami Zbrucza stłoczeni żołnierze

w zgniłozielonych bluzach z długimi Mosinami w rękach czekali na dogodny moment. W końcu, ponagleni, skoczyli w wodne odmęty, uczepli kłód drewna, desek, a sporadycznie własnych plecaków. Na łodzie załadowano Maksimy prujące długimi, chaotycznymi seriami. Kiedy ta cała masa zwali się tutaj, będzie po nich.

Popędzany przez szefa sztabu podpułkownika Wacława Popiela, skoczył do tyłu, gdzie czekał terenowy Fiat 508 ukryty w głębokim jarze. Ziemia trzęsła się bezustannie, a po wybuchach pocisków większego kalibru wręcz kołysała niczym pokład podczas burzy. Chmury pyłu, kurzu i dymu przysłaniały niebo. Wyczekali, aż artyleryjskie granaty zaczną spadać za nimi i pobiegli.

Gdzieś niedaleko echo odpowiedziało krasnoarmiejcom gromkim: *Urra!!!* , wzbijającym się ponad huk pękających pocisków. Wycie szybko ucichło, kiedy monotonne *staccato* Browningów przerwało pieśń zwycięstwa.

Nie wszystko stracone. Nawała nie zgmiotła jeszcze stanowisk obrony. Pewnie jego rozkazy nie dotarły do wszystkich lub, co równie prawdopodobne, w ferworze walki zostały zignorowane.

Część żołnierzy postanowiła walczyć do końca, żeby dać reszcie osłonę i czas – tak potrzebny do odwrotu.

Nagle silnik Fiata zawył jak zranione zwierzę, po czym wóz skoczył do przodu, przyhamował i ponownie wystartował. Ten falstart uratował im życie. Przelatujący nad nimi szturmowiec wpakował serię z działek wprost w miejsce, w którym znaleźliby się, gdyby nie chwilowy bunt maszyny. Prugar-Ketling wyszeptał krótką modlitwę. Tylko Opatrzności zawdzięczali to, że jeszcze żyli.

Samochód gnał jak szalony po ledwo widocznej drodze, a właściwie wydeptanym pasie wśród wysokich traw i kęp burzanów. Psia krew, zachciało się mu obserwować bitwę z pierwszego rzędu, zamiast siedzieć w punkcie dowodzenia.

Niewiele pomógł, a o mały włos nie stracił życia.

Przytrzymując się obiema rękoma burty, popatrzył wokół. Przeklęty samolot wykonał nawrót i ponownie brał ich za cel. Złowroga sylwetka nadlatywała od tyłu. Dostrzegł jeszcze błysk na krawędziach skrzydeł i Fiat wywinął kozła. Nagle wszystko przykryła ciemność.

Polowe stanowisko dowodzenia armią ulokowano w odległości czterdziestu kilometrów od granicy, w gmachu tarnopolskiego ratusza. Rozchodząca się stąd promieniście sieć kolejowa i drogowa stwarzała dogodne warunki do szybkiego przerzutu skoncentrowanych oddziałów 12

Dywizji Piechoty w dowolnym kierunku.

Dosłownie dziesięć kilometrów dalej, w Zbarażu, rozlokowano 5 Dywizję, a na południu Podolską Brygadę Kawalerii. Za plecami miały odwodowe 22 i 24 DP i tylko wysunięta sześćdziesiąt kilometrów przed resztę 11 Karpacka Dywizja Piechoty walczyła w osamotnieniu.

Jeszcze dalej, bo w okolicach Borszczowa, nad samą rumuńską granicą operowały bataliony KOPu. Od Tarnopola dzieliła je odległość blisko stu kilometrów i od dobrych kilku godzin nie było z nimi kompletnie żadnej łączności.

Inspektor armii, pięćdziesięcioletni generał dywizji Kazimierz Fabrycy przemierzał długimi krokami przestrzeń pomiędzy szeroko otwartym oknem a rozłożoną na stole sztabową mapą. Ręce założone z tyłu dziwnie podrygiwały, szczeka co chwila zaciskała się z siłą imadła i rozluźniała w niekontrolowanych skurczach.

Z okna na pierwszym piętrze rozciągał się widok na otoczony niewysokimi domami rynek, obecnie zapchany do granic możliwości. Pod spojrzeniem generała setki żołnierzy i konnych wozów taborowych przechodziły z północy na południe. Kresowe miasto nie różniło się od wielu podobnych. Dominowali w nim Polacy, sporo było Żydów. Za to w okolicach wiejskich większość to już Ukraińcy. Teraz

zachodziła obawa, że nie wszyscy będą siedzieć cicho. Jeśli dojdzie do masowych wystąpień, sama policja i żandarmeria nie da rady. W ostatnich latach cały czas rosło napięcie pomiędzy Ukraińcami i Polakami, a w obecnej sytuacji zapewne nie skończy się na manifestacjach czy pojedynczych zamachach. Wojskowi nie pozostaną bierni, jeśli dojdzie do otwartych zbrojnych wystąpień ani jeśli zaczną im strzelać w plecy w zasadzkach.

Mury i parkany przyozdobiono w nocy nowymi plakatami. Obok wcześniejszych „Melduj o bandytach i bolszewikach policji” zawisły nowe z wezwaniem „DO BRONI!”, ale generał czuł, że nie wszystko pójdzie gładko. Wcześniejsze tygodnie dawały do myślenia. Przestał w końcu deliberować i zajął się bieżącymi sprawami.

– Jest łączność z pułkownikiem Ketlingiem?

– Nie ma, panie generale – oficer odpowiedzialny za łączność dwoił się i troił. Wciąż bez skutku. Teoretycznie przez sieć łączności przewodowej powinni porozumiewać się ze sztabem 11 Dywizji bez większego problemu. Wojna wybuchła ledwie parę godzin temu, a on już stracił kontakt z podległą jednostką. W razie konieczności istniała jednak sieć cywilna, co tu mówić, o wiele lepiej zorganizowana.

– Jak niby mam prowadzić wojnę, nie wiedząc, gdzie są poszczególne oddziały? – zapytał retorycznie. – Proszę się tym zająć, a o wynikach meldować natychmiast.

– Tak jest – łącznościowiec wyszedł pośpiesznie.

– Posłuchaj, Kaziu... – pułkownik Witold Dzierżykraj-Morawski, szef sztabu armii, wpadł do pomieszczenia i bez ceregieli natychmiast pośpieszył do mapy. – Napierają na naszych tu, tu i tu. Jak widzisz, główny atak idzie wprost na nas.

Fabrycy, pochylony nad mapą, ponownie zacisnął szczęki. Gdzieś w oddali zaszczeakał karabin maszynowy. Po chwili dołączył do niego następny i jeszcze charakterystyczny

odgłos przeciwnotniczych działek. Dowódca Armii „Podole” zignorował zbliżający się nalot. Przynajmniej na razie. Minutę później, po kilku grzmotach daleko spadających bomb, ponownie zrobiło się spokojnie.

– Związki szybkie bez naszego przeciwdziałania osiągną Tarnopol za parę godzin.

– Tak, wiem.

– Znasz dyspozycje naczelnego wodza: odwrót na północ od Brzeżan.

– Nie zapominaj o Rumunach.

– Nie zapominam – Dzierżykraj-Morawski przejechał dłonią po papierze. – Powiedz mi tylko, jak oni to sobie wyobrażają? By stworzyć w miarę zwarty front, potrzebujemy co najmniej trzech dodatkowych dywizji. Jak nie zarządzimy w porę odwrotu, wytluką nas jeszcze przed Dniestrem i Karpatami.

– A jak oddamy im Tarnopol, otworzymy drogę na Lwów – irytacja Fabrycego rosła. – Tak szczerze, między nami: już chcesz się cofać?

– Wiesz, że nie – pułkownik popatrzył twardo w oczy generała. – Dopóki nie mamy informacji od Ketlinga, nie odejdziemy na zachód.

– A jeżeli ich już nie ma? – Fabrycemu zrobiło się nieswojo.

– Co? Całej dywizji? Chyba żartujesz.

– Nie możemy nawiązać kontaktu.

– Wiesz, jaki jest Bronek. Pewnie pojechał osobiście dowodzić na froncie.

– To niczego nie tłumaczy.

– Wyślemy samolot. Niech spróbują nawiązać kontakt i zaraz wracają – zaproponował pułkownik. – Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

Tak to już jest, że nie wszyscy mają szczęście. Niektórzy rodzą się z nim, inni, choćby nie wiadomo jak się starali, nie zaznają go przez całe życie. Chorąży Ignacy Stankiewicz należał do tej drugiej grupy, a przynajmniej tak uważał.

Pozostali kumple latali na Mewach i tylko jemu dostała się rozpoznawcza Czapla, chyba ostatnia zmobilizowana i niewymagająca natychmiastowego remontu. Rozkaz to rozkaz. Nie było co wydziwiać. Wraz ze strzelcem z tylnej kabiny kapralem Wróblem musiał „tylko” polecieć i odszukać dowództwo 11 Dywizji Piechoty, wręczyć instrukcje, odebrać odpowiedź i wrócić do Tarnopola, a wszystko to przed obiadem.

Mechanik z rozmachem obrócił dwułopatowe śmigło, silnik zastartował. Stankiewicz dodał gazu i samolocik nabrali rozpędu. Maksymalna prędkość 247 kilometrów na godzinę w razie spotkania z sowieckimi myśliwcami pozwoliłaby mu tylko polec z honorem, a nie wypełnić zadanie. To zabawne, kiedy czytał o poprzedniej wojnie, oczyma duszy widział siebie w roli bohatera dokonującego chwalebnych czynów. Teraz wcale go to nie bawiło.

Silnik kaszlnął, by po sekundzie ponownie podjąć pracę. Chorążemu zamarło serce.

Kochany, nie rób mi tego. Bezgłośnie obiecał, że już nigdy nie pomyśli niczego złego pod adresem RWD-14. Pod warunkiem, rzecz jasna, że uda mu się wynieść głowę cało z tej awantury.

Pułap dwustu metrów wydawał się najrozsądniejszy. Nie za wysoko i nie za nisko. Widział wszystko na ziemi, a przecież o to właśnie chodziło. Mniej więcej w połowie drogi wyżej od niego przemknęło kilka samolotów. Nie zdołał rozpoznać typów. Wolał nie kusić losu, więc ostrożnie zszedł niżej, cały czas odprowadzając eskadrę wzrokiem. Leciąca na wschód, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Równie dobrze mogły to być Łosie co czerwone bombowce powracające z wykonanego zadania.

Dwadzieścia minut później nad Czortkowem, czyli teoretycznie w miejscu postoju 11 Dywizji, przywitała ich nienaturalna cisza. Na południu paliła się jakaś zagroda. Poza

tym nic ciekawego.

Ni z tego, ni z owego w poszyciu skrzydeł wykwitły dziury. Samolotem zarzuciło.

Stankiewicz mocniej ujął stery w dłonie.

– Strzelają do nas – kapral wytrącił Stankiewicza z błogiej niewiedzy.

Nieważne kto, ważne, by ratować życie. Kolejna seria zahaczyła lotkę, kiedy Czapla poszła w dół gwałtownym zwrotem przez prawe skrzydło. Wyrównał na pięćdziesięciu metrach. Sprawdził stery. Reagowały ciężiej niż zwykle.

– Tam!!! Tam!!! – kapral darł się jak opętany.

Pod lasem przemknęła jakaś grupa konna. Skupił na niej wzrok.

Cholerni ułani, malowane dzieci, psia ich mać! Mieli farta, bo jakby Wróbel wygarnął w ich kierunku serię z kaemu...

Wyrzwał przez burtę w poszukiwaniu miejsca do lądowania.

Kawałek w miarę równego gruntu dostrzegł kilkaset metrów przed sobą, przy drodze.

Grzmotnął maszyną o ziemię jak nowicjusz, który pierwszy raz usiadł za sterami. Gogle przesunął na czoło i wygramolił się na zewnątrz, rozglądając wokół. Są. Konny oddział podjechał od wschodu. Wyglądali na nieźle przestraszonych. Wachmistrz wstrzymał pluton i podjechał najbliżej Stankiewicza.

– Czołem.

– Człowieku, co wy tutaj robicie? – ułan wytrzeszczył oczy.

– Pakiet z dowództwa armii do sztabu 11 Dywizji.

– Jakiej dywizji?

– Jak to jakiej, przecież...

– Nie ma już żadnej dywizji. Klęska.

Chorąży przebiegł wzrokiem zalesiony horyzont, jakby spomiędzy drzew zaraz mieli wyskoczyć bolszewicy.

– O czym wy, do diabła, mówicie?

– Rozbili nas pod Kopczyńcami. Siła ich, czołgi, artyleria.

Chaotycznej wypowiedzi kawalerzysty przeczyła panująca dookoła cisza, tylko daleki odgłos wzbierającej burzy psuł sielski obrazek. Dziwne. Meteo nie zapowiadało zmian.

– Pułkownik?

– Zginął. Wszyscy zginęli. Z całego szwadronu zostało nas tylko tyłu! – wyrzeszczał

ostatnie zdanie podoficer. – Kosili naszych jak zboże. Rotmistrz oberwał na samym początku.

Reszta oficerów próbowała zbudować obronę. Wszystko na nic. Ratuj głowę!

Bardzo im się śpieszyło. Wachmistrz dał znak i konni przemknęli jak zdmuchnięte wiatrem liście. W tym czasie stojący przy kaemie Wróbel obserwował okolicę.

– Co o tym myślicie, kapralu?

– Bo ja wiem – zapytany na wszelki wypadek nie odrywał spojrzenia od drogi na Czortków.

– Na mój rozum za szybko to idzie.

– Co proponujecie?

– Co ja proponuję, to najlepiej pan wie, panie chorąży – kapral zsunął się do wnętrza kabiny i przeładował karabin maszynowy. Dźwięk przesuwanej dźwigni otrzeźwił Stankiewicza. W końcu ma zadanie do wykonania.

Wystartowali zaraz po tym, jak kapral zapuścił śmigło. Minęli Czortków i traktując linię kolejową jako drogowskaz, obrali kurs na południowy wschód. Na pierwsze oznaki rozprężenia natknęli się parę kilometrów dalej. Drogą w kierunku miasteczka, gdzie znajdował się jedyny w okolicy most na Serecie, jechały pojedyncze samochody i spora liczba wozów konnych.

Z każdym kilometrem wyglądało to gorzej. Konna bateria, nie zważając na nic, gnała przed siebie.

Niemogące nadążyć formacje piechoty przemykały na skróty. Dla nich most nie był aż tak istotny.

Zobaczył, co chciał. Polecieli bardziej na południe,

dosłownie muskając podwoziem co wyższe drzewa. I-16 spadł na nich z góry od strony słońca. Niezbyt doświadczony pilot walił seriami, przestrzeliwując za każdym razem o kilkanaście metrów. Czapla to nie myśliwiec. Ciasne zwroty nigdy nie będą jej specjalnością, ale robił, co mógł, rzucając RWD-14 raz w jedną, raz w drugą stronę. Przed sobą widział tylko rozedrgany horyzont. Za parę sekund skończą mu się pomysły. Jeszcze jeden zwrot i w końcu pociski działka ich rozerwą. Dlaczego Wróbel nie strzela?

Co jak co, ale w gadaniu i obsłudze kaemu był mistrzem. Szybko obrócił głowę. Nie dostrzegł wiele. Sylwetka kaprała tkwiła nieruchomo na swoim stanowisku. Śpi czy co? Na sekundę wyrównał przed kolejnym manewrem. Przeciągły trzask za plecami obwieścił przebudzenie się obserwatora z drzemki. Wszystko trwało krótką chwilę i powtórzyło się trzykrotnie. Tymczasem smugowe pociski przestały przeszywać powietrze wokół nich. Zwrot o 180 stopni. Kątem oka dostrzegł pikującego i dymiącego Iszaka. Myśliwiec wyrznął w korony drzew, przekoziołkował i spadł pomiędzy jodły w groteskowej parodii lądowania. Emocje opadły. Przynajmniej w danym momencie byli bezpieczni.

To, co za chwilę zobaczył przed sobą, sprawiło, że żołądek podjechał mu do gardła.

Odruchowo ściągnął drążek sterowy i wszedł na wyższy pułap.

Panorama zapierała dech w piersiach. Na przestrzeni jakichś dwudziestu kilometrów dostrzegł przed sobą czarnosiną chmurę podobną do widzianej niegdyś w fotoplastikonie burzy piaskowej. Horyzont zdawał się płonąć. Palił się step, leśne masywy i ludzkie siedziby. W niektóre miejsca wciąż biła ciężka artyleria, w innych naprzód parły kolumny piechoty i czołgów. Czerwona kawaleria sunęła olbrzymią ławą. Spod gąsienic, kopyt i nóg szły ku górze tumany pyłu i kurzu.

Stankiewicz patrzył na to jak zahipnotyzowany.

Grupy polskich wojsk odpływały na zachód. Jednak nie wszystkie. Część wciąż stawiała zacięty opór. Znalezienie w odwrocie kogoś lub czegoś graniczyło z niemożliwością. Nic tu po nich. Jednocześnie nie potrafił tak po prostu przejść do porządku dziennego nad tym, co zobaczył.

Kurs na południe wydawał się najrozsądniejszy.

Nawet się nie spostrzegli, kiedy nadlecieli nad pułk czerwonoarmistów. Żołnierze pomachali do nich przyjaźnie. Rozkaz wydawał się zbędny. Kaprał odmachał i powoli skierował lufę karabinu maszynowego na maszerujących. Stankiewicz zatoczył koło. Ci na dole wciąż nic nie rozumieli. W uszach zaświdrował przeciągły jazgot. Chorąży jakoś nie potrafił oprzeć się satysfakcji i beznamietnie obserwował czynione spustoszenia. Na pustym jak stół polu nie było dokąd uciekać, a obserwator z tyłu nie próżnował. Krążyli, dopóki iglica nie szczęknęła w pustej komorze nabojoyej. Wystrzelali wszystko do ostatniego pocisku. Nie odnaleźli pułkownika, ale misję trudno było uznać za zupełnie nieudaną.

Informacje o wypadkach na południu dotarły do generała Fabrycego i pułkownika

Dzierżykraj-Morawskiego godzinę później. 11 Dywizję należało uznać za straconą, a nacisk ze strony nieprzyjaciela okazał się tak duży, że jedynym sensownym wyjściem stał się odwrót. Tym samym na znacznym odcinku frontu obrona przestała istnieć. Przed nacierającymi w czołówce sowieckimi jednostkami: 159 i 130 Dywizją Piechoty oraz 81 Dywizją Zmotoryzowaną wraz z 13

Brygadą Pancerną niespodziewanie otworzyła się możliwość niepowstrzymywanego przez nikogo marszu na zachód. Do godziny 11.00 dołączyły do nich 28 Dywizja Kawalerii i 192 Dywizja Górska, szybko prac w stronę Horodenki i rumuńskiej granicy. Na południe od Czortkowa

nie istniała już żadna siła zdolna stawić im czoła.

– Sprawdzone informacje mówią o zdecydowanym naporze wzdłuż całej granicy. Nie możemy tutaj wskazać jakiegoś szczególnego miejsca – zastępca szefa Sztabu Głównego pułkownik Józef Jaklicz starał się wyłowić z zalewu meldunków te najistotniejsze. – W paru miejscach już teraz doszło do kryzysu. Przewlekłe walki podjęte przez oddziały osłonowe w zasadzie spełniły oczekiwania. Prawdopodobnie mamy dzień, dwa, zanim dojdą do głównej linii obronnej. Na polecenie generała Kalkusa nasze bombowce rozpoczęły rajdy odwetowe. W paru przypadkach udało się przyłapać czerwonych z opuszczonymi spodniami.

– Proszę jaśniej – Śmigłemu jakoś nie było do śmiechu.

– Ich stacje przeładunkowe, składy zaopatrzenia, lotniska są tak przepełnione, że nawet nie trzeba celować. Obojętnie, gdzie zrzucimy ładunek, zawsze sięgnie celu. Generałowie Kalkus i Zając proszą o skierowanie do tego zadania całości sił bombowych, jakimi dysponujemy. Co prawda, straty po naszej stronie są spore, ale to najefektywniejsza metoda na wykluczenie z walki względnie dużych sił wroga i opóźnienie jego postępów.

Jaklicz czekał w napięciu, co powie naczelny wódz. Sam z początku podszedł do pomysłu sceptycznie, nie widząc w nim większego sensu. Jednak bardzo szybko zmienił zdanie. W razie odmowy był gotów dalej naciskać na marszałka. Każda bomba zrzucona na zaplecze zwracała się stukrotnie. Jeśli mieliby zaprzepaścić taką okazję, to lepiej w ogóle zaniechać dalszej walki.

– Dobrze, proszę robić, co konieczne.

Pułkownik odetchnął.

– Zdecydowanie najpoważniejszy kryzys odnotowaliśmy na południu. Wiadomości o śmierci pułkownika Prugara-Ketlinga na szczęście się nie potwierdziły. Dowódca 11 Dywizji żyje, chociaż jest ciężko ranny. Zginął natomiast podpułkownik Popiel, jego szef sztabu. To, co usłyszałem od pułkownika Morawskiego, również nie znalazło potwierdzenia w faktach. Dywizja poniosła poważne straty, to nie ulega wątpliwości, jednak bije się dalej. Dowodzą kapitanowie i porucznicy. Muszę niestety stwierdzić, że faktycznie jako zwarta jednostka dywizja przestała istnieć. Bez łączności i zaopatrzenia nie wytrzymają długo.

– Doprawdy nie wiem... – rozpoczął naczelny wódz i zaraz skończył.

– Jest na to rada – Jaklicz nie pozwolił odebrać sobie inicjatywy. – Z 22 Dywizji Piechoty i, powiedzmy, Krakowskiej Brygady Kawalerii zrobimy grupę operacyjną działającą niezależnie od poczynań generała Fabrycego. To pozwoli wypełnić lukę powstałą w obronie.

– Chce pan naruszyć odwody już pierwszego dnia?

– Lepiej naruszyć odwody, niż przegrać wojnę, panie marszałku.

Śmigły-Rydz dziwnie popatrzył na Jaklicza.

– Bez energicznego dowodzenia...

– Zdaję sobie z tego sprawę. Przemyślałem parę kandydatur i z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że wybrałem do tej roboty najlepszego.

– Słucham?

– Generał Kleeberg ma wszelkie po temu predyspozycje.

27
LONDYN

- Mark, tylko się nie denerwuj.
- Powiedz mi, co ty byś zrobił na moim miejscu?

Jasper Marshall mimo trzęsących się dłoni nalał odpowiednie porcje whisky do kryształowych szklanek. Jedną podał ojcu, drugą przyjacielowi, trzecią wziął dla siebie.

- Dostałeś jakieś polecenia z ambasady?
- Chyba o mnie zapomnieli.
- Akurat na to bym nie liczył – zasugerował stary Marshall, upijając łyk. – Stanowisz ważne ogniwo w całości, tylko o tym nie wiesz.
- Spójrzcie realnie. Czas spędzam nad rysunkami.
- Czy to umniejsza wartość tego, co robisz?
- Jestem pilotem, mogę walczyć.
- Zdaje się, że w twoim przypadku żyłka sportowa przeważa nad logicznymi argumentami.
- Mark, ojciec ma rację. Pilotów to oni mają w nadmiarze.
- No, nie wiem.
- Ależ tak. Wam potrzebne są samoloty, a nie ludzie.

Od kiedy BBC podało w porannym serwisie informację o wybuchu wojny, Marek nie potrafił usiedzieć w miejscu. Emocje brały górę nad zdrowym rozsądkiem. Najchętniej rzuciłby wszystko i pierwszą nadarzającą się okazją poleciał do kraju.

Kiedy zjawił się w ambasadzie, zastał wyłącznie obsadę dyżurną, ale wszyscy wyglądali na spokojnych i wyjątkowo zadowolonych z siebie. Wyrozumiale spoglądali na

Bagińskiego, pozwalając mu się wygadać. W rezultacie nie osiągnął nic. Telefon do Warszawy również niewiele mu dał. W Ministerstwie Spraw Wojskowych zbyto go krótkim: „proszę się trzymać poleceń”.

I tyle.

Do ludzi z wywiadu postanowił w ogóle nie dzwonić. I tak mają obecnie sporo roboty, a gdy uznają za stosowne, na pewno skontaktują się z nim bez nagabywań. W Toruniu nikt nie odpowiadał. Głucha cisza. Nawet nie chciał myśleć, co się stało z personelem i z samym Urbanowiczem.

Po tym wszystkim czuł się bardzo osamotniony i niepotrzebny. W bezpiecznym i dalekim Londynie mało kto miał pojęcie, o co mu chodzi. Najszybciej zrozumienie znalazł u Marshallów.

Ich nic nie dziwiło.

– Z własnego doświadczenia wiem, że nie jest ci łatwo. Sam przerabiałem to kilkakrotnie.

Tylko pomyśl logicznie: co ty jeden jesteś w stanie zrobić? Nie powiem, że nic, bo się jeszcze obrazisz. Jesteś doskonałym pilotem, zestrzelisz paru ruskich. Może nawet dziesięciu czy piętnastu.

Sporo, ale w ostatecznym rozrachunku stanowić to będzie małej ułamek zadanych im strat. Nasze ministerstwo ocenia, że możecie powołać pod broń do czterech milionów ludzi. To jakieś sto dywizji – tłumaczył James Marshall.

– Trudno mi powiedzieć.

– Przeszkolonych szeregowców będzie prawie dwa i pół miliona. To masa ludzi. Kiedyś robiło to na mnie wrażenie, jednak teraz patrzę na tę kwestię zupełnie inaczej. Czytałem trochę teoretyków i jestem gotowy zgodzić się z ich zdaniem, że to nie masa zadecyduje o wygranej, tylko lepsze przygotowanie i sprzęt.

– Tato, nie masz racji – zaoponował Jasper.

– Wy, młodzi, wiecie swoje. My w Indiach nieraz

stawaliśmy naprzeciw zrewoltowanych tłumów. Z sipajami nie było przelewów – myśli starego odpłynęły na chwilę w gorące dni powstania, które wstrząsnęło kolonialnymi Indiami.

– Sowietci to nie Hindusi, tato. Przyglądaliśmy się im z bliska, prawda, Mark? Zresztą, mają nie tylko nieprzebrane mrowie ludzi, ale i zadziwiający potencjał ekonomiczny. Hmm... – nie zabrzmiało to najlepiej, zwłaszcza w uszach Bagińskiego.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – spokojnie odparł stary oficer. U jednych i u drugich przewagę stanowią chłopci. Są rdzeniem armii. Mięsem armatnim.

– Tyle, że nimi akurat dowodzą komisarze ze wsparciem całego państwa – cierpko odrzekł Jasper. – Cały mechanizm, cała jego struktura jest nakierowana na podbój. Churchill już dawno o tym mówił. Nie pamiętasz?

Odkąd Winston Churchill stanął na czele rządu po śmierci Chamberlaine'a, Londyn zmienił kurs wobec Warszawy i Moskwy. Wojowniczy premier nie wzywał już do nowej krucjaty przeciw bolszewikom jak w 1918 roku, gdyż na razie nie zagrażali oni bezpośrednio Wyspom Brytyjskim.

Imperium, uginające się pod ciężarem utrzymania kolonii na całym świecie, stało już na krawędzi bankructwa i musiało zacząć dyskretnie się rozmontowywać, zatem absolutnie nie mogło sobie pozwolić na żadną wojnę. Niemniej Churchill dostrzegał konieczność wzmocnienia Polski jako przedmurza – im dłużej Polacy wytrzymają, tym lepiej Zachód się przygotowuje do nieuniknionej batalii z bolszewią. Zatem wojsko Jego Królewskiej Mości zaczęło chętniej dzielić się swoimi najnowszymi nabytkami. Choć dostęp do nich słono kosztował, to możliwość zakupu najnowocześniejszej brytyjskiej broni bądź licencji na jej produkcję była dla Polski bezcenna.

– Posłuchajcie mnie uważnie, bo zdaje się, że emocje

przysłoniły wam zdolność logicznego myślenia. Jeżeli nie zajdzie nadzwyczajna okoliczność, poradzicie sobie. Już kiedyś odparliście czerwonych spod stolicy. Sir Edgar D'Abernon powiedział...

– Tak, pamiętamy.

– Czyli twoim zdaniem, tato, obecnie dojdzie do dziewiętnastej decydującej bitwy w dziejach świata?

– Kto wie... – enigmatycznie odrzekł były oficer wojsk kolonialnych

Rozważania niewiele pomogły Markowi. Właściwie wpędzały go w depresję. Tam rozstrzygają się losy Europy, a on tutaj spędza czas na pogawędkach i piciu gatunkowej whisky.

Ominie go coś istotnego, coś, o czym inni będą wspominać, mówić i pisać, a on przebił ten czas u przyjaciół.

– Wieczorem pomówię w klubie ze znajomymi. Może pana zdolności spożytkujemy w inny sposób. Nie będzie pan miał wrażenia zmarnowanego czasu.

– Skoro u swoich nic nie wskórałem...

– Młody człowieku, różne są drogi wiodące do celu. Zdaje się, że przebywa u nas obecnie delegacja z waszego Sztabu Głównego. Prawda, Jasper?

– Tak. W trzy dni wyekspediowali statek ze sprzętem do Gdańska.

– W trzy dni?

– No, może przesadzam, nie w trzy. W każdym razie uwijają się zdrowo. Ładunek na wszelki wypadek pójdzie w asyście naszego niszczyciela.

– Aż tak? – Marek nie potrafił ukryć zdumienia.

5 DYWIZJA PIECHOTY

Dla kapitana Jana Koseckiego ten dzień zdawał się nie mieć końca. W ciągu ostatnich dwunastu godzin dowodzona przez niego bateria stoczyła już dwie potyczki, wykonała jeden odwrót planowy i jeden posiadający wszelkie znamiona panicznej ucieczki. Dziwnym trafem podczas przemarszu siła konnej baterii armat 75 mm wz. 1897 powiększyła się o pluton zmotoryzowanych saperów, niepełną kompanię piechoty i paru ułanów ze składu Podolskiej Brygady Kawalerii. Potrzebował jedynie kuchni polowej. Ale nowej, bo za starą nie tęsknili. Po wyjątkowo przesolonej kaszy z resztkami mięsa z poprzedniego dnia niektórzy odczuwali pragnienie do dzisiaj. Paru odgrażało się samosądem wobec kucharza. Ten jakby się zapadł pod ziemię, więcej go nie widzieli. Kij mu w oko. Bez tego ofermi poradzą sobie znacznie lepiej.

W takiej ciżbie na pewno znajdzie się paru gotowych oporządzić świnie lub krowę. Nosił kwity przy sobie, więc w razie potrzeby mógł nimi płacić. Ewentualnie zrobią zrzutkę z podoficerami. No i dobrze wiedział, że w jaszczach część artylerzystów wozi prowiant. Bolesny skurcz żołądka przypominał kapitanowi o równie bolesnej prawdzie – nie jadł od rana. Sama woda z manierki i papierosy to za mało, by utrzymać formę.

Miejsca na zasadzkę nie wybrał przypadkowo. Siedemdziesiątki piątki, starannie zamaskowane w łagodnym obniżeniu terenu między dwoma leśnymi kompleksami, wystawiały ze stanowisk lufy nakierowane w jeden punkt –

przez który musiała przejeżdżać sowiecka czołówka pancerna. Jedyna dobra, brukowana droga wiodła z Kopyczyńc na Trembowłę i dalej do Tarnopola.

Muszą ją wykorzystać. Innej możliwości nie było.

Porozstawiał ludzi na przedpolu. Lepiej, żeby to nie on został zaskoczony. Jak już coś robić, to porządnie. Dać łupnia i odskoczyć – tę zasadę wbijano im do głowy przez ostatnie tygodnie. Do dystansu 1500 metrów nic nie było mu w stanie zagrozić. Stalowy granat przebijał pancerną blachę grubości 40 milimetrów bez większego problemu. Im bliżej, tym skuteczność była większa. Zresztą, wciąż mieli połowę wyfasowanej amunicji. Wozić jej z powrotem Kosecki nie chciał, bo i po co?

Dzisiaj najważniejsza jest skuteczność, a nie oszczędność. Do tego dochodziły pociski burzące i parę szrapneli. Cholera wie, jaki ostrzał przyjdzie im prowadzić. Najbardziej doskwierał mu brak łączności. W zasadzie walczyli samodzielnie. Gdzie jest piechota, o TKS-ach nie wspominając?

Przysłonił oczy dłonią, patrząc wzdłuż szosy. W oddali zamajaczył jakiś kształt, który po chwili przybrał postać ułana. Wyglądał, jakby gonili go wszyscy diabli.

– Przygotować się – rzucił polecenie do stojących w pobliżu kanonierów.

Wszystko zaczynało się od nowa. Nie upłynęła minuta, a już drogą z ogromną prędkością przeleciało pięć czołgów. Nawet nie zdążył zareagować. W górnych włazach tkwili dowódcy. Nie sądził, by zauważyli jego oddział. Rosjanie gnali ponad czterdzieści kilometrów na godzinę i zniknęli równie szybko, jak się pojawili.

Skonsternowany Kosecki uniósł nieznacznie hełm i podrapał się w czoło. Wiedział, że są szybcy, ale żeby aż tak? No dobra, następnym razem. Przecież na pewno nie przyjechali tu sami.

Następna okazja nadarzyła się już parę minut później. Tym razem w towarzystwie czołgów pojawiły się ciężarówki. Do uszu kapitana doszedł dźwięk harmonii. Nic tak nie poprawia humoru jak muzyka przed podwieczorkiem.

– Ognia!

Huk kolejnych wystrzałów zlał się w jedno. Do armat dołączyły erkaemy, broń ręczna piechoty oraz granatnik.

Ogólnie Kosecki nie lubił nikogo krzywdzić. Kochał zwierzęta, sam miał psa, a wszelkie przejawy pastwienia się tępił z całą surowością, toteż na widok masakry, której dokonali żołnierze z jego rozkazu, ugięły się pod nim nogi. W ciągu minuty armata wz. 1897 zdolna była wypuścić do dwunastu pocisków, a takich armat miał trzy. Podczas dosłownie parunastu sekund zaskoczona kolumna Sowietów przestała istnieć.

Pozwolił rozozochoconym artylerzystom oddać jeszcze dwie salwy i przerwał masakrę.

Z odległości pięciuset metrów dochodziły do niego odgłosy wycia przerażonych ludzi, eksplodującej amunicji i pękających zbiorników paliwa. Piechota prowadziła ogień nieco dłużej.

Znał ich. Najchętniej nasadziliby bagnety na broń i wyróżnili bezbronnych bez pardonu. Niech uciekają. Oni zrobili, co musieli.

Oznaczył na mapie następną pozycję odwrotową trzy kilometry dalej. Jeśli się nie sprawdzi, poszukają innej. Najwyższa pora ruszać. Konie już przygotowano.

Wybuch na przedpolu zaskoczył Koseckiego. Czyżby wsparcie dla Sowietów przyszło tak szybko? Dym i kurz zasłaniały widok, jednak coś tam się działo.

Spomiędzy wraków wytoczyło się monstrum, które nie przypominało niczego, co wcześniej kapitan widział. Wielkie dziwadło niewątpliwie było pojazdem pancernym, ale bardziej wyglądało jak lądowy pancernik niż jak czołg. Na

potężnym kadłubie tkwiły trzy wieże, z czego jedna uzbrojona była w długolufową armatę osadzoną na szczycie.

Kosecki pożałował wcześniejszej słabości. Wobec takiego potwora ich szanse zmalały prawie do zera. Tym bardziej, że za pierwszym pojazdem pojawił się kolejny w towarzystwie mniejszych czołgów BT-7. Pozostaje im drogo sprzedać skórę.

Pierwszy z polskich pocisków uderzył w wieżyczkę prowadzącego T-28. Nie przebił jej, ale zablokował mechanizm obrotu, co jednak nie przeszkodziło czołgowi jechać dalej. Jego karabiny maszynowe siekły po rozpoznanych stanowiskach. Kolejny armatni wystrzał i kolejny rykoszet.

Dystans zmalał do około czterystu metrów. Teraz każdy działon strzelał sam, waląc w stalowe cielska raz za razem. Pojedynek był wyrównany. Ani jedna, ani druga strona nie były w stanie wyeliminować przeciwnika, aż w końcu granat z czołgowej armaty kalibru 76 milimetrów rozbił działo wysunięte najdalej na lewo od Koseckiego.

Zdawało mu się, choć to prawie niemożliwe, że obsady pozostałych pojazdów strzelały jeszcze szybciej. Jedna z nich pocisk za pociskiem dziurawiła czołowe pancerze BT, obsługa drugiego, skoncentrowana na cięższych maszynach, starała się trafić w gąsienice. W końcu pierwszy T-28 stanął niespełna dwieście metrów od nich. Drugi zadymił chwilę później. Prawie wyczerpali zapas amunicji, zostało im wszystkiego parę granatów. Jedna armata była całkowicie zniszczona, druga miała strzaskaną lawetę i koło, co czyniło z niej bezużyteczny szmelc. Jeszcze raz wygrali, ale jakim kosztem...

SUWALSKA BRYGADA KAWALERII

Nikt nie mówił, że będzie łatwo. Obiecywano raczej pot, głód, łzy i zmęczenie. Dokładnie tak wyobrażał to sobie Zygmunt Rayski. I dostał to, czego się spodziewał. Teraz najchętniej zwinąłby się w kłębek pod jakimś drzewem i usnął. Od rana zdążył już się ostro nawojować, podobnie jak cała brygada. Pod Dokszycami pogonili kota Sowietom, aż miło. Kolejne godziny upłynęły im na przeszukiwaniu leśnych przecinek i wypatrywaniu, które dy czerwonoarmiści będą próbowali się przedrzeć. Długo nie trzeba było wypatrywać, bo ich oddziały pchały się zewsząd.

Rayski musiał przyznać sam przed sobą, że zwątpił w powodzenie całej operacji. Taka ilość ludzi i sprzętu wojskowego przytłaczała. Na jego odcinku były ich tysiące – prących naprzód z nieustępliwym samozaparciem. Polakom nie starczało sił i środków, by powstrzymać tę ludzką falę. Na dodatek dowódca Armii „Wilno” generał Dąb-Biernacki charakteryzował się dziwnym zwyczajem wprowadzania do walki niewielkich sił i – nie wiadomo, co gorsze – wtrącania się w bieżące działania podkomendnych na wszystkich szczeblach. Najwyraźniej jednostka większa niż dywizja przerastała jego wyobraźnię. Nie jego sprawa. Sztab Główny chyba wiedział, co robi.

Przynajmniej taką żywił Rayski nadzieję.

Gorący dzień powoli przechodził w chłodny wieczór. Upał znacznie zelżał, wreszcie można było odetchnąć. Przyroda powoli przygotowywała się do nocy, co wcale nie znaczyło, że akurat oni będą wypoczywać. Cofnęli się nieznacznie na

zachód. Teren im sprzyjał. Wielkie połacie podmokłych lasów nie nadawały się do zmasowanego pancernego natarcia. Tych kilku miejsc, które dawały taką możliwość, Polacy bronili ze szczególną zawziętością i jak na razie z powodzeniem.

Zygmunt spojrział na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Jeśli nie chcą błąkać się po ciemku, to najwyższa pora wracać. Przemierzyli w patrolu szmat drogi. Raz celnym strzałem z Mauzera zdjął bolszewickiego komisarza, a może dowódcę batalionu. Nie do końca rozpoznawał symbole i odznaki, jakimi się posługiwali. Podeszli do stojącej na drodze kolumny całkiem blisko. Zwiewali później galopem, obawiając się pościgu.

– Panie poruczniku...

– No co tam, Hryniewicz? – mruknął pod adresem wachmistrza.

– Tak sobie myślę...

– To dobrze.

– ... czy to aby dobra droga.

Rayski najpierw podniósł wzrok na podoficera, a potem spojrział we wskazane miejsce.

Hryniewicz kierował się prawdopodobnie szóstym zmysłem. On sam dopiero teraz raczej wyczuł, niż zobaczył stojące w środku lasu ciężarówki. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i wpadliby wprost na nie, bo leśna ścieżka przecinała dukt mniej więcej w środku kolumny.

– Z koni.

Zeskoczyli na ziemię najciszej, jak potrafili. Zdrowy rozum podpowiadał inne rozwiązanie: nic tu po nich. Zaledwie piętnastoosobowa grupa Rayskiego nie stanowiła zbyt znaczącej siły bojowej. Rąbnięcie komisarza to jedno, ale konfrontacja z... Cholera, ilu ich może być i czy to zwarty oddział którejś dywizji, czy tylko jednostka zaopatrzeniowa, która pomyliła marszrutę?

Z samego rana był mniej wyrywny do takiej misji. Na samo

wspomnienie mgły, z której wyłonili się sowieccy kawalerzyści, wciąż przebiegały mu ciarki po plecach. Strach jednak przeszedł po pierwszej większej potyczce. Przestał widzieć w Rosjanach nadprzyrodzonych herosów i dojrzał w nich ludzi.

Kolejne metry pokonywali powoli, kryjąc się w cieniu. Gęsto rosnące iglaki dawały doskonałą osłonę, ale pozwalały objąć wzrokiem tylko niewielki wycinek terenu. Oddział prawdopodobnie był całkiem spory. Biegający pomiędzy poszczególnymi samochodami żołnierze wyglądali na podenerwowanych. Rayski słyszał krzyki i złorzeczenia. Niepokoił go brak jakichkolwiek ubezpieczeń po stronie Rosjan. W końcu byli na terytorium wroga, a zachowywali się strasznie hałaśliwie, jakby załatwiali jakieś własne porachunki. Skokami pokonał kilka kolejnych metrów. Teraz widział już wszystko.

Dwóch czerwonoarmistów zdawało się kłócić. Jeden, z szablą przy boku i naganem w dłoni, wyglądał na oficera. Wykrzykiwał coś, pewnie obelgi, pod adresem stojącego naprzeciw chuderlawego i wysokiego strzelca w furazerce na głowie. Po chwili żołnierz piasnął przełożonego otwartą dłonią w pysk, aż echo poszło po lesie. Oficer cofnął się o krok. Nawet stąd Rayski widział wściekłość na jego twarzy. Rewolwer drgał w jego roztrzęsionych dłoniach. Na taką zniewagę można było odpowiedzieć tylko w jeden sposób. Wymierzony dotąd w powietrze Nagan opadł.

Lufa została wymierzona w czoło i... Krąg co najmniej pięćdziesięciu postaci zacisnął się jeszcze bardziej. W piskliwym głosie oficera słyszać było strach.

– Eee, Hrynkiewicz, o czym oni gadają?

Wachmistrz z racji pochodzenia znał rosyjski przynajmniej w podstawowym zakresie.

– Nie uwierzy pan, poruczniku – ułan przerwał, wykrzywiając usta. – To mi wygląda na bunt.

– Nie pokręciliście czegoś? – Rayski nie potrafił wyjść ze zdumienia.

– Raczej nie. Politruk mówi o władzy robotników i chłopów, o dobrobycie, jaki zapanuje, i nadrzędnym znaczeniu partii komunistycznej, a ten naprzeciwnie, że całe życie jest robotnikiem i niczego się nie dorobił. I że za cara było lepiej. Tak mu mówiła matka.

Któryś ze stojących za plecami komisarza strzelców pchnął pułkowego agitatora tak, że tamten wpadł na adwersarza. Rewolwer zmienił właściciela. Bezbronny komisarz rozejrzał się wokół. Już nie krzyczał. Jego spojrzenie błagało o litość. Część strzelców przepychała się w przód, kilku odstąpiło do tyłu.

Chociaż Rayski nigdy czegoś podobnego nie oglądał, i tak wiedział, jak to się skończy.

Chciał odwrócić wzrok i nie był w stanie tego zrobić. Kolba Mosina wymierzona w tył głowy prawie roztrzaskała komisarzowi czaszkę. Ofiara ukłękła i padła twarzą w ziemię. Więcej Rayski nie widział. Prawie równocześnie z powaleniem politruka rozpoczęła się łapanka na innych zwolenników władzy radzieckiej. Dosłownie minutę wcześniej żywili nadzieję na polubowne załatwienie konfliktu, teraz uciekali gonieni przez kolegów. Jeden dostał bagnetem w żebra, innego postrzelono w kolano i powleczono pod najbliższą gałąź. Paru kolejnych skopano do nieprzytomności. Nieliczni szukali ratunku w lesie. Tych nie goniono. Najwyraźniej nawet buntownicy nie chcieli oddalać się od drogi.

Zamieszanie trwało, dopóki nie wyrównano rachunków. Po paru minutach wszystko ucichło. Do skonsternowanych rebeliantów dopiero teraz dotarło, co zrobili.

To najlepsza chwila.

– Hrynkiewicz.

– Tak, panie poruczniku.

- Trzeba z nimi pogadać.
 - Dlaczego właśnie ja? – przeciągle westchnął gruby wachmistrz.
 - Nie wy, ja. Ale ktoś musi tłumaczyć.
 - Tak mi się zdaje, że oni rozumieją wszystko bez tłumaczenia.
 - Jesteście pewni? – Rayski oblizał suche wargi, zbierając całą swoją odwagę.
 - Powrotu to już raczej nie mają.
- Podoficer wstał i zarzucił karabin na ramię.
- To co, idziemy?

ARMIA „BARANOWICZE”

Centralny odcinek frontu obsadzony przez SGO „Polesie” dzięki przewadze trudnych do sforsowania przeszkód, dużych kompleksów leśnych i bagien oraz słabej sieci komunikacyjnej już sam w sobie sprawiał spore trudności nacierającym ze wschodu armiom. Na północ i południe od niego istniały znacznie bardziej korzystne warunki do takich działań. Najdalej na północ wysunięty odcinek „Wilno”, mający kształt długiego wybrzuszenia, dawało się łatwo odciąć poprzez uderzenie właśnie w zgrupowanie Armii „Baranowicze” i Armii „Wilno”.

Obronę odcinka „Baranowicze” z jednej strony można było oprzeć na Niemnie, a z drugiej na bagnach Polesia. Jako pierwsi zalety tej pozycji wykorzystali Niemcy podczas Wielkiej Wojny, budując kompleksową sieć umocnień. Następnie w Polsce w latach dwudziestych i trzydziestych wraz ze wzrostem sowieckiego zagrożenia zintensyfikowano prace, czego rezultatem było wybudowanie głównej linii umocnień przebiegających na wschód od Baranowicz oraz odcinka zapasowego przechodzącego przez Słonim.

Poprawę wartości obronnej tego rejonu uzyskano dzięki dwom rodzajom działań: pracom hydrologicznym, czyli budowie jazów na Szczarze i Serweczy mogących szybko zabagnić tereny zalewowe, oraz przywróceniu do używalności betonowych schronów wybudowanych przez Niemców i Austriaków, a także wybudowaniu nowych, zgodnych z wytycznymi Wydziału Fortyfikacji Ministerstwa Spraw Wojskowych. Do lipca 1941 roku zakończono

wszystkie prace, a niepokoje ostatnich tygodni sprawiły, że do ciągu żelbetowych obiektów pośpiesznie dodano szereg nowych, improwizowanych umocnień polowych zarówno dla armat i haubic, jak i dla ciężkich karabinów maszynowych i działek przeciwpancernych.

Obiektami stałymi były jedno- lub kilkuizbowe schrony bojowe z kopułami obserwacyjnymi, miejscem dla telefonisty, służą oraz izbą obserwacyjną. W porównaniu z dziełami fortyfikacyjnymi znanymi z Linii Zygfryda, Maginota bądź umocnieniami czeskimi te były zdecydowanie niepozorne. Niemniej połączone między sobą rozbudowaną linią transzei stanowiły kręgosłup, który miał stać się najistotniejszym elementem bitwy obronnej.

Dla stojącej naprzeciw sowieckiej 4 Armii marsz na zachód jak na razie nie stanowił większego problemu. Zmasowanym uderzeniem 1 Brygady Pancernej i 5 Dywizji Strzelców spędziła z przedpola polskie słabe siły osłonowe. Ponad dwieście czołgów T-26 z wyciem silników ruszyło naprzód poprzez Kleck, a później na Baranowicze, pokonując szmat płaskiego terenu.

Zamysł *komdiwa* 4 Armii Wasilija Czujkowa był prosty. Inna sprawa, że nie miał zbyt wielu możliwości. W wyniku zniszczeń dokonywanych przez polskie szwadrony kawalerii i zmotoryzowane pododdziały saperów, które wysadziły mosty, groble i tory kolejowe, jak również otworzyły jazy na rzekach, ruch armii w przód został ograniczony do kilku szlaków, w tym jednego podstawowego, jakim była Szosa Słucka przecinająca prawe skrzydło polskich jednostek i przechodząca zaledwie parę kilometrów od Baranowicz. Czujkow nie przewidział jednego – szlak do tego największego w województwie miasta i ważnego węzła komunikacyjnego blokował odcinek umocniony „Darewo”.

Czołówki sowieckiej 1 Brygady Czołgów dotarły do przeprawy na Szczarze już po dwunastu godzinach, a nie –

jak się spodziewano – po czterdziestu ośmiu. Przebyły w tym czasie aż pięćdziesiąt kilometrów. Drogi dalej broniły bataliony 20 Dywizji Piechoty. Ich ogień ze starannie zamaskowanych pozycji zdziesiątkował próbujące się przebić czołgi T-26. Rozbito prawie wszystkie pojazdy czołowego batalionu. Wraki stworzyły kolejną trudną do pokonania przeszkodę dla następnych rzutów ataku. Ten zimny prysznic nie zniechęcił Czujkowa. Po przegrupowaniu i podciągnięciu piechoty ze 141 Dywizji i kawalerii z 11 Dywizji nakazał nacierać drogą na północ.

W dyspozycji sztabu armii wciąż jeszcze pozostawało około stu trzydziestu czołgów i samochodów pancernych. Z odwodu podciągnięto wszystkie T-28 w liczbie czterdziestu ośmiu sztuk oraz kilka KW-1 z 54 Brygady Pancernej. To wszystko rzucono do rozstrzygającego szturmu.

ODCINEK UMOCNIONY „DAREWO”

Roboty przy odcinku umocnionym „Darewo” w zasadzie zakończono w roku 1939.

Usytuowany na lewym brzegu Szczary, na niskich wzgórzach nad przeprawą, już wtedy stanowił najmocniejszy punkt całej obrony. Do wybudowanych wówczas dwudziestu pięciu schronów rok później dodano sześć kolejnych, czyniąc z tego odcinka linię niezmiernie trudną do sforsowania.

Poszczególne obiekty obsadził specjalnie stworzony w tym celu batalion forteczny Darewo pod dowództwem majora Władysława Raginisa, wzmocniony dodatkowo jednostkami wydzielonymi ze składu 8 Dywizji Piechoty. W sumie zgromadzenie liczyło przeszło tysiąc żołnierzy ze wsparciem osiemnastu dział, dwunastu działek, dwudziestu Urów oraz granatników i moździerzy. Rozkaz był tylko jeden – za wszelką cenę...

Pierwsi sowieccy zwiadowcy pojawili się na przedpolu tuż po dwunastej w południe.

Drużyny i plutony pokonywały otwartą przestrzeń, daremnie szukając osłony. Łąki i pola tylko z rzadka były poprzetykane kępami drzew i zagajników. Z równiny jak niewielkie pagórki wyrastały obiekty obronne, znakomicie wkomponowane w rzeźbę terenu, widoczne wyłącznie dla wprawnego oka. Pomalowane na żółto, zielono i jasnobrązowo pancerne kopuły, z których śledzono każdy ruch przeciwnika, stapiały się z tłem. W paru przypadkach zwiadowcy przeniknęli przez pierwszą linię schronów, przechodząc pomiędzy poszczególnymi obiektami. Tych wybito bądź wzięto do niewoli bez większych przeszkód. Kilka grup wyszło wprost na schrony. Z nimi poradzono sobie jeszcze szybciej.

Do pierwszego poważniejszego ataku doszło godzinę później, gdy szeroką ławą wyjechały T-26 w towarzystwie cięższych T-28 i KW-1. Gęste pole minowe ułożone z przeciwpancernych min wz. 37 świetnie się spisało. Pierwsza linia T-26 poważnie ucierpiała. Jadące za nimi cięższe pojazdy, chcąc ominąć przeszkody, wpadały na kolejne miny, zrywając gaśienice i uszkodzając trakcję. W końcu spoza dymu i kurzu do szarży ruszyły pozostałe czołgi, usiłując znaleźć miejsca, skąd prowadzono do nich ogień. Na szczęście dla obrońców pociski z 45-milimetrowych dział lekkich czołgów T-26 na niewiele się zdały, natomiast same pojazdy bez trudu wyeliminowano z walki za pomocą Urów i działek. W sumie nie miały odegrały większej roli.

Wkrótce na półtorakilometrowy odcinek, z którego wyprowadzono natarcie, spadła zmasowana kanonada artylerii. Na drodze wiodącej do Darewa płonął stos pogiętego metalu składający się z co najmniej kilkunastu maszyn. W rów przeciwpancerny biegnący przed schronami numer 10, 11 i 14 wpadły ostatnie KW, które zdołały

podjechać tak blisko. Po chwili uciekające z nich załogi padły pod seriami cekaemów.

Z pięciu KW stojących najbliżej schronów trzy nadające się do dalszej walki wzmocniły linię obronną. W samą porę, bo od południa wyszedł kolejny atak, tym razem jednostek piechoty.

Bataliony i pułki 5 i 141 Dywizji Strzeleckiej ruszyły przez pole usiane płonącymi wrakami.

Niemrawa sowiecka artyleria otworzyła ogień wspomagający, przesuwając stopniowo ostrzał na coraz dalsze pozycje. Płonęły okoliczne miejscowości: zarówno znajdująca się za polskimi liniami wieś Darewo, jak i leżący na ich przedpolu majątek Tumasze.

Zastosowane po raz pierwszy natarcie ludzką falą przyniosło opłakany skutek. Pociski rozgrzanych do czerwoności cekaemów kosiły żołnierską rzeszę. Atak piechoty na umocnione pozycje równał się samobójstwu, czego wyraźnie nie chcieli zrozumieć czerwoni dowódcy.

Podrywani do ataku jeszcze trzykrotnie, wciąż z tym samym skutkiem, żołnierze rozpoczęli w końcu odwrót. Nie pomógł skierowany bardzo szybko na tyły zaporowy pułk NKWD starający się wyłapać wszystkich, którzy chcieli dożyć jutra. Doraźnie rozstrzelano kilkadziesiąt osób. To nic w porównaniu z trzema i pół tysiącami ciał zalegających na polu bitwy.

Do wieczora Polacy zaangażowali całość sił z 8 i 20 Dywizji Piechoty oraz jeden z batalionów 1 Pułku Piechoty z 28 Dywizji Piechoty, idący w sukurs obrońcom Darewa. Na rozproszonych i zmęczonych czerwonoarmistów późnym popołudniem ruszył kontratak polskich batalionów. W zamyśle generała Piskora poprowadzić go miały skrajne skrzydłowe formacje 8

Dywizji Piechoty z południa i zupełnie świeża, rozlokowana na północ od Baranowicz 9 Dywizja Piechoty. Nie udało się

skoordynować tej akcji, ponieważ oddziały 9 Dywizji Piechoty nie przedostały się na czas przez zakorkowane miasto. Wobec tego zadanie w całości spadło na barki żołnierzy od rana uczestniczących w boju. Szosa Słucka ponownie stała się przedmiotem zażartych walk.

Początkowy opór Sowietów został w końcu złamany w brawurowym ataku na bagnety.

Liczba jeńców znacznie przekraczała straty osobowe polskich jednostek. Im dalej na wschód, tym wziętych do niewoli było więcej. Podobnie rzecz się miała pod Darewem, gdzie o mało nie schwytano samego Czujkowa, który jednak wymknął się w ostatnim momencie.

Chaotyczne potyczki pomiędzy Szosą Słucką, Lachowiczami a Darewem trwały do północy z efektem przerastającym wszelkie oczekiwania obu stron. Centralne zgrupowanie sowieckiej 4

Armii w znacznej mierze przestało istnieć. Część oddziałów odplynęła na wschód, część została rozbita. Zagarnięto tysiące jeńców i zaopatrzenia. Szczególnym wzięciem wśród Polaków cieszyły się pistolety maszynowe nowego typu, jakich nigdy wcześniej nie widzieli. Charakterystyczny bębnowy magazynek o pojemności siedemdziesięciu jeden nabojów dawał siłę ognia, której tak brakowało drużynom piechoty. Smak pełnego zwycięstwa zakłócały jedynie własne ofiary. Straty sięgające dziesięciu procent stanów wyjściowych w samych oddziałach bojowych znacznie uszczupliły szeregi, a jedna wygrana bitwa nie przesądzała o losach całej kampanii.

Do końca 5 lipca zdecydowana przewaga zarysowała się po stronie Armii Czerwonej.

Wzdłuż całej granicy wtargnięcia dokonano na głębokość od dwudziestu do sześćdziesięciu kilometrów. Na północy w pasie działania Armii „Wilno” wyraźnie widać było zamiar odcięcia litewskiego występu od reszty kraju. Z powodu

słabości sił obrońców wcześniej czy później musiało do tego dojść. Podobnie sytuacja wyglądała na południu. Tam Sowieci osiągnęli największy sukces. Pobicie Karpackiej Dywizji Piechoty i znaczne osłabienie Podolskiej Brygady Kawalerii sprawiły, że drogi na Stanisławów i Lwów stały się otworem.

Armie „Wołyń” i „Baranowicze” radziły sobie najlepiej, podobnie jak SGO „Polesie” – tyle że akurat teren w obszarze jej działania w zasadzie bronił się sam.

31
LONDYN

W końcu musiał odreagować stres i zmęczenie spowodowane bezustannym ślęczeniem nad deską kreślarską. Wyprowadził kilka prostych i się cofnął. Worek to niezbyt dobry przeciwnik, ale nie o to mu chodziło. Podczas treningu, skoncentrowany jak w trakcie prawdziwej walki, przynajmniej nie myślał za dużo.

Do klubu w Whitechapel, który znalazł dla niego Jasper, przychodziło sporo miejscowych.

Po raz pierwszy Bagiński zetknął się z tak dużą liczbą kolorowych. Wcześniej tylko słyszał o podobnych dzielnicach. Podobno istniały takowe gdzieś w Ameryce, zdominowane przez konkretne nacje, np. Chińczyków, których sporo miało być w Stanach Zjednoczonych. Słyszał o Chinatown i zawsze był ciekaw jego kolorytu. W imperialnym białym Londynie wyglądało mu to na kuriozum, chociaż z drugiej strony Polskę też trudno byłoby uznać za kraj jednolity etnicznie.

Żydzi, Ormianie, Tatarzy, Litwini, Karaimi i rdzenni Rusini, zdomowieni na terenach Rzeczypospolitej od wieków, stanowili mieszaninę, z której istnienia zdawał sobie przecież sprawę, ale o niej wcześniej nie myślał.

Musiał szczerze przyznać, że trochę się zmachał. Przystanął dla złapania oddechu. Gardę opuścił zupełnie. Jakieś resztki wściekłości buzowały jeszcze w środku, na szczęście w znacznej mierze pozbył się złych emocji. Na smagnięcie przez plecy zareagował skurczem mięśni i podniesieniem ramion do góry. Kto go leje? Nie zdążył wykonać pełnego obrotu,

kiedy oberwał ponownie.

Naprzeciw siebie zobaczył małego Azjatę o okrągłej głowie i rzadkiej bródce na szczęcie, ubranego w coś, co wyglądało jak czarna aksamitna piżama z białymi mankietami. Na oko miał sześćdziesiątkę, chociaż wyglądał, jakby niewiele go dzieliło od śmierci. W dłoniach trzymał giętką witekę – to nią przyłożył Markowi.

Polak przerastał paskudnego gnoma co najmniej o pół metra. Podeszedł bliżej i spojrzał w dół w skośne ślepie. Dłoń w rękawicy, którą podniósł złworogo, w przybliżeniu miała wielkość głowy tego żółtka.

– Co jest? – warknął w najczystszy języku Szekspira, na jaki było go stać.

Odpowiedź przyszła w mowie, z której niewiele zrozumiał.

– Co... – powtórzył.

– On mówi, że jak masz ochotę się poopierdalać, to pomyliłeś adresy – przyszedł mu w sukurs rozebrany do pasa Murzyn ćwiczący na worku obok.

– A kim on jest, by udzielać rad?

– Właścicielem.

– A Jones?

– Tylko tu pracuje.

Aha, czyli nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. Kolejna porcja powarkiwań i szczeknięć.

– Obserwuje cię od początku i nie bardzo wie, po co tutaj przyszedłeś – nagi tors czarnego zawodnika błyszczał od potu. Waga superciężka, nie ma co.

– Powiedz mu, że chciałbym poskakać przy linach.

– Sam mu to powiedz. Mistrz Czang doskonale cię zrozumie.

– Jak to?

– Skończył Norwich University.

– To dlaczego nie mówi po angielsku?

– Bo nie chce – tłumacz wrócił do ćwiczeń.

Tymczasem mistrz Czang skinął na Marka, by ten poszedł za nim. Za ringiem zajmującym środek sali było znacznie więcej miejsca. Kilka materaców przytwierdzono do ścian. Reszta leżała na podłodze. W cieniu czaiła się drewniana kukła przedstawiająca człowieka. Dwójka uczniów z gracją gimnastyków ćwiczyła jakieś przewroty.

– Skąd jesteś? – w końcu usłyszał pytanie w znanym mu języku.

– Z Polski.

– Hmm...

Jak przylezie Jasper, to skreśli kark tej poczwarze. Gdzie on go przyprowadził?

– Masz zadatki.

– Doprawdy.

– Tak, tak. Ale brak ci koordynacji i za dużo myślisz. To źle.

– Miałem walczyć o mistrzostwo kraju.

– Nie gadaj.

– Naprawdę.

– To pokaż, co potrafisz.

Przyjął postawę. Głowę schował w ramionach i wypadem w przód wyprowadził cios.

– Mocniej.

Teraz kombinacja lewy prosty i sierpowy wprost w głowę kija, ten jednak płynnie przeszedł pod wysuniętym ramieniem. Mocne kopnięcie w podudzie nogi wykroczonej sparaliżowało na moment Marka. Ponowił atak. Teraz oberwał pod kolano i poleciał w bok na podłogę.

– Źle.

Wstał. Zebrał się w sobie i nagłym wypadem spróbował ponownie. Parę razy ciosy nawet dosięgły celu, zamiast jednak powalić przeciwnika, sam dostał w wątrobę. Później przed nosem zobaczył stopę mistrza Czanga i zrozumiał, że przegrał. Starszy Chińczyk, wążący połowę tego co on, bez większych problemów rozłożył czempiona Warszawy i

Moskwy, samemu nie pozwalając się dotknąć. Marek zachodził w głowę, co to za sport. Wyglądało trochę jak savate, francuska odmiana boksu na ręce i nogi, ale mógł nie mieć racji.

– Jesteś beznadziejny – usłyszał na zakończenie pokazu.

Faktycznie, zasapał się jak amator stający do próby sił z zapaśnikiem w cyrku, by zaimponować kolegom.

– Musisz ćwiczyć, ćwiczyć, więcej ćwiczyć. Inaczej nie osiągniesz mistrzostwa.

– Pracuję – stwierdził zniechęcony.

– Wszyscy to robimy – w oczach Czanga czała się nagana. – Co właściwie robisz?

– Latam. Jestem pilotem.

– Piękne zajęcie. Czego chcesz więcej?

No tak, o szczegółach nie pogada.

– Wolałbym latać w kraju. Nie wiem, czy pan wie, Rosjanie bombardują polskie miasta.

– A Japończycy chińskie, od ośmiu lat.

Markowi odebrało mowę. Co wobec tego mistrz robi w miejscu tak odległym jak Londyn?

Skoro pokonał jego, to rozprawa z Japończykami nie powinna sprawić mu większych trudności.

Ostatecznie może szkolić młodych rekrutów. Postawa, jaką reprezentował Czang, wydała mu się głęboko niemoralna.

– Nie myślał pan o powrocie?

– Dokąd?

– Do domu oczywiście, gdziekolwiek pan tam mieszka – Bagińskiemu do głowy nie przychodziła nazwa żadnego chińskiego miasta. To pewnie jakieś małe grajdoły, o ile w ogóle jest tam jakaś cywilizacja. Zdaje się, że Anglicy mają tam kolonie.

– A kto powiedział, że jestem Chińczykiem? – oczy Czanga wyglądały jak spodki.

– Myślałem...

– Pozory wzięłeś za rzeczywistość. Większość białych popełnia ten sam błąd.

– Kiedy ja...

– Chcesz ćwiczyć czy nie?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Te wygibasy wyglądały bardzo interesująco.

– Eee...

– To będziesz mówił do mnie: mistrzu.

– Mistrzu? – szczeka Bagińskiego opadła ze zdumienia. Trenerzy miewają najróżniejsze charaktery, ale z tak rozbuchanym ego zetknął się po raz pierwszy.

32
MOSKWA

– Uch...

Poruszył palcami w prawym bucie. Grymas bólu przeszył mu twarz, na szczęście nikt tego nie widział. Zwolnił, przechodząc w powolny spacer. Buty były po prostu niewygodne – uwierały i cisnęły. Pod kostką kawałek cholewy wbijał się w ciało, przy zginaniu coś go gniotło w palce. Już on sobie porozmawia z Własikiem, który przyniósł to cholerstwo.

Idący z tyłu Nikołaj Własik, wierny jak pies szef ochrony, musiał wyczuć, że coś nie jest w porządku. Chciał pomóc, podał Stalinowi rękę, lecz ten odtrącił ją z gniewem i kulejąc, pomaszerował dalej. W końcu nocnych narad Stawki nie można było odwlekać w nieskończoność.

Do sali w gmachu Rady Komisarzy Ludowych wkroczył prawie normalnym krokiem.

Mundurowi wstali, trzaskając krzesłami. Oprócz nich zaproszono spore grono urzędników odpowiedzialnych za przemysł i gospodarkę. Dziś każdy będzie mógł zabrać głos, nie widział przeszkód. Zajął fotel u szczytu stołu i gospodarskim gestem wskazał miejsca zebrany. Usiedli.

Gieorgij Konstantynowicz Żukow już otwierał usta. Patrzcie, jak się mu spieszy. Pewnie jego ludzie wykonali normę i teraz spieszy o tym donieść. No dobra, nie każmy zuchowi czekać dłużej.

– Zdaje się, towarzyszu, że macie coś ważnego do zakomunikowania – wyjął z kieszeni fajkę nabitą wcześniej tytoniem i włożył do ust. Własik pośpieszył z zapalkami.

Won, swołocz.

Odrzącił z pogardą wyciągnięty patyczek.

Zdeprymowany Żukow zamknął usta.

– Zapomnieliście języka w gębie?

Sala odpowiedziała radosnym rzeniem.

Wzrok Żukowa mimo przyjaznego uśmiechu ciskał gromy. Czyżby nasz bohater wojny z Japonią poczuł się dotknięty? Wystarczy tych żartów. Robota czeka.

– Mówcie – ponaglił Gieorgija Konstantynowicza.

Zanim Żukow, „chłopski syn” szczytający się paroma klasami szkoły powszechnej i kursami kawaleryjskimi, zaczął mówić, poprawił koalicijkę na piersi i ułożył grube dłonie na zielonym suknie stołu.

– Impet, z jakim uderzyliśmy, zmiotł pierwszą linię obrony wroga, tak jak się spodziewaliśmy. Na przeszkodzie stoją trudne warunki terenowe, ale już teraz widać, jak miażdżymy ich w uścisku. Front Północno-Zachodni i Południowo-Zachodni zaginają skrzydła, jednocześnie niepowstrzymanie prądo do przodu.

„Zaginają skrzydła, jednocześnie niepowstrzymanie prądo do przodu” – skąd on wziął takie wyrażenie? Zapalił w końcu fajkę, mając dość ssania gorzkiego ustnika.

– Najdalej w czwartym dniu operacji nasze czołówki wyjdą na Wilno i Lwów. Oceniamy, że kolejne trzy dni zajmie nam dotarcie do Sanu i Narwi. Wtedy większość sił białopolaków znajdzie się w kleszczach, a my je zaciśniemy. Zmobilizowanie pozostałych rezerw zajmie im więcej czasu niż nam dotarcie do Wisły i w Poznańskie. Wczoraj rozpoczęliśmy operację przeciwko Finlandii.

Jak się tego można było spodziewać, ultimatum, jakie jej przedstawiliśmy, zostało odrzucone –

Żukow świadomie oszczędził słuchaczom szczegółów. Ultimatum, i owszem, zostało przedstawione, ale już po rozpoczęciu działań zbrojnych. W bój poszły siły łącznie

przekraczające milion żołnierzy. Trwały walki o przełamanie Linii Mannerheima, jak również atak z północy, od Kandalakszy i Murmańska. Meteorolodzy prognozowali nadejście nad Finlandię głębokiego niżu w ciągu kilku dni, lecz ostrzeżenie to puszczono mimo uszu. Czerwoni dowódcy byli dobrej myśli, zresztą Finlandia to tylko etap. Ogromnie kusila ich Szwecja. Zajęcie jej otworzyłoby wolny dostęp do Morza Bałtyckiego i Atlantyku z pominięciem drogi północnej. Aneksja Litwy, Łotwy i Estonii będzie tylko nic nieznaczącym szczegółem.

– Do tej pory rozbiliśmy już kilkanaście polskich dywizji i brygad. Spodziewamy się słabnięcia obrony z każdym kolejnym kilometrem. Jednocześnie pragnę zwrócić uwagę, że moja koncepcja uderzenia z południa okazała się słuszna – Żukow rzucił pogardliwe spojrzenie Timoszence, który siedział naprzeciw, zgaszony i zgorzkniały. – W celu przyspieszenia działań i dezorganizacji tych resztek, które jeszcze stawiają opór, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami dokonamy desantu na ich tyły. Z kilku rozpatrywanych wcześniej miejsc wybraliśmy okolice Lwowa. Zajęcie miasta szybkim atakiem zdeorganizuje tyły Polaków, a nam da możliwość wyjścia na Przemyśl, Rzeszów i Kraków.

– Czy to aby dobry pomysł? Może trzeba dokonać operacji nieco dalej na zachód? – zapytał Stalin, badając ostrożnie grunt.

– Doszedłem do wniosku, że to optymalny wybór. Po pierwsze, nasze jednostki zmotoryzowane mogą tam dotrzeć w miarę szybko. Po drugie, musimy wziąć pod uwagę możliwą do użycia liczbę samolotów transportowych. W warunkach bojowych na taką skalę dokonamy tego po raz pierwszy.

– Jakiej jednostki chcecie użyć?

– 1 Korpusu Powietrznodesantowego generała majora Usenki.

Stalin jeszcze raz się zastanowił. Korpus powietrznodesantowy, o ile nie myliła go pamięć, to dziesięć tysięcy czterystu ludzi. Trzy brygady i wsparcie. W sumie obecnie dysponowali dziesięcioma takimi korpusami. Nie po tołożył na nie masę rubli, by samoloty czekały na ziemi.

Właściwie był przekonany, jednak dla zasady ostrzegł pomysłodawcę.

– Jak coś pójdzie nie tak... – zawiesił głos.

Żukow wyraźnie zbladł. Perspektywa wylądowania w jakimś lochu, miesięcy tortur, a wreszcie psiej śmierci z rąk jakiegoś enkawudzisty stała się nader realna.

– A wy, Siemionie Konstantynowiczu, uważacie ten pomysł za dobry?

Timoszenko, wyrwany z letargu, niespokojnie poruszył się na krześle.

– Ręczę za generała Usenkę – powiedział niepewnie.

– Nie pytam, czy ręczycie za jakiegoś tam generała, tylko czy to dobry pomysł.

– Po analizie przebiegu operacji i tego, co do tej pory osiągnęliśmy, raczej sugerowałbym wstrzymanie tego desantu. Za parę dni sytuacja będzie bardziej klarowna i być może obejdzie się bez niego. Na obecnym etapie nie wygląda, hm... na konieczny.

Żukow zacisnął usta w wąską kreskę i spiorunował Timoszenkę wzrokiem.

– Jesteście pewni? A dlaczego? – Stalin cmoknął w ustnik.

– Nie został osiągnięty podstawowy warunek użycia oddziałów desantowych.

– A jakież to?

– Bezwzględne panowanie w powietrzu – odpowiedział powoli Timoszenko.

Cisza wypełniła wszelkie zakamarki sali.

– Jestem zaskoczony – Josif Wissarionowicz wstał i wykonał swój słynny manewr: zaczął powolnym, miarowym krokiem

przechadzać się za plecami siedzących. – Z tego, co mi tutaj wcześniej przedstawiano, wynikało, że w tym zakresie nie ma najmniejszych powodów do obaw i wszystko idzie zgodnie z przewidywaniami.

Generał Aleksandr Nowikow, zastępca ludowego komisarza obrony do spraw lotnictwa, uznał za konieczne czym prędzej zabrać głos.

– Założenia zostały wykonane w sześćdziesięciu, siedemdziesięciu procentach.

Przeprowadzając uderzenie, zaskoczyliśmy polskie lotnictwo w trakcie rozśrodkowania i dlatego niewielka część ich eskadr i dywizjonów nie została unicestwiona na ziemi.

– Czyli to, co mówił marszałek Timoszenko, mija się z prawdą?

– Niezupełnie – Nowikow przyglądał wypomadowane i zaczesane do tyłu włosy. – To zależy, o jaki obszar chodzi. Na wielu panujemy całkowicie... – potrafił wymienić takich kilka.

Problem polegał na tym, że nie leżały one na głównych kierunkach uderzeń. Wojna powietrzna przeradzała się w jakiś koszmar. Polacy odpłacali im pięknym za nadobne. Gorsze wyposażenie rekompensowali nalotami na duże, nieruchawe zgrupowania wojsk, olbrzymie składy zaopatrzeniowe wysunięte tuż nad granicę i kolumny maszerujących dywizji. Natomiast dla armii lotniczych WWS znalezienie szybko przemieszczających się polskich jednostek stanowiło problem.

Bombardowano właściwie tylko te już zaangażowane w walkę. Niejednokrotnie bomby leciały zarówno na przeciwnika, jak i na własne oddziały. Obie strony obrywały po równo. Ot, choćby przypadek z dzisiejszego poranka, kiedy to rajd nowych bombowców Il-4, skądinąd wyjątkowo udany, w zasadzie unicestwił całą 57 Dywizję Pancerną pułkownika Miszulina stojącą na podstawach wyjściowych

do natarcia. Tego typu raporty wciąż przyprawiały go o mdłości. Z kolei podążające na front formacje Polaków bardzo rzadko dawały się przyłapać w polu. Jeżeli dodać do tego te cholerne Hurricane'y, Spitfire'y, Morane'y, PZL P.24 i niestety ogólnie lepsze przygotowanie lotnicze, to przewaga wcale nie była tak wielka, jak to przedstawiali na papierze.

Czego Nowikow bał się naprawdę, to pytania o straty. Dygotał wewnętrznie na myśl o raporcie, który otrzymał tuż przed naradą. Dane stanowiły ściśle strzeżoną tajemnicę – przeszło czterysta maszyn zniszczonych pierwszego dnia i dokładnie czterysta siedemdziesiąt dwie kolejnego. Jeżeli to się potwierdzi, będzie jasne, że zbierają potężne ciągi. Co gorsza, największym problemem sowieckiego lotnictwa wcale nie byli Polacy. Prawie połowa strat to katastrofy i wypadki – źle konserwowane, zawodzące pilotów silniki i nędznie przygotowani lotnicy po zaledwie kilkunastu godzinach spędzonych w powietrzu. Jeżeli szybko nie pokonają wroga na ziemi, to lotnictwo dosięgnie paraliżu. Podobno *Wojenno—Wozdusznyje Siły* to elita armii. Skoro tak, to sądząc po samym materiale ludzkim, jaki do nich trafiał, katastrofa jest niedaleko. Sytuacja się pogarszała z każdą chwilą, niewiele brakowało do jawnej agitacji antybolszewickiej. Komsomolcy, najbardziej wartościowy element, ginął w chłopskiej masie wypełniającej szeregi. Nawet on, jeden z najwyższych dowódców Armii Czerwonej, wierny komunista, musiał przyznać – motywacja do walki wśród szeregowych żołnierzy była żadna. Wyimaginowane cele i wzniosłe hasła przestawały się liczyć przy zdecydowanym oporze. Polacy – ci mieli o co walczyć. Oni – nie.

– Towarzyszu Nowikow, mówię do was. Ogłuchliście?

– Tak?

– Co – tak? Pytałem o wasze zdanie w kwestii desantu.

– To doskonały plan. Możemy...

– Wystarczy. Więcej nie muszę wiedzieć.

Przywódca partii i państwa podreptał do swojego miejsca. Buty wciąż go uwierały, co przekładało się jego dzisiejszy humor. Ociężale klapnął na krzesło. Jak jeszcze zapieką go hemoroidy, to dzień ma z głowy. Umyślnie zwlekał z podjęciem kolejnego tematu. Niech się trochę spocą, niech kombinują, na kogo teraz wypadnie.

Łazar Kaganowicz, ludowy komisarz przemysłu ciężkiego, członek Biura Politycznego i prezydium KC WKP(b) wyróżniał się spośród zgromadzonych. W surducie i z krawatem pod szyją wyglądał na dystyngowanego profesora renomowanej uczelni, co niejednokrotnie wprowadzało w błąd rozmówców. Kaganowicz bowiem, jeśli chciał, potrafił być tak samo bezwzględny jak siedzący obok niego Ławrientij Beria.

– Łazar, drogi przyjacielu, od ciebie chciałbym usłyszeć o podjętych przez nas staraniach mających pomóc naszej armii i flocie.

– Sukcesy, same sukcesy – Kaganowicz podskoczył jak nakręcana lalka.

– Mam nadzieję

SUWALSKA BRYGADA KAWALERII

Miasteczko Podstawy wydawało się ciche i spokojne. Większość mieszkańców odeszła wraz z taborami brygady w stronę Wilna. Oni zostali. Oni, to znaczy szwadron Rayskiego i kompania żandarmerii. W sumie w trzecim dniu walki ostało się ich stu pięćdziesięciu. Część poległa, sporą grupę odwieziono do szpitali, kilku figurowało na listach zaginionych.

Zygmunt leżał szczelnie otulony kocem i wyglądał przez balustradę na szczycie wieży kościelnej. Obdarzony nadzwyczaj byстрым wzrokiem, obserwował okolicę. Do towarzystwa dobrał sobie wachmistrza Hrynkiewicza, który teraz drzemał przy aparacie telefonicznym, podobnie jak on zawinięty w koc i oparty o drewnianą poręcz schodów. Wokół pachniało kurzem i mokrym drewnem. Dobrze, że przynajmniej od góry zasłaniało ich ozdobne zwieńczenie wieży.

Rayski, będąc dzieckiem, nieraz marzył o wspinaczce krętymi schodami i cudownych widokach, jakie musiały roztaczać się z samego ich szczytu. Niestety, wcześniejsze próby zawsze kończyły się porażką – a to drzwi bądź kłapa wiodąca na górne kondygnacje była zamknięta, a to ksiądz dobrodziej czy kościelny nawijali się nie w porę, a to ojciec ciągnął go do domu na obiad.

Dopiero rozkaz rotmistrza Zaremby pozwolił mu zrealizować tę fantazję.

Kiedy pierwsze promienie wschodzącego słońca rozjaśniły okolicę, całym sobą poczuł, że było warto. Okoliczne łąki,

poła i lasy, jeziora, a nawet same zabudowania z wysokości dwudziestu pięciu metrów wyglądały cudnie. Mgła szybko ustąpiła, a oczom Zygmunta odsłoniły się sielskie widoki. Główna droga i tory kolejowe biegły ze wschodu na zachód. Gdzieś tam za nimi koncentrowano bataliony obrony narodowej i 1 Dywizję Piechoty Legionów. Z drugiej strony odcinka powinien bronić odwodowy batalion KOP „Berezwech”. Przynajmniej teoretycznie.

Styczność z nim utracono osiemnaście godzin wcześniej, na dobrą sprawę zaraz po tym, jak patrol Rayskiego przeprowadził przez front kolumnę zaopatrzeniową RKKA.

Na widok Rayskiego podążającego konno przed sznurem sowieckich ciężarówek najpierw zdębiał Zaremba, a zaraz potem sam podpułkownik Jan Litewski dowodzący pułkiem. Krzyż Walecznych Zygmunt w zasadzie miał w kieszeni. Samochody i zaopatrzenie rozdysponowano natychmiast, ale co zrobić z ludźmi?

Początkowo pięciuset czerwonoarmistów chciano hurtem odesłać na tyły. Wystąpił jednak nieoczekiwany problem – tylko połowa z nich podporządkowała się zarządzeniu, reszta zażądała natychmiastowego wcielenia w szeregi Wojska Polskiego. Broń mieli własną. Jedyne, czego chcieli, to jasnych rozkazów i dowódców mających poprowadzić ich w bój. Pośpiesznie wyłoniony komitet przedstawił warunki współpracy. Sprawa dotarła do generała Podhorskiego, który prędko zjawił się na miejscu. Pertraktacje trwały kwadrans. Chętnych załadowano na eszelon jadący na południe, dodawszy im do ochrony paru konwojentów. Jeńcy szybko wyłamali się z szeregu, pomagając cywilom w ewakuacji – jak powiedział jeden z nich: „przecież nie będą darmo jeść chleba”. Resztę, chcąc nie chcąc, wcielono w szeregi i przeznaczono do drugorzędnych zadań. Na sowieckie uniformy zarzucili polskie płaszcze. Znaleźli zajęcie w taborach i wszędzie tam, gdzie przydawała się ich siła

fizyczna, a nie trzeba było strzelać do swoich. Wszystko to wydarzyło się wczoraj i – co oczywiste – wcale nie zmieniło tragicznej sytuacji obrońców.

Rayski słyszał, co mówili Rosjanie – jeszcze nigdy w historii nie zmobilizowano tak potężnych sił. Przez te parę dni dowiedział się, do czego są zdolni. W Armii Czerwonej dywizje, korpusy czy nawet całe armie nie miały większego znaczenia. Zawsze można je było zastąpić kolejnymi dywizjami, korpusami bądź armiami. Ta niewesoła myśl wciąż kołatała mu się w głowie, nie pozwalając odpocząć.

– Panie poruczniku, zejdę na dół i przyniosę kawy.

– Idźcie, Hryniewicz, tylko wracajcie szybko.

Zygmunt wyplątał się z koca, przeciągnął i wstał, żeby raz jeszcze pooglądać świat z góry – siatkę paru uliczek, ratusz i plac przed nim, po którym krążyło kilku żandarmów i ułanów. Uwagę Rayskiego przykuł jeden szczegół. Część żandarmów paradowała z przewieszonymi przez ramię pistoletami maszynowymi, zdecydowanie odbiegającymi wyglądem od peemw Mors, które widział podczas zajęć garnizonowych. Te wyglądały na rasowych zabójców. M1 Thompson – tak o tych pistoletach mówili dumni żandarmi prezentujący broń z błyskiem w oku. Bębnowy magazynek krył sto naboju i wyglądał imponująco. Zobaczymy, jak się sprawi w bezpośredniej walce.

Do końca warty pozostała godzina. Chociaż wcale nie miał ochoty stąd schodzić, to przecież musiał umyć się, zmienić koszulę, ogolić i dopilnować koni. Przeciagle ziewnął, przesunął garnizonową czapkę na tył głowy, przez chwilę podumał o Marku. Pewnie chłopak już został asem przestworzy, zawsze miał do tego smykałkę. Kiedyś, jak razem poszli...

Zamrugnął i przetarł oczy. Raczej nie doczeka spokojnie śniadania. Dopadł polowego telefonu i uniósł słuchawkę.

– Mówi Rayski. Zaremba jest w pobliżu? Szybciej!

- Tak?
- Panie rotmistrzu, za parę minut wpadnie do nas z wizytą kupa gości.
- Jaśniej.
- Niewiele widać. Zaraz... Co najmniej kompania zmotoryzowana. Są z półtora kilometra od nas.
- Dobra. Meldujcie na bieżąco.

Dźwięk sygnałówki poderwał oddział na nogi. Zygmunt widział, jak ulice momentalnie opustoszały. Pospiesznie zajmowano pozycje na dachach i górnych kondygnacjach domów. Część żołnierzy, tam gdzie to było możliwe, zeszła do piwnic. O konie nie musieli się martwić. Już wcześniej nowi ochotnicy odprowadzili je do najbliższego folwarku.

Dudnienie na schodach dało się słyszeć chyba w całej okolicy. Hrynkiewicz przeskakiwał po dwa stopnie, rozchlapując kawę i klnąc przy okazji niemiłosiernie, gdy gorące krople spadały mu na grube paluchy.

– Wachmistrzu, jesteście w świętym miejscu!

– A, bo się zdenerwowałem.

Menażki stuknęły o kamienną podstawę, a sam Hrynkiewicz złapał za pozostawiony przy legowisku erkaem Browninga, sapiąc przy tym jak postrzelony odyniec. Wciąż mamrotał pod nosem jakieś obelgi, kiedy do miasteczka wjechały pierwsze samochody pancerne, czołg i ciężarówki GAZ-AA. Z pak ciężarówek zeskoczyli strzelcy.

Rayski już ostatnim razem uważnie im się przyjrzał. Wyglądali lichy. Część miała szynele, część tylko zwykłe koszule ze stójką i paroma guzikami, podobne w kroju do ludowych rubaszek.

Pasy i szelki uprząży były parciane. Zamiast tornistrów nosili zawiązywane na sznurek worki. Do tego dochodziła wielka różnorodność nakryć głowy – od budionówek i furażerek po osobliwie wyglądające hełmy o głębokim wycięciu ronda.

Na prowadzącym ciężarowym GAZ-AA ustawiono w jednym rzędzie cztery sprzężone Maximy. Jeśli nasi nie załatwią od razu obsługi, będą kłopoty. Całe towarzystwo wyładowało się na centralnym placu przy studni i paru rosnących wokół klonach. Pojazdy zastawiły większą część wolnego miejsca. W sumie piętnaście sztuk wraz z czołgiem o krótkiej lufie. Tyle widział.

Delegacja Armii Czerwonej najwyraźniej chciała wkroczyć do ratusza. Uformowani w klin, ruszyli po schodach ku solidnym dębowym wieżom. Paru podskoczyło do przodu, żeby wyłamać drzwi. Ciosy kolb spadły na zamek. Rayski słyszał śmiechy i przekleństwa. Trochę trwało, zanim je sforsowali. Nic już nie broniło im wejścia. Co najmniej dziesięciu wkroczyło do obszernego holu.

Huk wystrzałów z wnętrza obwieścił początek akcji. Rayski wymierzył z karabinka w obsługę Maximów. Zanim oddał strzał, już ich skosiła seria z pistoletu maszynowego. Poszukał nowego celu. Jakiś lejtnant z czerwonymi wyłogami kołnierza wykrzykiwał rozkazy. Strzelił, dopóki tamten stał na widoku. Przeładował broń. Łuska łukiem wyleciała z komory, tymczasem Hrynkiewicz walił krótkimi seriami w większe zgrupowania strzelców. Mały, pudełkowy magazynek na dwadzieścia naboji nie pozwalał na nic więcej, ale i tak wachmistrz dysponował o wiele większą siłą ognia od niego.

Pierwszy wystrzał z działa samochodu pancernego odłupał kawałek ozdobnego gzymsu przy wejściu do ratusza. Pojazd natychmiast ściągnął na siebie uwagę ułana skrytego na balkonie najbardziej okazałej kamienicy na rynku. Ułan wycelował karabin przeciwpancerny wz. 35, zwany Urem. Nie było takiego pancerza, który wytrzymałby trafienie jego pocisku z pięćdziesięciu metrów. I ten też nie wytrzymał.

Natężenie ognia karabinowego prawie ogłuszyło Zygmunta. Już jeden strzelający peem robił sporo hałasu, a kanonada

kilku erkaemów i cekaemów była do zniesienia tylko dzięki pewnemu oddaleniu, jakie dawała mu wysokość wieży.

Swoim karabinkiem niewiele mógł zdziałać, więc zamiast pojedynczych celów wybrał większy, grupowy. Wyrwał zawleczkę granatu i cisnął w miejsce, gdzie jak mu się zdawało, kilku ukrytych krasnoarmiejców próbowało koordynować obronę. Jeśli tak było, to odłamki rozrywającego się karbowanego jaja unicestwiły wszelkie ich zamierzenia. W potęgującym się zamieszaniu Sowietci rozpoczęli odwrót, który jednak polegał na tym, że każdy szukał drogi na własną rękę. Rayski strzelił do któregoś z uciekinierów. Z powodu dymu nie wiedział, czy trafił, ale dał temu spokój.

Tymczasem jedyny czołg, jakim dysponował wróg, ruszył nagle do przodu, by po paru metrach obrócić się wokół własnej osi. Z lufy wystrzelił jęzor ognia. Wejście do kościoła stało w płomieniach. Rayski razem z wachmistrzem odruchowo się cofnęli, kiedy gorące powietrze polizało ich po twarzach.

Czołg-miotacz płomieni! Skonsternowany porucznik bał się wychylić, jeżeli jednak szybko nie uciekną, zostanie z nich popiół. Ruszyli w ciemną studnię zejścia, od razu nabierając rozpędu.

Gdy byli mniej więcej w połowie schodów, wieżą wstrząsnął wybuch. Na szczęście w znacznej części była wybudowana z kamienia i cegły. Na zewnątrz prowadziły wyłączne małe prostokątne otwory. Gorzej, że cały dół, chór i dach to drewno.

Gryzący dym szybko przysłonił wszystko. Już kondygnację niżej spotkało ich to, czego obawiali się najbardziej – droga została odcięta. Wskoczyli na wychodzący na nawę chór z organami. Od ławek na dole dzieliło ich dobre sześć metrów. Patrząc pod górę, to niewiele.

Z góry niemalże przepaść. Naokoło gładkie ściany, w

oknach witraże, przed nimi ołtarz. Pomodlą się potem.

– Przytrzymam pana, poruczniku. Resztę pan zeskoczy – wysapał wachmistrz.

– A wy?

– Na dole coś pan wymyśli.

Wybrali miejsce między ławkami. Zygmunt wysunął nogę i przelazł przez barierkę. Teraz druga. Mocno złapał za dłoń podoficera i zadyndał nogami w powietrzu. Zeskoczył z głuchym łomotem i poleciał na twarz. Przez otwarte wrota widział spowitego ogniem OT-26. Mieszanka ogniowa musiała eksplodować, kiedy czołg został trafiony przez ułanów.

– Panie poruczniku!

Uniósł głowę. W samą porę, by spadający Browning nie roztrzaskał mu głowy. Odruchowo odrzucił karabin na bok, myśląc, jak pomóc wachmistrzowi. Ciężkiej ławy nie przystawi. Nie wystarczy mu na to sił. W coraz większym zdenerwowaniu rozglądał się po kościelnym wyposażeniu. Tymczasem żar napływający falami odbierał oddech. Potrzebuje sznura. I to szybko.

– Poczekajcie, zaraz wrócę.

– Nigdzie się nie wybieram – Hrynkiewicz silił się na spokój, ale w jego głosie pobrzmiwała panika.

Pobiegł w stronę ołtarza i zakrystii. Wróc. Jedyne kawałek liny, jaki widział, mijał przed chwilą. Wachmistrz musi pomóc sobie sam. Zawrócił pędem.

– Hrynkiewicz! Sznur przy dzwonie!

Wachmistrz zrozumiał od razu. Tuż przy schodach z chóru na wieżę wisiał koniec solidnego, konopnego sznura. To stamtąd kołysano dzwonem.

O ile wcześniej czas galopował jak szalony, to teraz stanął w miejscu. Minęła minuta, później druga. Echa wystrzałów na zewnątrz prawie zupełnie ucichły. W końcu ponownie pojawił się wachmistrz. Jeszcze chwilę trwało wiązanie i w

końcu, postępując, zsunął się na dół. Od strony klatki schodowej dobiegł ich trzask i rumor. Któryś element konstrukcji w końcu nie wytrzymał.

Ponad chórem podmuch sypnął snop iskier.

Pomagając jeden drugiemu, wybiegli na zewnątrz. Niewiele widzieli. Oczy ich piekły, a pełne dymu płuca odmawiały posłuszeństwa. Na placu było niewiele lepiej. Wybiegłszy ze środka kościoła, trafili pod lufy nadchodzących żandarmów. W końcu Rayski złapał oddech i opierając się o mur, rozejrzał po najbliższej okolicy. Zwłoki w zgniłozielonych mundurach leżały dosłownie wszędzie. Był nimi usiany niemal cały rynecek. Zginęło co najmniej dwustu czerwonoarmistów.

Większość spoczywała w groteskowych pozach, tak jak dosięgła ich śmierć.

Żołądek Zygmunta drgnął w niekontrolowanym spazmie. Dobrze, że nie zdążył niczego zjeść, inaczej wszystko wylądowałoby na bruku, a widzowie mieliby niezły ubaw. Wysiłkiem woli stłumił odruch i odwrócił wzrok.

– Wachmistrzu.

– Tak jest.

– Wołajcie ludzi. Trzeba to wszystko uprzątnąć.

W przeciwieństwie do analogicznego spotkania Stawki w Moskwie to miało dużo bardziej kameralny charakter. Do sal Pałacu Saskiego naczelny wódz zaprosił jedynie paru najwyższych koordynatorów działań. Poszczególni inspektorzy tkwili przy swoich armiach, innym służbowe obowiązki nie pozwalały oderwać się od pilnych zajęć. Ci, którzy przyszli, wiedzieli, o czym będzie mowa.

– Panie generale... – marszałek mówił powoli. Na jego twarzy znać było troskę i przygnębienie. – Muszę przyznać, że pana przewidywania były bardzo trafne.

Pełczyński nie bardzo wiedział, czego Śmigły oczekuje: podziękowań za dokonane starania czy wprost przeciwnie, jest niezadowolony, że zdobyte informacje potwierdziły się prawie w stu procentach.

– Wszyscy, jak tu jesteśmy, wiemy, jak trudna jest sytuacja – ciągnął Śmigły.

– Tu chodzi o nasze być albo nie być – podchwycił myśl generał Stachiewicz. Marszałek umilkł, pozwalając kontynuować szefowi sztabu. – Na chwilę obecną zaangażowaliśmy dwie trzecie naszych sił. Dotyczy to armii nadgranicznych i odwodowej „Lida”. Jednocześnie z przykrością muszę stwierdzić, że plan osłonowy na głównych kierunkach nie został zrealizowany, stąd obecność Sowieców na głównej linii oporu w trzecim, a gdzieś tam już w drugim dniu walki. Generalnie większość jednostek sprawdza się dobrze. Każda nasza dywizja piechoty wiąże od dwóch do trzech podobnych formacji sowieckich. Na odcinku

Darewa i Szosy Słuckiej ten wskaźnik jest jeszcze większy, ale kryzys na południu nie został definitywnie zażegnany. W rejonie odwrotowym Armii „Podole” należy się liczyć z dalszymi zdecydowanymi postępami przeciwnika.

– To grozi odcięciem od Rumunii – pokusił się o uwagę minister Józef Beck.

– Nic na to nie poradzimy. Przynajmniej na razie – Stachiewicz wyprostował palce, do tej pory mocno splecione w geście bezradności.

– Jak wygląda mobilizacja?

– W sumie wystawimy czterdzieści dywizji piechoty oraz uzupełnimy stany tych już walczących. Do dziewięciu brygad kawalerii z nadwyżek dojdą jeszcze dwie z armii i jedna z KOPu, a do trzech brygad pancerno-zmechanizowanych dołączy czwarta, właśnie kończąca formowanie i szkolenia. W odwodzie mamy trzy bataliony pancerne. Być może niedługo otrzymamy dodatkowe uzbrojenie. Pierwszy transport już wypłynął z Liverpoolu. Nie należy się go spodziewać wcześniej niż w przyszłym tygodniu. Będzie to jednak i tak stanowić znaczący wkład.

– Jest pan bardzo pewny siebie, generale – postawa Stachiewicza nie imponowała Beckowi.

– Wolałby pan na moim miejscu wiedzieć kogoś innego? – zripostował szef sztabu.

Na tak postawione pytanie minister spraw zagranicznych nie znalazł odpowiedzi. Osobiście nie lubił przepychanek personalnych, jednak na miejscu Stachiewicza wolałby kogoś w rodzaju Kutrzeby.

– Czy w ciągu najbliższych dni możemy spodziewać się znacznego pogorszenia sytuacji na froncie? – zapytał zamiast tego.

– Nie jestem w stanie dać jednoznacznej odpowiedzi. Wiele zależy od czynników, na które nie mamy wpływu.

– Są też dobre wieści, prawda?

– Jeżeli za takie uznać gwałtowne uderzenie Sowietów na Finlandię, to można tak powiedzieć. Zajęcie Skandynawii, Litwy, Łotwy i Estonii, i oczywiście Polski, to bardzo ambitne zadanie. Zrobienie tego na raz jest karkołomne, ale nie niemożliwe. Może jednak przerosnąć siły agresora.

– Paryż i Londyn będą interweniować.

– To nie ulega wątpliwości. Zagarnięcie tych ziem zachwieje dotychczasowym układem sił.

Dziwi jedynie milcząca postawa Niemiec. Jako jedyne państwo nie zajęły jednoznacznego stanowiska. W sumie nie przeszkadzają, chociaż i nie pomagają.

– Czy wywiad wie coś o zagrożeniu z tej strony? – Śmigły popatrzył na Pełczyńskiego.

– Ten problem jakoś nam ostatnio umknął – przyznał ze skruchą szef II Oddziału. –

Bezpośredniego niebezpieczeństwa jak na razie nie zaobserwowaliśmy. To jednak może ulec zmianie wraz z trwającą kampanią.

Przez całe dwie dekady właśnie czegoś podobnego obawiali się najbardziej. Niemcy czy Rosja? Rosja czy Niemcy? Ostatecznie okazało się, że Rosja, ale przecież nie musi to wcale przesądzać o biernej postawie Berlina.

– Nie tak, z drugiej strony.

Spróbował ponownie. Rzut nie wydawał się trudny. Złapać przeciwnika za chabety i walnąć nim o materac. Bardzo się pomylił. Coś podcięło mu nogi. Zamiast pięknie wejść i zbić rękę Czanga, sam poszybował łukiem w górę i spadł na plecy. Na moment stracił oddech.

– Źle, źle, źle.

Nigdy się tego nie nauczy. Wstał, masując obolały bok. Najchętniej strzeliłby kitajca, czy kim tam on jest, w tę zadowoloną mordę. Raz już nawet tego spróbował. Pięść dosłownie musnęła ucho Czanga, który zrobił unik w ostatniej chwili. Na ringu za pierwszym ciosem poszedłby drugi i trzeci, ale to nie był ring. Na szczęście tego małego sukinsyna dawało się zaskoczyć. I dobrze.

Na poprawę humoru raz stoczył niezłą walkę z tutejszym mistrzem. Nie na rzuty i kopniaki, tylko na same pięści. Przynajmniej szanse wydawały się wyrównane. Po tych wszystkich wygibasach było wręcz przyjemnie. Angol reprezentował klasyczną szkołę – czysty boks bez nadmiaru klinczów i fauli. Żadnego walenia łbem w zwarcie czy pchania kolana nie tam, gdzie trzeba. Czang zakończył sparing uderzeniem w gong i nie obwieścił, kto zyskał przewagę. W końcu to trening.

Zmrużył oczy i wyciągnął ręce. Przed nim kolejna szansa, pewnie ostatnia.

Niespodziewanie, jakby wyczuwając jego zamiary, Czang zrobił krok do tyłu i wyszedł poza matę.

– Wystarczy. Musisz odpocząć.

Odetchnął. Naprawdę? Co za szczęście.

– Jak skończysz, przyjdź do mnie. Pogadamy – Azjata odwrócił się z wdziękiem i odszedł w stronę, gdzie ćwiczili bokserzy. Bagiński powlókł się w kierunku zaplecza.

Po dwudziestu minutach był gotów. Zmęczenia i napięcia całego dnia nie dawało się splukać gorącą wodą. Ucisk w skroniach to rósł, to nikł, podobnie jak ochota na długi sen.

Biuro Czanga zajmowało najmniejsze pomieszczenie. Wszystkiego trzy na cztery metry.

Miejsca wystarczyło na podstawowe przedmioty – stół, komódkę, krzesła i wieszak na ubrania.

Bagiński przysiadł na skraju siedziska.

– Jest ci słabo? – zagaił mistrz.

– Trochę.

– Spróbuj tego.

– Co to?

– Lekarstwo. Nie marudź.

Marek sięgnął po szklaneczkę. Ohydny smak, jakby płynu akumulatorowego, rozlał się mu po zakamarkach ust. Nie bardzo wiedział, co ma z tym zrobić – wypluć czy przełknąć. Podobny dylemat nie istniał dla Czanga, który popijał płyn drobnymi łyčzkami, najwyraźniej w nim rozsmakowany. Na ile potrafił, rozcieńczył paskudztwo śliną i przełknął. Aż się wzdrygnął. Uch...

– Dobrze, prawda? – Azjata wyszczerzył zęby.

– Jak na lekarstwo, niezłe – Marek trzymał w dłoniach szkło, postawiony przed kolejnym dylematem: odstawić czy próbować ponownie zmierzyć się z trutką.

– Nie zaprosiłem cię tutaj bez powodu.

– Słucham – odparł zrezygnowany. Więc jednak. O co będzie chodzić tym razem – ma szpiegować na rzecz Kuomintangu? Mimo zaprzeczeń Czang wyglądał na stuprocentowego kitajca.

– Planuję rozwinąć biznes.

– To miło.

– Poszukuję wspólników.

Bagiński wytrzeszczył oczy.

– Z pensji pilota wraz z dodatkami da się żyć, ale na inwestycje to zdecydowanie za mało.

– Ależ nie – Czang wykonał uspokajający gest ręką. – Żle mnie zrozumiałeś. To ty masz być inwestycją.

– Wybacz, mistrzu, może jestem tępy. Nie bardzo rozumiem

– Marek wbił się w oparcie krzesła.

– Obserwuję cię od początku. Sprawdziłem to i owo. Porozmawiałem z twoim przyjacielem.

– Jasperem?

– A ilu masz tutaj przyjaciół? – sparował pytanie Czang. – On zgadza się ze mną w wielu kwestiach.

– Na przykład jakich?

– Nie musisz być pilotem, możesz zostać zawodowym pięściarzem. Myślisz, że przez ten cały czas chciałem cię nauczyć sztuk walki? Nie żartuj. Jesteś za stary, za sztywny i masz beznadziejną koordynację ruchową. Sprawdziałem twoją wolę walki i wytrzymałość. Jak solidnie potrenujesz, możesz powalczyć o duże pieniądze. Zaczniemy tutaj, w Londynie. Zorganizuję parę walk. Jak dasz radę, a wierzę, że tak, to lecimy do Ameryki. Wyobrażasz to sobie?

Do snucia podobnych dywagacji w ciasnym pomieszczeniu na zapleczu sali treningowej potrzeba było naprawdę sporej wyobraźni. Czy to wskutek zmęczenia, stresu, czy presji obowiązku, ale na Marku wizja Czanga nie zrobiła wrażenia. Parę tygodni wcześniej... Kto wie, jaką podjąłby decyzję. Pomiędzy usunięciem z eskadry a misją w Moskwie, kiedy miotły nim sprzeczne uczucia

– wtedy prawie na pewno propozycja padłaby na podatny grunt. Dzisiaj zasmakował już w innej krwi. Nie tej, która lała się z rozbitych nosów, warg i łuków brwiowych. Te starcia,

choć bolesne i krwawe, zawsze toczyły się w obecności sędziów i według jasnych zasad, a on pomimo tego, że tylko skrajem marynarki otarł się o wywiad, polubił bardziej bezwzględną walkę.

- Nic z tego nie będzie. Wracam do kraju – odparł w końcu.
- Pomyśl...
- Tu nie ma o czym myśleć. Bardziej przydam się tam.
- Nic nie trwa wiecznie. Masz najwyżej dwa, trzy lata w tym sporcie. Później zostaniesz zmarnowanym talentem.
- Mogę nie przeżyć najbliższego miesiąca.
- No, to sprawa rozwiąże się sama – w oczach Czanga nie dostrzegł nic poza wiecznością.

36
BRZEŚĆ

Jako pułkownik miał całkiem sporo przywilejów. Po pierwsze, osobne miejsce do spania.

Oczywiście była to cela, ale ze wszystkimi wygodami – miękki materac, miednica z wodą, stół, krzesło. Wszystko jak w domu, tyle tylko, że tutaj go pilnowali. Do tego posiłki trzy razy dziennie i papierosy marki Sfinks. Co prawda takie sobie, jednak nie musiał ich sobie reglamentować. Jak kończył jedną paczkę, dostawał następną. Bez problemów otrzymywał prasę i książki. No i, rzecz jasna, spędzał codziennie godzinę na spacerunku, co w jego przypadku oznaczało siedzenie na ławeczce i kontemplowanie nieba.

Siemion Jefriemowicz Tychenko zmrużył oczy, przyglądając się słońcu przebijającemu przez chmury. W okolonej murami przestrzeni spacerownika było dość miejsca dla stu osób. Jak na razie znajdował się tutaj tylko on sam i jeden z pułkowników dowodzących jednostką kawalerii, która pięknie pomaszerowała na zachód, a następnie została rozbita przez pułk szwoleżerów.

Podobno wszystko rozegrało się jak przed wiekami, czyli w walce na lance i szable. Jakoś jedna i druga strona nie potrafiły odmówić sobie tej przyjemności, tyle że pokonani nie będą mieć już więcej okazji do odbycia podobnej galopady.

Wyniosły i dumny towarzysz niedoli nie szukał z nim kontaktu. Kiedy Tychenko zaproponował mu rozmowę i wspólną przechadzkę, zbył go parsknięciem i ripostą na temat wyższości jazdy nad pozostałymi formacjami armii. No

cóż, gdyby tak było w rzeczywistości, nie siedzieliby teraz razem pod czujnym okiem strażników.

Tychenko pogodził się z niewolą. Widocznie tak musiało być. Zaakceptował to, a właściwie... Prowadzony na ostatnie przesłuchanie, miał okazję wyrzeć na zewnątrz. Zdaje się, że Brześć przechodził transformację i stawał się jakimś węzłem komunikacyjnym, dokąd przywożono jeńców z frontu i transportowano dalej na zachód kraju. Rzędy wojskowych namiotów stawianych przez załogę twierdzy wyrastały w każdym nadającym się do tego miejscu, a czerwonoarmistów były już tysiące. Widok ten zaszokował Tychenkę.

Co się stało z Robotniczo-Chłopską Armią Czerwoną? Co innego przegrana na polu bitwy, co innego nieprzebrane tłumy, które przy byle okazji rzucały broń i przechodziły na drugą stronę.

Mała liczba wyższych oficerów i komisarzy skłaniała do przypuszczenia, że ci raczej nie dożywali takiej chwili.

Przez całą noc nie mógł zasnąć, mocując się z własnymi demonami. Jako realista nie żywił nadmiernych złudzeń co do ustroju, za który walczył od ponad dwudziestu lat. Napatrzył się dość na nędzę szarych obywateli i przywileje garści wybrańców. Plan, jaki wykiełkował w głowie dawnego dywersanta, na obecnym etapie stanowił kompromis pomiędzy zasadami, według których żył do tej pory, a tym, co zobaczył na własne oczy.

Na początek... Na początek poprosi o rozmowę z jeńcami, tymi zwykłymi, nic nieznaczącymi ludźmi. Musiał z nimi pogadać. Wybadać nastroje i sytuację. Wszystko zależało od tego, czego się dowie. Dalsze kroki uzależniał właśnie od tego.

37
ARMIA „LWÓW”

Powietrzną operację desantową przeprowadzono z całą starannością, na jaką obecnie było stać *Wojenno-Wozdusznyje Siły*. I Korpus Powietrznodesantowy generała majora Usenki składający się z 1, 204 i 211 Brygady Powietrznodesantowej załadowano do transportowych Li-2 i wczesnym świtem czwartego dnia wojny przerzucono na dalekie polskie zaplecze. Równocześnie na ziemi do natarcia ruszyła elitarna sowiecka 1 Dywizja Pancerna. Przełamała z marszu stanowiska polskiej 12

Dywizji Piechoty. Nie było to zresztą zbyt trudne, Sowieci dysponowali bowiem ciężkimi czołgami KW-1 i T-34, których nie były w stanie zatrzymać przeciwpancerne Boforsy. Trzysta siedemdziesiąt czołgów i pięćdziesiąt trzy samochody pancerne przy wtórze haubicoarmat kaliber 152 mm runęły do przodu jak stalowy taran. Dowodzący ich natarciem generał Wiktor Baranow miał wszelkie powody do zadowolenia. Niewielu dowódców dysponowało tak potężną siłą. Za 1

Dywizją Pancerną ruszył cały 1 Korpus Zmechanizowany. Podstawę tej jednostki stanowiło tysiąc wozów bojowych – od szybkich BT, poprzez średnie T-34 i ciężkie KW-1, po lekkie T-26 i pływające T-38. Ta potężna pancerna pięść miała zadać rozstrzygający cios i rozgromić obronę.

Natarcie korpusu przeprowadzono około 120 kilometrów od rejonu zrzutu desantu.

Odległość tę siły zmechanizowane miały pokonać w ciągu dwudziestu czterech godzin. Plan był całkiem dobry, ilość sił

i środków przeznaczonych do wykonania – więcej niż zadowalająca.

Jedyne, do czego można było się przyczepić, to słabe rozeznanie miejsc postoju polskich jednostek.

Lądująca pod Rohatynem 204 Brygada Powietrznodesantowa nie napotkała oporu, podobnie jak zrzucona nieco dalej na zachód 1 Brygada. Natomiast 211 Brygada desantowała się w Brzeżanach, odległych od Rohatyna o dwadzieścia kilometrów. Planiści nie wzięli pod uwagę, że właśnie tutaj stacjonowała część 10 Brygady Kawalerii pułkownika Stanisława Maczka. W środku nocy nad głowami zaskoczonych pancerniaków armii odwodowej rozkwitły czasy spadochronów.

Początkowy szok przerodził się w mściwą satysfakcję. Przeciwlotnicze działka i ciężkie karabiny maszynowe zestrzeliwały kolejno powolne, lecące jak po sznurku transportowce. Zmasowany ostrzał zdziesiątkował zwłaszcza maszyny próbujące odejść ze strefy lądowania. W promieniu dziesięciu kilometrów od Brzeżan spadło co najmniej trzydzieści samolotów. Drugie tyle zestrzeliły myśliwce startujące spod Lwowa. Nie pomogła osłona Jaków i MiG-ów. Wystartowało wszystko, co miało skrzydła. Zamiast wdawać się w powietrzne starcia, atakowano transportowce i bombowce wspomagające desant nalotem na miasto.

Bardzo szybko ruszyła do ataku Lwowska Brygada Pancerna pułkownika Franciszka

Skibińskiego. Rozpoznawcze TKS-y i lekkie 7TP po prostu przejechały przez spadochroniarzy próbujących stawiać opór. Generał Usenko zginął na samym początku w zestrzelonym samolocie, którego dopadł MS.406. Nawet gdyby przeżył, niewiele mógłby zrobić. Choć walki przeciągały się do popołudnia, to przybycie rezerwowej 40 Dywizji Piechoty oraz 21 Batalionu Czołgów Lekkich R-35 ostatecznie przesądziło o zwycięstwie Polaków.

Spadochroniarzom nie pomogło nawet przygotowane wcześniej wystąpienie sowieckiej agentury. Wszelkie miejscowości, w których atakowano posterunki policji i żandarmerii wojskowej, zostały bez litości spacyfikowane. Z zamieszania próbowali skorzystać także ukraińscy nacjonaści. OUN ujawniła się w samym Lwowie, gdzie rozpoczęła demonstrację zbrojną.

Ostrzelano Dowództwo Okręgu Korpusu i próbowano zająć gmach poczty. Ruchawki nie dało się stłumić lokalnymi siłami, potyczki trwały przez całą noc i dzień następny. Dopiero wystawienie przez komendę miasta patroli oficerskich mających nieograniczone uprawnienia uspokoiło sytuację.

Tragiczny bilans zamknął się sumą około dwustu zabitych i ponad dwóch tysięcy rannych Polaków i Ukraińców w samym mieście. W najbliższych okolicach ofiar było znacznie więcej.

Tymczasem 1 Korpus Zmechanizowany sunął dalej niczym walec. Polskie oddziały kilkakroć próbowały spowolnić jego ruch i wymusić na Sowietach zmianę szyku marszowego na bojowy, co w przypadku ich jednostek pancernych zajmowało najczęściej parę godzin, a nierzadko pół dnia, wszelako próby te spełzły na niczym. Żaden ze środków ogniowych nie był w stanie zatrzymać KW-1. Ich dowódcy wiedzieli o tym, więc nie nawiązywali walki bez potrzeby. Skoro nie potrafiły im sprostać Boforsy, to wystawienie do walki czołgów 7TP z działkiem 37 mm czy TKS-ów równałoby się skazaniu takiej jednostki na zagładę. 7TP, podstawowe czołgi polskich jednostek, ze swoim słabym pancerzem i niedostatecznym uzbrojeniem nadawały się co najwyżej do walki z piechotą przeciwnika czy z jego lekkimi maszynami. Pojedynki artyleryjskie z takimi wozami, jak KW-1 czy T-34, nie wchodziły w rachubę. Podobnie Renault R-35, Vickersy czy nawet czeskie czołgi LT-38, które jako

bardziej rozwojowe zasiliły stan polskiej armii w ostatnich dwóch latach – wszystkie one dysponowały działami zbyt małego kalibru. W rejon starć czym prędzej ściągnięto trzy szybkie czołgi angielskie typu Crusader, które testowano od kilku miesięcy, rozważając zakup większej serii. Niestety, te świetnie zapowiadające się maszyny, uzbrojone w armaty kalibru 40 mm, co prawda zdołały zniszczyć co najmniej piętnaście wozów T-34, lecz w końcu uległy powolnym, za to doskonale opancerzonym KW-1. Nic nie mogło pomóc oddziałom Armii „Lwów”. Na oczach trzech dowódców polskich jednostek pancernych – pułkowników

Maczka, Skibińskiego i Roweckiego – wojna zmieniała się w koszmar. Z zalewem T-26 czy BT dawało się walczyć, choć szanse nie były wyrównane. Nowe średnie i ciężkie maszyny Sowietów wydawały się niezniszczalne, a ich zastraszająca liczba zwiastowała bliską klęskę obrońców Rzeczypospolitej.

Nie mogąc inaczej sprostać zagrożeniu, przeciw pancernym kolumnom na początek rzucono bombowce Fairey Battle oraz eskadrę PZL P.23 Karasi z XXXV Dywizjonu pozostającego w Odwodzie Naczelnego Wodza. Po wcześniejszych walkach nie zostało ich wiele. Teraz, gdy zmuszone były do nalotów bez osłony własnych myśliwców, dopełnił się los większości maszyn użytych do tej akcji. MiG-i-3 oraz lotnictwo frontowe 6 Armii urządziły prawdziwą hekatombę kluczom polskich samolotów, zanim zdołały one zrzucić swoje ładunki.

Pod koniec dnia wyglądało, że Polakom przyjdzie polec z honorem, tymczasem skuteczne rozwiązanie problemu przyszło z najmniej spodziewanej strony. 1 Pułk Artylerii Najcięższej dysponował dwudziestoma siedmioma czeskimi moździerzami kalibru 220 mm. Trudno je było jak dotąd uznać za skuteczny środek walki. Ciężar działa wynosił 14 ton, co pociągało za sobą wielkie problemy z transportem i ustawieniem na stanowisku ogniowym. Szybkostrzelność w granicach jednego strzału na minutę oraz kilkusetmetrowy

rozrzut też nie wprawiały w zachwyt. Niemniej miały one jedną niezaprzeczną zaletę – potrafiły na odległość dziesięciu kilometrów wyrzucić granat o ciężarze 128 kilogramów. I chociaż jednostce nie było dane kruszyć fortyfikacji Kijowskiego Rejonu Umocnionego ani innych pozycji wroga, to wielkie moździerze wreszcie się przydały. Nawet najgrubszy pancerz nie mógł uratować trafionego czołgu. Wcale jednak nie szło o bezpośrednie trafienia – chociaż i takie się zdarzały, a cele rozpadały się wówczas na kawałki – bardziej liczył się efekt psychologiczny, leje powstające po eksplodujących pociskach, dezorganizacja nacierających jednostek.

Kombinowane środki obronne – ostrzał z najcięższych moździerzy i uporczywe naloty bombowców – znacznie spowolniły natarcie, ale nie powstrzymały go zupełnie. W końcu jednak 1 Pułk Artylerii Najcięższej ogniem bezpośrednim armat dalekonośnych 105 mm i armat polowych kalibru 120 mm zatrzymał atak sowieckiej 1 Dywizji Pancernej za cenę utraty swej najpotężniejszej broni – moździerzy 220 mm nie dało się ewakuować z pierwotnych pozycji.

Przewlekłe walki ciągnęły się jeszcze przez całą noc. W setkach potyczek i spotkaniowych bojów wokół korpusu zaciśnięto sieć. Po utracie przez oddziały pancerne Armii Czerwonej miażdżącej przewagi liczebnej bezsporna wyższość techniczna jej czołgów przestała mieć już decydujące znaczenie. O wiele bardziej liczyła się determinacja i indywidualne wyszkolenie żołnierzy.

GRUPA OPERACYJNA „DNIESTR”

„Reorganizacja i przegrupowanie” – to usłyszał kilka razy, gdy w końcu trafił na jednostki Grupy Operacyjnej „Dniestr” generała brygady Franciszka Kleeberga. 22 Dywizja Piechoty i Krakowska Brygada Kawalerii rozrosły się w czasie działań wojennych, skupiając w swych szeregach wszelkich rozbitków z oddziałów odstępujących na zachód i nadwyżki osobowe batalionów marszowych stanowiących uzupełnienie innych jednostek. W skład grupy wchodził jeden dywizjon myśliwski i drugi obserwacyjny oraz batalion czołgów 7TP. Pod mocnym naciskiem z południa ustępowali powoli, szukając wszelkich możliwości kontrataku.

Zdaje się, że rozpoczął się zupełnie nowy etap wojny. On sam na razie pozostawał bez przydziału, co dla osoby przywykłej do działania było trudne do wytrzymania. Z oddziału, którym do niedawna dowodził, nie zostało nic. Piechociarzy zaraz wcielono do innych plutonów, artylerzystami uzupełniono działony, a kawalerzystów poniosło diabli wiedzą gdzie. Siedział przy ognisku i co chwila przysypiał, kiedy nagle ktoś potrząsnął jego ramieniem.

– Kapitan Kosecki?

Niechętnie otworzył powieki. Właśnie śnił o... Nieważne, o czym. Mara odpłynęła w zakamarki umysłu.

– Tak.

– Jest pan proszony na odprawę.

– Oczywiście – odruchowo wstał, dopiął guziki i wygładził mundurową kurtkę. Wyglądała jak wyciągnięta psu z gardła.

Nic nie poradzi. To wojna, a nie letnie manewry. Zresztą inni nie prezentowali się lepiej.

– Proszę za mną.

Ruszył za adiutantem dowódcy dywizji w stronę zabudowań mieszkalnych. Minęli park i staw. Spoza długiego muru stanowiącego część olbrzymiej obory wyłonił się w końcu dwór.

Spalony podczas poprzedniej wojny, został odbudowany od podstaw. Rozległy, parterowy, z czterema kolumnami podtrzymującymi portyk nad gankiem. Kosecki od zawsze – już jako dziecko – marzył o podobnym domu. Ideał wiejskiego życia w kontakcie z naturą, przynajmniej tak to sobie wyobrażał. Harmonię psuły stanowiska przeciwnolotnych karabinów maszynowych rozłokowane na każdym spłachetku wolnej przestrzeni i masa wojennego sprzętu, który rozładowywano, przepakowywano i ładowano z powrotem na konne i motorowe środki transportu.

Weszli do środka. Dostępu do dalszych pomieszczeń pilnowała warta. Gdyby Kosecki

przyszedł sam, zostałby odesłany do któregoś z oficerów sztabu, ale obecność adiutanta generała rozwiała wątpliwości. Minęli hol i skierowali się na prawo, gdzie jeszcze do niedawna mieściła się jadalnia. W tym największym pomieszczeniu oprócz stołu niewiele pozostało z dawnego wyposażenia. Wyniesiono kredens, serwantkę i co tam jeszcze mogło stać, za to dostawiono dodatkowe fotele i krzesła. W następnym pokoju urządzono kwaterę dla generała.

– Proszę poczekać – adiutant wskazał Koseckiemu miejsce na krześle przy oknie.

Siadł wyprostowany jak struna, czujnie rozglądając się dookoła.

Kleeberg omawiał jakieś sprawy przy drugim końcu stołu. Kapitan słyszał cichą rozmowę prowadzoną pomiędzy

najbliższymi współpracownikami.

– To jedyne wyjście, panie generale.

– Tak myślicie?

– Rozkazy określiły jasno sytuację. Mamy spróbować zamknąć lukę...

– Ja to wiem.

– Wódz naczelny...

– Pułkowniku, jego tu nie ma, a wy mi proponujecie bierną postawę, w czasie kiedy niedaleko nas maszerują sowieckie dywizje.

– Nie wiemy, co zaszło. Radiostacja Armii „Lwów” milczy, a my nie potrafimy nawiązać łączności. Skoordynowany atak przyniósłby lepszy skutek.

– Zna pan tę starą zasadę: na odgłos dział wszystkie siły idą do bitwy. Do bitwy, pułkowniku, a nie w stronę przeciwną. Jeżeli chociaż w nieznacznym stopniu ułatwimy zadanie jednostkom Armii „Lwów”, to osiągniemy sukces.

– Ja tylko...

– Wiem, co pan chciał, pułkowniku, i nie mam panu tego za złe. Wszyscy ulegamy presji – Kleeberg oderwał ręce od stołu, przy którym stał pochylony nad sztabówką, i splótł je na piersi. – Proszę przygotować ludzi.

Pułkownik wyszedł.

Generał zrobił parę kroków wzdłuż stołu. Przystanął, kiedy jeden z adiutantów podszedł z boku i powiedział coś półgłosem.

– Co tam mówicie? – zdaje się, że słowa nie dotarły do adresata.

– Powinien pan w końcu coś zjeść – szeptał oficera usłyszał Kosecki obserwujący całą scenę.

– Nie jestem głodny.

– Kucharz tak się starał...

Głodówki generała i jego chory żołądek nie były tajemnicą dla najbliższego otoczenia.

– Jak dojdzie do jakiegoś nieszczęścia, pańska żona nigdy mi tego nie daruje.

– To macie problem – Kleeberg nie podjął dalszej dyskusji. – A gdzie ten kapitan?

– Tam czeka.

Kosecki przybrał postawę.

– Pozwólcie bliżej.

Obszedł stół i stanął przed generałem.

– Kapitan Jan Kosecki. 5 Dywizja Piechoty. Obecnie bez przydziału.

Kleeberg podał kapitanowi dłoń.

– Zaraz znajdziemy dla pana odpowiednie zajęcie.

Podeszli bliżej mapy.

– Ogólną sytuację znacie?

– Nie bardzo.

– Otóż nie jest najlepiej. Nie wiem, jak to sobie wyobrażają w Warszawie, ale bez kroków ofensywnych nie wygramy tej wojny. Taka okazja nadarza się właśnie teraz.

Kosecki słuchał uważnie. Nie zaproszono go tutaj na herbatę i pączki.

– Z lotniczych meldunków wyłania się następujący obraz. Przełamując nasz opór, Sowietci znacznie wysforowali się do przodu, pozostawiając odsłonięte skrzydła. Z każdą godziną zapuszczają się dalej, a ja bardzo chciałbym wiedzieć, gdzie konkretnie znajdują się ich siły osłonowe i czy w ogóle takowe wystawili. I to pan się tym zajmie.

– Tak jest – to nie była propozycja, tylko rozkaz.

– Ta zmotoryzowana kompania saperów, którą pan przyprowadził, wróci pod wasze rozkazy. Dostaniecie radiostację. Meldujcie co dwie godziny.

– Kiedy mam wyruszyć?

– Im szybciej, tym lepiej – generał ściągnął brwi. – Chyba dacie radę? Jak nie czujecie się na siłach lub są inne względy, to wyznaczę kogoś innego.

– Proszę tego nie robić.

Dowodzenie zmotoryzowanym zwiadem to zupełna nowość w jego żołnierskiej karierze.

Był jednak na tyle bystry, by bez trudu przystosować się do okoliczności.

– Pańscy ludzie już czekają – Kleeberg nie potrafił skryć uśmiechu.

Kosecki zasalutował.

– Powodzenia, kapitanie. Proszę mnie nie zawieść.

Oficer wykonał w tył zwrot i pośpieszył do drzwi. Kompanię znalazł na drodze, która prowadziła w stronę wsi należącej do majątku. Kolumnę otwierał samochód pancerny Panhard 178.

Za nim jechało 14 Fiatów 508 i 518 oraz ciężarówek 621. Wszystko wyładowano do granic możliwości sprzętem i bronią, z czego zasadniczą część stanowiła tona materiałów wybuchowych.

W przedwojennym zamyśle podobne grupy przeznaczono do dokonywania zniszczeń oraz ustawiania pól minowych. Zmotoryzowanie czyniło z nich wysoce mobilną jednostkę – wszystko jednak zależało od ilości i stanu dróg w rejonie działania.

W tym przypadku do saperów dodano pluton strzelców konnych. W razie czego znajdzie dla nich odpowiednie zajęcie.

– Dowódcy plutonów do mnie! – wrzasnął, podchodząc bliżej. Wcześniej nie zwracał na nich uwagi, zajęty własną baterią, ale teraz musiał zaznajomić się bliżej z załogami.

Wybiegli spoza wozów, ustawili się przed nim i przybrali wyczekującą postawę.

– Który z was jest najstarszy? – zapytał Kosecki.

– Zdaje się, że ja, panie kapitanie – odpowiedź przyszła od młodziutkiego porucznika wyglądającego, jakby był świeżo po promocji. Spod okapu nisko zsuniętego hełmu błyszczały

rozgorączkowane oczy.

Pozostali to dwóch chorążych i jeden starszy sierżant. Wyższych szarż nie było.

– Kto wami dowodził? – nie chciał zadać tego pytania, ale nasunęło się samo.

– Kapitan Kuleba, zginął zaraz pierwszego dnia.

– A wy to kto?

– Porucznik Zakrzewski – przedstawił się oficer. – Chorążowie Kamiński i de Large, sierżant Kustroń. Strzelcami dowodzi podporucznik Miller.

– Z polecenia generała Kleeberga mam przejąć kompanię.

Odpowiedziało mu zgodne: „Taa jest!”

– Rozkazy znacie?

– Zajmiemy się tym, co umiemy najlepiej – odparł de Large.

– Właśnie. Jakies pytania? Dziękuję. Ruszamy za – spojrzał na zegarek – pół godziny.

Jesteście wolni, a was, poruczniku, poproszę o zapoznanie mnie z kompanią.

Zaczęli od pierwszego wozu, stopniowo przechodząc do tyłu kolumny. Pod rozkazami miał stu czterdziestu ludzi. Niewielu, ale po bliższym zapoznaniu się ze szczegółami uzbrojenia odniósł nie najgorsze wrażenie. Dysponował całkiem pokaźną siłą ognia. Tam, gdzie się dało, ciężarówki były chronione workami z piaskiem ułożonymi nad szoferką oraz przy burtach. Spoza nich wyglądały lufy erkaemów i zwykłych Mauzerów.

Zakrzewski dreptał obok kapitana, wprowadzając go w zagadnienia. Parę chwil zmitrężyli przy wozie łączności, gdzie zainstalowano radio N1. Od jego obsługi zależało szczególnie dużo.

Z doświadczenia wiedział, że wojny nie da się prowadzić bez sprawnego systemu łączności.

Ostatnią dwuipółtonową ciężarówkę załadowano paliwem w beczkach i częścią materiałów pirotechnicznych. Kierowca,

nerwowy warszawiak, krążył dookoła, sprawdzając wszystko po kilkadziesiąt razy. Jak przyjdzie co do czego, wystarczy jeden pocisk zapalający, a rozświetlą najbliższą okolicę przepięknymi fajerwerkami. Jednak to paliwo miało im zapewnić wysoką autonomiczność działań. Wschód Polski to nie dawny zabór pruski. Tutaj stacje benzynowe zdarzały się bardzo rzadko lub zgoła nie było ich wcale.

Zostało pięć minut. Postanowił jechać w trzecim wozie, licząc od czoła kolumny. Na siedzenie obok kierowcy wrzucił tornister z osobistymi rzeczami. Jeszcze ostatni papieros, i w drogę.

Trasa wiodła wpierw na południe, by po dwudziestu kilometrach skręcić bardziej na wschód. Jedno, nad czym ubolewał, to konieczność trzymania się bitych traktów. No, ale w tych okolicach szybkość miała wymierną cenę. Przez pierwszą godzinę nie zaszło nic ciekawego.

Okolica wyglądała na spokojną, tylko bardziej wyludnioną niż parę dni wcześniej. Napotkali dwa konne patrole i oddział piechoty przygotowujący obronę skrzyżowania dróg. Jechali umiarkowanym tempem 25 kilometrów na godzinę, pokonując kolejne odcinki drogi, jakie zaznaczył na mapie. Raz wybrali skrót, co o mało nie doprowadziło do znacznego opóźnienia.

Przeprawa przez niewielką rzeczkę zabrała więcej czasu, niż się spodziewał. W końcu wyszło na to samo. Nawiązali łączność o czasie. Przekazał, co miał do przekazania – czyli że nie napotkał przeciwnika – i pojechali dalej.

Trudno było określić moment, od którego wszystko się zmieniło. Czy to widok zabitego na poboczu, czy wybebeszony chłopski wóz z martwym koniem i walającymi się wszędzie częściami garderoby, ale bez ludzi? Na mapie w tym miejscu zaznaczono wyłącznie las i jakąś osadę czy przysiółek bez nazwy. Musiał to sprawdzić. Przodem poszli strzelcy konni Kustronia. Za nimi pancerny Panhard i

pierwszy pluton saperów.

Wyjechali ostrożnie na otwartą przestrzeń. Białe chałupy kryte strzechą i budynki gospodarcze wyglądały na spokojne. Faktycznie wszędzie panował spokój – wręcz wieczny spokój.

Wszystkich mieszkańców wybito bez względu na płeć i wiek. Podobnie uczyniono z inwentarzem.

Wyglądało to na przestrogę. Nie tylko Koseckiemu zrobiło się mdło. Jakiś młody strzelec, przytrzymując się sztachet płotu, wodził wkoło nieprzytomnym wzrokiem.

– Co to jest? – wydobył zduszony szept z gardła.

– Wojna, chłopcze – wyjaśnił kapitan. – Nie wiem, co robiłeś wcześniej, ale jak już wrócisz, nie będziesz takim samym człowiekiem.

Naliczyli dwadzieścia cztery ciała. Nieważne, do kogo należały, przecież ich nie zostawi.

Wykopali zbiorowy grób i sprawili im pochówek. Zmitrężyli kolejne dwie i pół godziny.

Wróciwszy na szlak, zobaczył niecodzienny widok – tuż przy ścianie drzew stał pionowo samolot. Kadłub wbity w grunt, odłamane skrzydła z czerwonymi gwiazdami. Bombowiec albo transportowiec, o czym świadczyły cztery gondole silników. Przewrócili kadłub i przeszukali wnętrze. Jednak transportowiec. Kolejnych kilkanaście ciał, tym razem załogi i desantu, w tym jednego oficera o wysokiej szarży.

Otworzył legitymację partyjną podaną przez Kamińskiego. Przejrzał, powoli składając rosyjskie bukwy.

– Generał major Usenko... Hmm, podajcie tamten mapnik – wskazał na torbę przytroczoną do pasa zabitego. Nie spodziewał się rewelacji, chociaż wszystko było możliwe.

Kolorowe wykresy odebrały mowę Koseckiemu. Na dobrą sprawę był to cały schemat.

Wszystko, łącznie z rejonami lądowania poszczególnych batalionów i domniemanym rozlokowaniem przeciwnika, w tym przypadku oddziałów Armii „Lwów” generała

Kutrzeby.

Obrócił płachtę na drugą stronę, gdzie widniały odległe wschodnie rubieże. Ołówkiem zaznaczono własne jednostki i podstawy wyjściowe do natarcia.

– Wywołajcie mi sztab. Natychmiast.

– Panie generale, jest wiadomość od naszego zwiadu.

Kleeberg spojrział na ozdobny zegar wybijający o pełnych godzinach pierwsze takty „Warszawianki”.

– Przyszła przed czasem.

– Widocznie wydarzyło się coś pilnego.

Łącznościowców ulokowano po drugiej stronie holu. Poszedł tam, choć wiedział, że i tak nie pogadają. Nadawali kluczem. Chyba wiadomość jeszcze nie została do końca odebrana.

– No, czytajcie, co macie – polecił niecierpliwie. – Napotkali Sowietów?

– Raczej nie. Meldują o rozbitym samolocie, zwłokach jakiegoś generała i dokumentacji, którą przy nim znaleźli. Wszystko to jakieś mętne – oświadczył adiutant.

– Dowiedz się, gdzie są.

Łącznościowiec wystukał zapytanie.

– Jakies trzydzieści kilometrów od nas – adiutant odczytał informację, spoglądając na Kleeberga.

Temu Koseckiemu dobrze z oczu patrzyło. Nie zawracałby mu głowy duperelami. Skoro już o tym zameldował, to musi mieć znaczenie. Niestety, aparat nie pozwalał na przekazywanie precyzyjnych danych. Trzeba było rozwiązać problem dostarczenia dokumentów na miejsce. Nie zawróci przecież całego zwiadu – to bez sensu, ale konna drużyna da radę dostarczyć papiery do piętnastej. Jeżeli znajdzie naprawdę istotne dane, zdąży opracować nowy plan.

– Niech wyślą gońca – zdecydował w końcu.

Wiadomość poszła w eter.

Zamiast jednego człowieka posłał pięciu – tak na wszelki

wypadek i dla świętego spokoju.

W pamięci wciąż kołatały mu się obrazy widziane w ostatnim miejscu. Wraz z Millerem wybrali najlepszych ludzi. Przez chwilę chciał zwiększyć liczebność grupy do dziesięciu, ale zrezygnował po spokojnym „damy radę, panie kapitanie” plutonowego odpowiedzialnego za dostarczenie przesyłki.

Kosecki widział już nie takich kozaków.

– Żadnych awantur po drodze – pouczył. – Prosto do sztabu.

Spięli konie i już ich nie było. Odprowadził wzrokiem niknącą w oddali pikietę. Westchnął.

Musiał myśleć o swoim zadaniu. Szczęśliwy traf sprawił, że natknęli się rozbity transportowiec.

Zrobił, co mógł. Teraz jazda dalej.

Informacje przechwycone przez Koseckiego nigdy nie dotarły do generała Kleeberga. Ta sama wataha, która zmasakrowała mieszkańców wsi, nie odeszła daleko. Obserwowali kolumnę zwiadu z ukrycia, nie odważyli się jednak zaatakować. Cóż znaczy trzydziestu słabo wyposażonych bojowców naprzeciw dobrze uzbrojonej kompanii? Odeszli w głąb kompleksu leśnego, biorąc za cel następną osadę zamieszkaną przez Polaków.

Przypadek sprawił, że wyszli na drogę w tym samym czasie, kiedy zza zakrętu wyjechali konni strzelcy. Dzieliło ich nie więcej niż dwadzieścia kilka metrów. Z jednej strony kawaleryjskie karabinki, z drugiej samopały i obrzyny. Po paru strzałach strzelcy rozpoczęli odwrót. Wyszli z tego prawie bez szwanku, ale to nie ludzie stali się celem dla bojowców, tylko konie. Padały jeden po drugim wprost w piach leśnej przesieki. W końcu na nogach stał ostatni siwy ogier. Jeden ze strzelców został zabity, dwóch rannych, w tym i plutonowy, któremu przestrelono bok.

Świadomość odpłynęła szybko jak krew wsiąkająca w ziemię. Jeszcze oddychał, kiedy kolba karabinu zmiażdżyła

mu głowę.

Podobnych potyczek Ukraina widziała setki. Nic nie wskazywało, by w najbliższym czasie miał nastąpić ich kres.

W ocenie dowódcy 1 Dywizji Pancernej RKKA wydarzenia na północy na razie nie oznaczały większego zagrożenia. Wozy KW-1 i T-34 parły do przodu, nie zwracając uwagi na to, co się działo na skrzydłach. To zadanie przypadło piechocie. Dla generała Baranowa liczyło się jedno – jak najszybciej dotrzeć do walczących w osamotnieniu spadochroniarzy i wspomóc ich ogniem czołgów. Ambitne zadanie z każdym przejechanym kilometrem zamieniało się w horror. Na początek lotnictwo, którego nie potrafili zwalczyć. Bombowce nadlatywały nie wiadomo skąd.

Zrzucały ładunek i zanim udawało się dobrze w nie wycelować, znikaly jak widma. Później te cholerne moździerze. Na widok pierwszego wystrzeliwującego w powietrze gejzeru ziemi Baranowa oblał zimny pot. Jedyne ratunek w gaśnienicach i w mocy własnych motorów. W końcu dopadli cały pułk i zniszczyli wszystkie napotkane stanowiska. Mimo to ugrzęźli na dobre.

Informacja o zagładzie jednostek powietrznodesantowych nawet nie dotarła do generała. W sztabie frontu nie uznano tego za dość istotne, w dodatku źródła podawały sprzeczne informacje. Podobno część oddziałów walczyła, zadając wrogowi ciężkie straty. Wciąż próbujący posuwać się do przodu w tych warunkach Baranow nie wiedział, że zaciska się wokół niego niewidzialna pętla.

Spadochroniarzy już dawno rozpedzono, a dywizje Armii „Lwów” i Grupy Operacyjnej „Dniestr” przygotowywały ostateczny atak. Polakom wreszcie udało się nawiązać łączność, dzięki czemu generałowie Kleeberg i Kutrzeba mogli opracować nieskomplikowany plan. Jednostki armii odwodowej miały zatrzymać Sowieców od czoła, natomiast formacje Grupy Operacyjnej „Dniestr” przeprowadzić atak z

północy na południe. Szef Sztabu Głównego pomimo wielu wątpliwości na szczęście uległ presji zdeterminowanych dowódców i zaaprobował ich pomysł. Przygotowania trwały całą noc z 8 na 9 lipca.

Ruszając na zachód, generał Baranow nie był pewny, co go czeka. Być może przypadnie mu w udziale triumfalny wjazd do Lwowa, a być może... Ponieważ natarcie wyraźnie zwolniło, postanowił ponownie nadać mu tempo. W tym celu puścił przodem 5 Pułk Motocyklowy. Przez pierwsze kilometry nic go nie blokowało, dopóki nie trafił na lekkie czołgi 7TP. Do walki szybko włączyły się jadące za motocyklistami samochody pancerne BA-20 i kołowo-gąsienicowe czołgi BT-7, ale z drugiej strony pospieszyły trzy polskie samochody pancerne Panhard 178, które były lepiej opancerzone niż 7TP i miały też dobre uzbrojenie w postaci działka Hitchkiss SA 35 kalibru 25 mm i pocisków z wolframowym rdzeniem. Wszystko to jednak było mało, bo z za jednego zniszczonego sowieckiego czołgu wyjeżdżało pięć następnych. Polskie tankietki zostały rozniesione w pył, a Panhardy, wystrzelawszy całą amunicję, próbowały wycofać się za linię drzew. Oddziały Armii Czerwonej jednak nie zdążyły wykorzystać swej zdecydowanej przewagi ilościowej, gdyż już po kilkunastu minutach do walki włączyły się wiekowe polskie haubice 155 mm wz. 1917 Schneider, co wyrównało siły obu stron. Nowoczesne sowieckie haubicoarmaty MŁ-20 kalibru 152 mm, które mogłyby z kolei znowu przeważać szalę zwycięstwa na korzyść Armii Czerwonej, były przygotowane do przerzucenia na inne stanowiska. Zanim odczepiono je od ciągników artyleryjskich, ustawiono na pozycjach i rozpoczęto wstrzeliwanie się, upłynęło półtorej godziny.

W tym czasie było już po sprawie, bo choć na początku starcie zapowiadało się dla Polaków niedobrze, znów zadecydowało lepsze przygotowanie polskich załóg.

Dywizjon artylerii przeciwpancernej wszedł do akcji szybciej niż haubicoarmaty, jednak skierował lufy w niewłaściwą stronę. Parę polskich TKS-ów pojawiło się od południa. Siekąc pociskami kalibru 20 mm, tankietki narobiły trochę szkód wśród motocyklistów i szybko wycofały się, bo przy T-34 wyglądały jak chłopięce zabawki. Na ich widok Baranow poczuł smak zwycięstwa. Obojętnie, czym dysponował przeciwnik, on i tak miał zdecydowaną przewagę.

Dopiero informacje o pojawieniu się kolejnych polskich oddziałów, w tym i czołgów, dziesięć kilometrów za jego plecami popsuły mu dobry humor.

Wychodzące na skrzydłach bataliony 22 Dywizji Piechoty i Krakowskiej Brygady Kawalerii z Grupy Operacyjnej „Dniestr” zepchnęły postępujące za 1 Dywizją Pancerną formacje sowieckiej 163 Dywizji Zmotoryzowanej w stronę Podhajec. W zwarte dotąd pododdziały RKKA wkradło się rozprężenie. Rzucone nieopatrzenie słowo „kocioł” rozprzestrzeniło się jak pożar po suchym lesie.

Jednostki tak ofiarnie pracę do tej pory naprzód zwalniały, stawały i z wolna rozpoczynały odwrót.

Polskie siły wzięto za zdecydowanie większe, niż były w rzeczywistości. Część oddziałów wciąż walczyła, nie wiedząc, że za plecami nie ma już swoich. Gdy przeciwnik pojawiał się ze strony, skąd wypatrywano pomocy, w szeregi krasnoarmiejców zaczął się wkradać strach. W głowach żołnierzy zakolała myśl, że skoro już nie idą do przodu, to przegrywają.

Nie widząc szans na szybkie wydostanie się z okrążenia, Baranow zdecydował o przygotowaniu się do obrony. Jak się okazało, to było najgorsze, co mógł zrobić. Rozkaz okopania się potraktowano jako synonim klęski. Nie wiadomo, kto rzucił hasło do ucieczki. Później mówiono o sabotażystach, dywersantach i agitatorach, którzy jakoby przeniknęli do

szeregów.

Batalionowi i pułkowi politrucy ulegli panice. Paru strzeliło sobie w łeb, reszta zdarła dystynkcje i wmieszała się w żołnierski tłum. Kilku wyłapano. Ich żywot był nad wyraz krótki. Co bardziej ideowe kompanie próbowały przeciwdziałać chaosowi w jedyny znany sobie sposób. Maximy i Diektariewy wymierzono w zrewoltowanych strzelców i czołgistów i otworzono ogień. Dezerterzy nie pozostali dłużni.

Do godziny drugiej po południu I Korpus przestał istnieć jako zwarta formacja. Cofający się żołnierze mieszały się z postępującym w tyle XXXVII Korpusem Piechoty. Dowodzący frontem generał pułkownik Michaił Kirponos dostał ataku serca. Ciężko chorego odwieziono do szpitala.

Pół godziny potem pod wejście lecznicy zajęła czarna emka. Wyskoczyli z niej ludzie o zimnych jak lód spojrzeniach. Kirponos nie przeżył transportu do Moskwy. Zmarł jeszcze w drodze na lotnisko. Był pierwszą ofiarą nie Polaków, tylko własnych rodaków, a spirala represji dopiero się rozkręcała. Do końca dnia aresztowano dwudziestu dowódców, poczynając od odpowiedzialnych za zaopatrzenie, a kończąc na dowódcy lotnictwa frontowego. Reszty ze względu na wciąż trwającą bitwę na razie nie ruszano.

Do niewoli trafiło dwadzieścia tysięcy czerwonoarmistów z pokaźną ilością sprzętu. Nie to było jednak najważniejsze. Polakom przynajmniej na razie udało się zlikwidować wyrwę w obronie i ustabilizować linię frontu. Ustała również groźba utraty Lwowa i całkowitego odcięcia od południowej granicy. Zwycięstwo, choć ważne, niczego tak naprawdę nie rozstrzygało. Przyniosło za to poprawę morale mocno nadwątlonego w ostatnich dniach.

Tylko niektórzy wiedzieli, co jeszcze przyniesie najbliższa przyszłość.

Ktokolwiek przemierzał korytarze Pałacu Saskiego, czuł panujące wszędzie podniecenie.

Paru oficerów odpowiedzialnych za sprawy aprowizacyjne wyglądało i zachowywało się tak, jakby to oni osobiście poprowadzili ostatnie natarcie. Głośnym przemowom i komentarzom nie było końca. Euforia niosła ludzi na skrzydłach jak bogini zwycięstwa Nike.

O uszy generała Pełczyńskiego obijały się mrzonki i fanfaronady, wzmagając tylko jego irytację. Czy tym głębom wydaje się, że stoją u bram Moskwy w przeddzień generalnego szturmu?

Sam wracał właśnie z Biura Szyfrów w Lasach Kabackich, gdzie pracowano nad złamaniem sowieckiego kodu dyplomatycznego. Udało się z Enigmą, dlaczegożby nie miało udać się teraz? Na poprzedniej wojnie odwalali nie takie numery. Obecnie pracowali nad tym najlepsi – Rejewski, Różycki i Zygałski. Chociaż do pełnego sukcesu wciąż pozostawało mnóstwo pracy, to byli już na dobrej drodze. Odczytywali mniej więcej połowę przechwyconych wiadomości, co pozwalało w miarę dokładnie przewidywać ruchy bolszewików. Jednak generała gnębiło co innego – wiedząc, co się wydarzy, reagowali, a właściwie próbowali reagować, co z tego jednak, skoro dysponowali o wiele za małymi siłami. W porządku: pod Darewem, nad Szczarą i obecnie byli niekwestionowanymi zwycięzcami. Tylko jak długo?

Zasoby kurczyły się w tak szybkim tempie, że chyba nikt

przed wojną nawet w najczarniejszych snach tego nie przewidywał. Na niektórych odcinkach już brakowało amunicji.

Do tego dochodziły bezustanne naloty. Dotyczyło to głównie miast na wschodzie, chociaż i te dalej na zachód nie pozostawały bezpieczne. Na Lublin ciągnęła wyprawa za wyprawą, podobnie jak na Białystok i Siedlce. Do nalotów na Warszawę doszło trzy razy. Do tej pory zginęło w nich ponad pięćset osób. Szpitale były przepełnione. Na dłuższą metę nie będą w stanie sprostać nawale.

Rozmawiał ze Stachiewiczem i nie mógł powiedzieć, by go to podniosło na duchu.

Wcześniej, gdy opracowywano plan operacyjny „Wschód”, sztabowcy wyobrażali sobie, że po kilku dniach front ustabilizuje się jak podczas działań na Zachodzie pomiędzy rokiem 1914 a 1918, czyli zasadniczo ograniczy się do walk okopowych na głównych liniach oporu i wokół okręgów warownych, takich jak Wilno. Tymczasem teraz, kiedy jasno już było widać, jak gruntownie się mylili, szef Sztabu Głównego nadal miał nadzieję na taki obrót spraw. Dla Pełczyńskiego to uparte trzymanie się nieaktualnych założeń było prostym przepisem na przegraną. Generał Stachiewicz wspomniał mimochodem o przygotowywanej kontrofensywie, ale nie był w stanie powiedzieć, gdzie i kiedy mogłaby ona nastąpić. Jak na razie pomysł stanowił luźną myśl, niepowiązaną z żadnym obszarem operacyjnym. A przecież nie taka była doktryna! Działania obronne, prowadzone nawet na skalę strategiczną, nie przyniosą rozstrzygnięcia, a już na pewno nie przy obecnym stosunku sił.

Pokonał w końcu niekończący się ciąg drzwi i stanął przed tymi, do których zmierzał. Wszedł do środka.

– Inspektor u siebie? – zapytał.

– Tak jest... – kancelista chciał coś jeszcze dodać.

– Nie przeszkadzajcie sobie.

Minął sekretariat i wkroczył do gabinetu.

Generałowie brygady Józef Zając i Władysław Kalkus prowadzili ożywioną dyskusję.

– Wiedziałem, że was tu znajdę – Pełczyński zajął ostatnie wolne miejsce.

Lotnicy tylko spojrzeli ponuro.

– Czyżby mój widok was wystraszył? Nie żebym się poczuł urażony...

– Przygotowujemy referat dla Śmigłego. Koniecznie chce wiedzieć, jak to wygląda ilościowo – odparł Kalkus.

– Powiedźcie i mnie.

– Nie wiem, co gorsze – mały raportik do naczelnego czy szczerza rozmowa z tobą?

– Pycha to jeden z grzechów głównych. Nie zapominaj.

– Na szczęście w twoim towarzystwie nie sposób o tym zapomnieć – odciął się dowódca lotnictwa w Ministerstwie Spraw Wojskowych.

– Jak was słucham, to od razu mam ochotę wyjść – Józef Zając odrzucił w końcu ołówek i usiadł wyprostowany.

– Mówcie w końcu, co tam macie. Jestem bardzo ciekaw, jak stoimy.

– Jeżeli o to chodzi, to bardziej adekwatnym słowem będzie...

– Nie musisz kończyć.

– Sam chciałeś wiedzieć.

– Bardziej interesuje mnie arytmetyka niż twoje poczucie humoru – westchnął Pełczyński.

Kalkus wziął do ręki kartkę papieru. Przeglądał ją przez parę sekund, jakby nie dowierzając zapisanym cyfrom.

– Za parę dni zostaniemy goli jak święty turecki.

– Nie gadaj – grobowy głos kolegi przestraszył szefa II Oddziału.

– Naprawdę. Nie przesadzam. Dotyczy to wszystkich typów

maszyn. Intensywność działań nas zaskoczyła. Co prawda, nie wszystko zostanie spisane na straty. Część wyremontujemy, oczywiście, jeśli wystarczy na to czasu, ale spora liczba Fairey Battle'i pójdzie w odstawkę, dopóki nie otrzymamy części zapasowych. Z naszymi jest dużo łatwiej. Wszystko mamy na miejscu.

– To w czym problem?

– Battle ma silnik chłodzony cieczą. Słabo nadaje się dla lotnisk polowych. Więcej z nimi kłopotów niż pożytku.

– A pozostałe?

– Morane'y i Hurricane'y sprawdziły się. Zwłaszcza Hurricane'y. Problem jak wyżej.

Części. Dostępna ilość absolutnie nie zaspokaja potrzeb. A wiesz, co mnie wkurza najbardziej?

– Nie wiem – szczerze odpowiedział Pełczyński, zdumiony wybuchem przyjaciela.

– Od mniej więcej dwóch lat, bo wszystko zaczęło się w 1939, francuziki i angole zbywają nas, jak mogą – na usta Kalkusa o mało nie wypłynęła piana. – Prosimy ich o jedno, chociażby o wgląd w dokumentację albo o zakup Spitfire'ów czy Dewoitinów D.520, zresztą za pieniądze z ich kredytów, i co słyszymy?

Pełczyński pokręcił głową i wzruszył ramionami.

– Sami mamy za mało. Jesteśmy w trakcie przezbrajania. Nie mamy wpływu na firmy prywatne. Kiedy chcemy kupić bomby o większym wagomiarze, to słyszymy: nie będą wam potrzebne, nam też brakuje lub mamy na zbyciu sporo starych masek przeciwgazowych. To jakieś kpiny!

– Faktycznie, nie wygląda to najlepiej.

– A wiesz, czego najbardziej żałuję?

– Aż boję się zapytać.

– Cały sprzęt jest dostępny od ręki, tylko nie u nich, ale w Stanach. W tamtejszych wytwórniach możesz zamówić płatowce i silniki, karabiny maszynowe i radiostacje.

- To dlaczego tego nie robimy?
- No, akurat to pytanie nie do mnie. Zresztą wiesz, jaka jest polityka – wszystko robimy u nas. No, może z niewielką pomocą przyjaciół. Samowystarczalność. Rok, dwa i bylibyśmy gotowi. Jastrząb lata...
- Ale nie z naszym silnikiem – tyle Pełczyński zapamiętał z wcześniejszych opowieści Kalkusa.
- Trudno mieć wszystko, Tadek.
- A jak to się ma do tego, czym dysponują Sowieci?
- Wprowadzili całą gamę nowych modeli, i to właśnie w ostatnim czasie. Przypadku tutaj nie ma. Wszystko staranne zaplanowali.
- To raczej działa na ich korzyść.
- Chcesz ich usprawiedliwić?
- Nie usprawiedliwić, a zrozumieć. To różnica. Powiedz lepiej, jakie ponieśli straty.
- Biorąc pod uwagę intensywność działań, to niewielkie – Kalkus zacisnął usta. – Jeżeli nawet będziemy niszczyć ich maszyny w takim tempie jak dotychczas, to i tak nic to nie da.

Wytwórnice są daleko na wschodzie. Poza naszym zasięgiem. Dostarczają setki, a może i tysiące nowych płatowców. Rozumiesz, Tadek? Ty-sią-ce. Jedno, co mogę powiedzieć, to że do tej pory mieliśmy szczęście, cholernie dużo szczęścia. Teoretycznie już powinni wgnieść nas w glebę.

– I to mówi akurat ktoś taki jak ty. Miałem o tobie lepsze zdanie.

– Bardzo zabawne.

Zamiarem Pełczyńskiego wcale nie było rozdrażnienie Kalkusa. Obojętnie, gdzie by się nie znalazł, wszędzie słyszał podobne żale, chociaż właśnie w lotnictwie cała dotychczasowa polityka odbijała się jak w krzywym zwierciadle. Znał problemy, o których wspominał Kalkus.

Kiedy bezpośrednio zagrożenie ze strony Hitlera minęło, politycy i wojskowi we Francji i Anglii ponownie zapadli w stan błędnego odrętwienia. Problemy z Sowietami nie dotyczyły ich wprost, a jak nie ma zagrożenia, to i strach jest mniejszy, i chęć do działania. Moskwa była daleko, to problem Warszawy, nie nasz.

Takie podejście powodowało, że któregoś dnia przyjdzie im obudzić się z nieprzyjemnym uczuciem moralnego kaca, zwłaszcza gdy problem z czerwoną gwiazdą na budionówce zacznie pukać do ich drzwi. Ciekawe, skąd wynikała ta niemoc decyzyjna? Nie potrafił znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Z jednej strony Paryż i Londyn chciały mieć decydujące zdanie we wszystkim, a z drugiej w paru przypadkach sprawy szły opornie.

– Jak daleko jesteśmy w stanie dokonać zwiadu i bombardowań na wschodzie? – zapytał zamiast tego. Sprawa fabryk gnębiła Pełczyńskiego coraz bardziej.

– Trzysta kilometrów. Tyle maksymalnie jesteśmy w stanie osiągnąć. Nie zapominaj, że startujemy z lotnisk położonych daleko od wciąż postępującej linii frontu. Odległość to raz, dwa to liczba użytych maszyn do jednorazowego uderzenia. Musielibyśmy zebrać do kupy wszystkie Łosie i Battle, żeby to miało sens. Nierealne. Na obecnym etapie zorganizowanie takiej wyprawy na Zagłębie Donieckie czy Moskiewski Rejon Przemysłowy przekracza nasze możliwości. Twoi ludzie poradzą sobie lepiej niż nasi.

– O czym mówisz?

– Sabotaż, dywersja – teraz to Kalkus dla odmiany wzruszył ramionami.

– Nic z tego.

– Skoro tak twierdzisz.

– Żebyś nie zrozumiał nas źle – do rozmowy włączył się Józef Zajac. – Trochę sprzętu jednak dostaniemy w najbliższych dniach. Przylecą nowe maszyny. Właściwie to

strumyk wciąż płynie.

– Ale nie jest dobrze.

– Wciskają nam jakieś graty w rodzaju obserwacyjnego Lysandera. Nie wiem, po co, bo nasza Mewa jest lepsza. Mamy już taki jeden i wystarczy. Tym razem to my odmówiliśmy. Bardzo się zdziwili. Dostaniemy też jakiś samolot ze sklejki i płótna.

– Jak słyszę podobną wypowiedź...

– W tym przypadku oburzasz się niesłusznie. Bardzo zachwala go ten twój protegowany.

– To ja mam protegowanych? – niepomiernie zdziwił się Pełczyński.

– Masz, i sam o nich nie pamiętasz.

– Który to?

– Ten bokser, jak mu tam?

– Bagiński – generałowi od razu wróciła pamięć.

– No widzisz – dopowiedział Kalkus.

– Jest w Londynie.

– Nie wiedziałem – jakoś umknął mu ten fakt.

– Wiesz, za dużo spraw. A te samoloty wytargowaliśmy u wytwórcy cztery. Będą gotowe za parę dni.

– Cztery to trochę mało.

– Jak jesteś taki mądry, to sam gadaj z tamtejszymi ministerstwami.

– Dobra, dobra. Nie powiem już ani słowa. Nie powiecie jednak, że to wydatnie wzmocni nasze siły.

– Zależy, do czego chcesz ich użyć. My chcemy je wykorzystać jako maszyny zwiadowcze i bombowce. Jak dostaniemy jeszcze dwa, będziemy dysponować piękną eskadrą do nalotów na Smoleńsk albo jeszcze dalej. Tak, żeby sobie nie myśleli na Kremlu, że o nich zapomnieliśmy.

Po głowie Pełczyńskiemu chodziło parę myśli, na razie niekonkretnych. Niektóre rejony pozostawały i dla niego niedostępne albo kontakt z ulokowanymi tam agentami był

bardzo utrudniony. Musi o tym pamiętać. A swoją drogą, jak sobie ten Bagiński radzi u angoli?

40
LONDYN

Po co mu to było? No po jaką cholere? Oba boki i uda miały kolor zgniłej polędwicy.

Siniaki na piszczelach i przedramionach, o drobnych kontuzjach nie wspominając. Na dodatek mistrz Czang wciąż twierdził, że jest do niczego. To zniechęcało. Ćwiczył jakieś pady, przewroty i rzuty. Doprawdy, nie wiedział, skąd jeszcze znajdował po temu siły. Żył napędzany presją i pasją, zarówno w odniesieniu do samolotów, jak i do sportu. Dzień wylotu zbliżał się wielkimi krokami.

Linia montażowa nie osiągnęła jeszcze pełnej wydajności, stąd zwłoka. Wciąż coś poprawiano i udoskonalano, oczywiście nie bez jego pomocy, ale kiedy wreszcie zobaczył efekt końcowy, zaniemówił. Samolot prezentował się świetnie. Tylko wsiąść i lecieć. Wtedy właśnie wyłonił się kolejny problem – kto to miał zrobić. Piloci w kraju walczyli i ginęli. Odciągnięcie paru od dotychczasowych zadań na pewno nie poprawiłoby ani nastrojów wśród nich, ani szans polskiego lotnictwa. W końcu znaleziono wyjście – postanowiono wysłać „ochotników”, w czym wydatnie pomógł Jasper. Ten zresztą przejął na siebie znaczną część obowiązków Bagińskiego. Bez jego pomocy każda wizyta w Ministerstwie Lotnictwa byłaby gehenną.

W końcu wytypowano paru chętnych. Oficjalnie rząd Wielkiej Brytanii nie brał udziału w konflikcie. Żaden z obywateli Zjednoczonego Królestwa nie mógł uczestniczyć czynnie w prowadzonych walkach, stąd konieczność przebrania grupy w polskie mundury. To jeszcze dało się

zrobić. Lotnicze uniformy wszędzie są podobne. Problem stanowiło co innego. Po wylądowaniu ci przebierańcy będą rzucać się w oczy jak stado baranów w rzeźni. Nie mówili ani słowa w języku kraju, do którego mieli odlecieć. Na razie nic sobie z tego nie robili – ale do czasu.

– Co o nich myślisz? – oparty o futrynę Jasper Marshall przyglądał się znudzonym lotnikom.

– Rozmawiałem z nimi, z każdym po kolei – odpowiedział Marek, przekładając na bok wykresy dotyczące zużycia paliwa. – I mam sporo obiekcji.

– Nie są dobrzy?

– Są. Nie w tym rzecz. Na przykład MacDonald – Bagiński wycelował pióro w stronę

Szkota o potężnych dłoniach i zaraźliwym poczuciu humoru, którego widać było przez otwarte drzwi.

– No?

– Bystry jak mało kto, ale na Powiślu zginąłby pierwszego dnia. Co ja mówię, przed obiadem wyłowiono by z Wisły jego zwłoki.

– Mówił, że pochodzi z Edynburga.

– I co z tego? Jest naiwny jak dziecko. Nigdy nie walczył, może stracić głowę.

– Mark, nikt nie wie, jak się zachowa w takim momencie. Nie miej im za złe, że nie uczestniczyli w prawdziwym boju, i pamiętaj, że ty również nie masz takich doświadczeń.

– O siebie się nie boję.

– No widzisz – Jasper oderwał się w końcu od przejścia i podszedł bliżej biurka, za którym siedział Bagiński. – A tak się składa, że najstarszy brat MacDonalda zginął w Ulsterze podczas potyczki z IRA.

– Co to, powinienem znać?

– Nieważne. Chciałem tylko, żebyś wiedział – tu nie zawsze jest miło i kolorowo. Mamy sporo własnych problemów.

Marek przekrzywił głowę i posłał Jasperowi pełne skruchy

spojrzenie.

Kilka promieni słonecznych utorowało sobie drogę do wnętrza pokoju, rozjaśniając go wesołym blaskiem.

– Za trzy dni już mnie tutaj nie będzie.

– Przecież nie możesz się doczekać – Marshall podparł głowę.

– Prawda – Bagiński nie wiedział, co go gryzie. Marzył o powrocie, a z drugiej strony wsiąkł w to spokojne otoczenie.

Przesunął wzrokiem po schematach zalegających na biurku. Sporo się tego nazbierało. Na, ale skoro chciał dysponować czymś naprawdę skutecznym i nowoczesnym... Tracił poszyt zawierający cały plan ułożenia elektryki i drugi z systemami hydraulicznymi zastosowanymi w DH.98. Nauczył się ich prawie na pamięć. Przyjdzie czas, że zdobytą wiedzę wykorzysta w wytwórni na warszawskim Okęciu. Pod jednym wszak warunkiem – jak dożyje. A to wcale nie było takie pewne.

– Na dzisiaj koniec. Podwieź mnie do Czanga. Wrócę już sam.

– A oni? – Jasper pokazał brodą na zewnątrz.

– Są wolni do jutra rana – Marek wstał, prostując przygarbione plecy. Ciało zaprotestowało, przypominając o nie do końca sprawnych mięśniach i stawach.

– Dałbyś już sobie dziś wieczorem spokój – powiedział Jasper.

– Nie.

– Nic dobrego z tego nie wyjdzie.

– Jak twierdzi Czang, nauczę się paru złośliwych sztuczek, to wszystko. Ogólnie jestem za stary i za arogancki, by pojąć piękno szlachetnej sztuki walki, jaką uprawia.

– Ma to jakąś nazwę?

– Ma, ale zapominam, jaką – mruknął Bagiński.

Kwestia najbliższych paru godzin nie przysłoniła mu najważniejszych spraw. Zaplanował na jutro oblot ostatniego

Mosquito, a to wymagało pojawienia się na lotnisku o szóstej rano i osobistego sprawdzenia działania poszczególnych systemów, uzupełnienia płynów i zmówienia modlitwy. Nie chciał roztrzaskać DH.98 tuż przed wylotem do Polski.

Wychodząc z pracowni, widział wszystkie cztery samoloty ustawione w hangarze nieco z boku. Wciąż nie potrafił wyjść z podziwu nad tym, czego dokonał. A właściwie – czego dokonali, bo oczywiście sam tego nie zrobił, działał przecież na zlecenie.

Jak posadzi pierwszego Mosquito w Toruniu, to Urbanowiczowi oko zbieleje. Nie tylko zresztą jemu. O tym, czy te maszyny będą stanowić elitę, zadecyduje pierwsza akcja bojowa.

Teoretycznie wszystko gra, ale teoria przeczy czasem praktyce, a samolot to nie wszystko.

Usłyszał niedawno takie zdanie – coś, co ładnie wygląda, będzie dobrze latać. Może to i racja. Oby.

Smród palonego mięsa wykręcał nos na lewą stronę. Podporucznik Zygmunt Rayski zrobił parę kroków wzdłuż poczerniałych szczątków stodoły. Dach już dawno zapadł się do wnętrza.

Właściwie tylko kilka grubo ciosanych belek ze ściany zostało całych, cała reszta, wraz z inwentarzem w środku, zamieniła się w popiół. Do ognia miał ostatnio stosunek ambiwalentny.

Podczas poprzedniej akcji nie spłonął, tylko nałykał się dymu. Kiedy po wszystkim oglądał wrak tego samobieżnego miotacza OT-26, bardzo się zdziwił, że drewniany chór się nie zajął. Kamienne mury wytrzymały. Nadpalone zostało tylko wejście, ale co się najadł strachu, to jego.

Zobaczył, co chciał, i zawrócił. Wystarczy tych atrakcji. Przysiółek zrównano z ziemią, ludzi wypędzono albo sami odeszli. W panującym wszędzie bałaganie trudno było się rozeznąć, co właściwie zaszło. Nic tu po nich. Pora zebrać ludzi i ruszać w drogę.

Dopiero po odejściu na jakieś pięćdziesiąt metrów odetchnął głębiej. Lepiej, ale i tak odnosił wrażenie, że smród wniknął pomiędzy włókna mundurowej kurtki. Będzie go czuł do sądnego dnia. Ale i tak lepsze to, niż samemu gryźć piach.

Kolejny dzień zapowiadał się podobnie jak poprzednie. Pozycje w miasteczku Podstawy zostały obsadzone przez batalion z 1 Dywizji Piechoty Legionów generała brygady Wincentego Kowalskiego. Ich skierowano w stronę Świącian – ważnego węzła kolejowego niedaleko granicy z Litwą, na

północny wschód od Wilna. Podstawy od Świącian dzieliło pięćdziesiąt kilometrów i zdaje się, że byli ostatnią zorganizowaną jednostką operującą na tym rozległym obszarze. Cały teren na północ od nich zajmowali Sowietci. Wszyscy spodziewali się, że oddziały RKKA tamtędy właśnie podejmą szybki marsz wprost na Wilno.

W opinii Rayskiego ta wojna była nie do wygrania. Od samego początku tylko ustępowali.

Zadawali przeciwnikowi straty i nic z tego nie wynikało. W końcu zostaną przygnieceni, nakryją ich czapkami. Jak zwał, tak zwał, znaczy to samo.

Nie zdążył jeszcze dotrzeć od koni, które trzymano niedaleko linii kolejowej, gdy spomiędzy drzew wytoczył się pancerny pociąg. Skład otwierała platforma, za nią jechał wagon artyleryjski, opancerzony parowóz z tendrem, wagon szturmowy i kolejny wagon z działem 75 mm i haubicą 100 mm. Całość w kamuflażu, obłokach pary i dymu robiła niesamowite wrażenie.

Pociąg jechał wolno, może z dziesięć kilometrów na godzinę, rytmicznie stukając kołami na złączach szyn. Na czele platformy stał oficer. Wysuniętą naprzód nogę opierał o worki z piaskiem, którymi wyłożono wszystkie boki wagonu. Na piersi zwisała lornetka, przez plecy przerzucony miał zdobyczny automat, spod hełmu wystawał pokrwawiony bandaż. Nieruchomy wzrok i zaciśnięte usta dopełniały pozy twardego. Oficera otaczali podobni do niego żołnierze. Tył platformy zajmowała armata przeciwlotnicza Bofors kalibru 40 mm wz. 36, też obłożona workami z piaskiem i dodatkowo deskami.

Skład podjechał i stanął niedaleko nich, przeraźliwie zgrzytając hamulcami. Rayski machnął na swoich ułanów i ruszył w stronę przybyszów. Trochę im zazdrościł. Wojna, a ci sobie wygodnie jeżdżą pociągiem. Może nie salonką, ale zawsze to nie tak męczące jak pokonywanie dziesiątek

kilometrów na końskim grzbiecie.

– Podporucznik Zygmunt Rayski. Suwalska Brygada Kawalerii.

– Porucznik Andrzej Sikorski – oficer nie drgnął nawet o cal.

– Mówiono mi, że jesteście w pobliżu.

Rayski zerknął w tył, gdzie przetrzebiony pluton jazdy dosiadał wierzchowców.

– Czym mogę służyć?

Noga w wyglansowanych oficerkach oderwała się w końcu od worków i stuknęła o dno platformy.

– Zgodnie z rozkazem skład ma przejść do odwodów dowódcy armii. Jeżeli idziecie na zachód, to możecie zabrać się z nami.

Nęcąca propozycja, tylko co zrobić z końmi. Jakoś nie zauważył wagonu towarowego, a koń to nie ułan, sam na platformę nie wlezie. W dodatku potrzebuje miejsca i siana.

– Raczej nie skorzystamy.

W końcu zaciśnięte w kreskę wargi wykrzywiły się w uśmiechu.

– Rozumiem. Pytałem dla zasady.

Rayski kiwnął głową.

– Pojedziemy za wami. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Jak chcecie.

W miejscu, gdzie stali, tory skręcały łagodnym łukiem ku zachodowi. Pułk szedł leśnymi drogami w tę samą stronę, a Rayskiemu jak zwykle w udziale przypadło ubezpieczanie.

Odsalutował Sikorskiemu i odstąpił w tył. Pociąg pancerny szarpnął i spod lokomotywy poszedł biały obłok pary.

– Pytali o drogę? – Hryniewicz obserwował spotkanie znudzonym spojrzeniem.

– Bardzo śmieszne, wachmistrzu – Rayski wsunął stopę w strzemie i odbił się, lekko wskakując na siodło. – Popręgi dociągnięte?

– To pierwsze, o czym przypominam tym gamoniom.

– Akurat.

Spięli konie i ruszyli krok za krokiem. Z tego, co pamiętał, następna miejscowość miała całkiem rozbudowaną infrastrukturę kolejową. To nie było osada, gdzieś przy torach, tylko miasteczko z posterunkiem policji i stacją przeładunkową. Być może zorganizowano tam obronę z miejscowych ochotników lub przynajmniej powołano straż obywatelską. Jak dobrze pójdzie, odpoczną chwilę i uzupełnią prowiant.

Po pancernym składzie nie został już żaden ślad – pociąg znikł w oddali, zresztą droga, którą jechali ułani, prowadziła w głąb lasu, a nie jego skrajem jak w przypadku linii kolejowej. To dziwne, ale po paru dniach trwania wojny zaczynał do niej przywykać. Nie podskakiwał przy byle wystrzale i potrafił zachować zimną krew w sytuacjach, w jakich wcześniej by spanikował.

Z czegoś musiało to wypływać. Czyżby wcześniejsze podejście do życia zastąpić miał cynizm?

Musi się pilnować.

Na dźwięk wybuchu, który dobiegł z oddali, konie zastrzygły uszami. Rayski poderwał głowę jak myśliwski pies wietrzący posokę. Huk doszedł ich z prawej strony. Dołączył do niego kolejny i jeszcze jeden. Stłumione echo niosło się pomiędzy drzewami. Spiał wierzchowca ostrogami i ruszył kłusem. Na razie nic nie widział, dopiero kiedy dojechali do przecinającego las prostopadłego traktu, zorientował się w sytuacji. Artyleria ostrzelała pociąg pancerny. Odpowiadał ogniem i wycofywał się. Najwidoczniej tor został zablokowany. Wstrzymał pluton, nie bardzo wiedząc, co ma robić.

– Hrynkiewicz.

– Tak jest, panie poruczniku.

– Dowodzis – Zygmunt przerzucił nogę ponad karkiem zwierzęcia, zeskoczył i ruszył przez las, przytrzymując

karabinek na plecach.

Jak się spręży, dobiegnie do torów akurat, kiedy będą go mijać. Gęstwina utrudniała poruszanie. Na chabecie nie dałby rady. Szybciej będzie piechotą, o ile jakiś nerwowy strzelec nie położy go trupem. Biegł ile sił w nogach, pokonując wykroty i omijając krzaki. Nie był daleko, zostało mu dosłownie dwadzieścia metrów, kiedy pancerny skład zaczął mijać Rayskiego. Jasna cholera! Nie zdąży.

Już stracił nadzieję, gdy pociąg gwałtownie przyhamował. Otworzyły się boczne drzwi wagonu szturmowego i zaczęli wyskakiwać z niego żołnierze plutonu wypadowego. Przysiedli wzdłuż toru w oczekiwaniu na rozkazy. A jednak będą się przebijać. No tak, w końcu jechać mogą tylko w przód i w tył. Nic innego nie wymyślą.

Zygmunt dobiegł akurat, kiedy Sikorski pośpiesznie szedł na tył składu, wydając instrukcje dowódcy plutonu.

– Co mam robić? – zapytał Rayski zdyszany.

– Pan jeszcze tutaj?

– Jak widać.

Arogancja sukinsyna nie miała granic. Zygmunt zgrzytnął zębami.

– W takim razie wspomóżecie oddział wypadowy. Na miejsca.

Ruszyli, zanim Zygmunt wrócił do swoich.

Pluton wypadowy pociągu pancernego pierwszy dotarł do skrzyżowania drogi z torem kolejowym. Na środku przejazdu stał lekki czołg BT-7, obracając wieżą we wszystkich kierunkach.

Za nim stał drugi i trzeci, do tego motocykle i ciężarówki GAZ-AAA.

Kilku czerwonoarmistów jeszcze chwilę wcześniej gorączkowo starało się rozmontować tor.

Teraz, przepędzeni ogniem erkaemów, schowali się za czołgiem i odpowiadali strzałami. Z każdą chwilą potyczka

przybierała na sile. Spieszeni ułani wyszli na drogę na lewo od zagończyków Sikorskiego.

Z karabinkiem przy ramieniu Rayski spojrział wzdłuż traktu wiodącego w głąb lasu. Tam panowała cisza. Najwyraźniej Sowietci nie zdążyli zapuścić się dalej na południe. Teraz popatrzył wzdłuż lufy w przeciwną stronę. Ci stojący za czołgiem jak za ruchomą stalową barykadą byli nie do ruszenia od frontu, ale dla niego stanowili wymarzony cel.

Przyklęknął oparty o pień i poszukał pierwszej skulonej postaci. Jest. Strzelił. Tamten oberwał i poleciał w bok. Nagle za BT zrobiło się mało miejsca dla piechurów. Eliminował jednego po drugim, reszta spiesznie odpędzała na drugą stronę.

Wieża czołgu gwałtownie obróciła się w poszukiwaniu pozycji, z której strzelano.

Zygmuntowi zaschło w ustach, kiedy czarny otwór lufy wydawał się kierować w miejsce, gdzie klęczał. Zamiast paść na trawę czy dać rozkaz do odwrotu, patrzył jak urzeczony. Za sekundę już go nie będzie. Zamknął oczy, szykując się na spotkanie z wiecznością. Usłyszał wybuch, ale nic nie poczuł. Otworzył oczy. Czołg zaliczył trafienie. Ustawiony bokiem, stał się idealnym celem dla armaty 75 mm z pociągu pancernego. Z przedziału silnikowego buchały płomienie.

Kolos na szynach nadjeżdżał, waląc ze wszystkich luf pierwszego wagonu. Pięć ciężkich karabinów maszynowych z przodu i z lewej strony wagonu artyleryjskiego siekło przeciwpancernymi i smugowymi pociskami po rozciągniętej na drodze kolumnie. Zwłaszcza dwa przednie cekaemy wyraźnie się nie oszczędzały. Dwie ciężarówki stanęły w płomieniach, jedna – zapewne z martwym kierowcą – zatrzymała się na drzewie. Dwie następne znieruchomiały. Nie uciekł też żaden motocykl.

Pociąg pancerny wyglądał jak smok: ogromny, groźny, zionący ogniem i rozjuszony do granic możliwości. Jednak

wielkie gabaryty ruchomej twierdzy były również jej wadą. Nie sposób było nie trafić w tak ogromną tarczę. Gęsto sypiące się iskry rykoszetów od serii karabinowych wskazywały, że taka kanonada niczym jej nie szkodzi. Co innego pociski wystrzeliwane z czołgowych dział kalibru 45 mm. Wskutek tego ostrzału szybko został wyłączony z akcji jeden cekaem wagonu szturmowego. Później uszkodzenia doznała wieża haubicy.

Skład nieco zwolnił i przednią platformą uderzył w palący się czołg, który blokował przejazd. Za nim stał frontem do pociągu drugi BT – schowany za płonąca maszyną jak za pancerną tarczą. Było to bardzo skuteczne rozwiązanie, gdyż do tej pory wszystkie strzały polskich dział zatrzymywały się właśnie na wraku. Przez zasłonę ognia i dymu dowódca drugiego czołgu widział zbliżający się potężny taran, lecz celowniczy akurat próbował trafić w kolejne czołowe gniazdo cekaemu. Udało się. Karabin zamilkł, gdy w osłonie jego strzelnicy pojawiła się spora dziura. Nie było jednak czasu napawać się sukcesem. Trzeba było natychmiast się stamtąd wyrwać, ile mocy w gąsienicach. Zabrakło sekundy. Impet uderzenia nie tylko odsunął czołg poza torowisko, ale i obrócił go bokiem. Obsługa polskiej armaty Bofors tylko na to czekała – strzał niemal „z przyłożenia” przebił wieżę BT na wylot.

Załoga trzeciej maszyny dotąd manewrowała najdalej z przodu i koncentrowała się na ostrzeliwaniu piechurów. Teraz wobec ewidentnej klęski oddziału postanowiła w końcu uciec.

Czołg zdążył odjechać tylko kilkanaście metrów od torowiska, gdy znalazł się w polu rażenia armaty z tylnego wagonu artyleryjskiego. Do tej pory z konieczności bezczynna, teraz udowodniła swoją przydatność.

Ułani kończyli przeglądając zniszczone pojazdy w poszukiwaniu interesujących dokumentów.

Pluton wypadowy, zebrawszy z pola walki przydatną broń i amunicję, załadował się do środka.

Lokomotywa sapnęła, z masy stali dobył się jęk i zgrzyt, koła drgnęły.

Trudno powiedzieć, na ile byli bezpieczni. Z pewnością bardziej niż kilkanaście minut wcześniej.

– Dawać konie.

Z głębi lasu wyjechali cwałem koniowodni prowadzący wierzchowce. Pluton Rayskiego dosiadł koni i przemknął na drugą stronę drogi. Tym razem nie ucierpiał nikt z jego ludzi, czego na pewno nie można było powiedzieć o załodze pociągu pancernego.

42
BRZEŚĆ

Siemion Jefriemowicz Tychenko siedział. Odczekał dokładnie godzinę pod drzwiami oficera, który odpowiadał za sprawy związane z wywiadem. W tym czasie przedefiladowali przed nim inni, mający najwyraźniej pilniejsze sprawy. Rozmowy z nim nie uznano za aż tak istotną, toteż spędził ten czas, oglądając długi i szeroki korytarz, konwojentów przyprowadzających i odprowadzających więźniów, biegnących dokądś posłańców – jak również zacieki na ścianach i pojedyncze plamy w rogach sufitu.

Tychenką już nikt się nie interesował. W końcu chyba uznali, że wydobyli od pułkownika GRU, ile się dało. Dalszych przesłuchań zaniechano. Zresztą ostatnio wywiad skupił uwagę na nowych jeńcach. Było ich tylu, że by ułatwić sobie pracę, sporządzono kwestionariusz. Obecnie stosy tych akt spoczywały na biurkach ludzi odpowiedzialnych za wyłowienie spośród całej masy więźniów osób mających coś do powiedzenia.

Siemionowi Jefriemowiczowi czekanie nie przeszkadzało. Przeleciał w myślach poszczególne punkty planu w poszukiwaniu słabych miejsc. Nie wszystko zależało od niego, jednakże to on ryzykował najwięcej. Westchnął i splótł ręce na brzuchu. Powieki opadły same.

Balansował na granicy snu i jawy i pewnie by usnął, zadumany nad własną przyszłością, gdyby nie delikatne szturchnięcie w ramię.

– Siemionie Jefriemowiczu, już czas.

– Czas – mruknął, odruchowo unosząc głowę.

Drzwi stanęły przed nim otworem. Wstał i poszedł w głąb mrocznego pomieszczenia.

Siedzący po drugiej stronie biurka major schował papiery do szuflady i roztargnionym spojrzeniem obrzucił wchodzących – młodego zastępcę i byłego dywersanta.

– Podobno chcieliście ze mną mówić. Jeżeli to możliwe, streszczajcie się.

Tychenko nie odpowiedział natychmiast. Bezpośrednie przejście do tematu nie leżało w jego naturze. Wpierw trzeba pogawędzić o banalnej codzienności, a dopiero później przejść do meritum sprawy. Niezrażony obcesowym potraktowaniem, przysiadł na krześle. W końcu niczym się jeszcze nie zasłużył. Występował z pozycji dużo słabszego.

– Wiecie, kim jestem – zaczął po chwili.

– Raczej, kim byliście.

– Oczywiście. Wciąż nie mogę się przyzwyczaić – odparł Tychenko.

Wcześniej przygotowana przemowa gdzieś przysła, w głowie pozostała pustka. Wiedział, co chce powiedzieć, tylko nie potrafił ubrać tego w słowa.

– Już wcześniej mieliśmy na was sporą teczkę. Istniały w niej luki, na przykład nie wiemy, co robiliście w latach 1925–1927 – przyznał wywiadowca. – Na szczęście dzięki waszej pomocy braki zostały uzupełnione.

Właściwie, co on robił w połowie lat dwudziestych? Spróbował powiązać wydarzenia z konkretnymi datami. Niedawno to przecież przerabiał, i to w tym właśnie gabinecie. Zdaje się...

No tak. W 1925 został zwербowany do *Гławnogo Razwiedywatelnogo Uprawlenija*, czyli Głównego Zarządu Wywiadowczego Sztabu Generalnego. Przez jakiś czas obijał się na niższych stanowiskach, by dziesięć lat później wstąpić na ścieżkę awansów. Można powiedzieć, że na robocie znał

się jak mało kto. Tylko czy teraz uwierzą w jego szczere chęci?

– Podobno na froncie radzicie sobie nie najgorzej – zaczął od niewyszukanego komplementu.

– Interesuje was to z zawodowego punktu widzenia czy też prywatnie? – usłyszał w odpowiedzi.

– Jeżeli powiem, że z zawodowego, to co?

Tym razem to major milczał, wymownie unosząc brwi.

– Stawiacie mnie w kłopotliwej sytuacji – odpowiedział w końcu.

– Nie chcę wam zaszkodzić. Wprost przeciwnie – język Tychenki niespodziewanie się rozwiązał. – Rozmawiałem z jeńcami. Wiem, jakie są nastroje. Słyszałem pogłoski o co najmniej kilku przypadkach, kiedy nasi żołnierze wstępowali w polskie szeregi.

– Nie zaprzeczam i nie potwierdzam.

– Czyli to prawda – stwierdził Siemion Jefriemowicz.

– Pracujemy nad tym.

I jeden, i drugi wiedzieli o wcześniejszych precedensach. Rosyjska Ludowa Armia

Ochotnicza generała Bułak-Bałachowicza była tego najlepszym przykładem, podobnie jak Ludowy Związek Obrony Ojczyzny i Wolności zorganizowany przez zacieklego antykomunistę Borysa Sawinkowa na terenie Polski. W szczytowym okresie walk 1920 roku przez jednostki liniowe, grupy partyzanckie i bojowe przewinęło się ponad siedemdziesiąt tysięcy Rosjan, Ukraińców i Białorusinów, wnosząc znaczny wkład w polskie zwycięstwo nad bolszewikami.

– Nie jestem zaskoczony – powiedział Tychenko. – My także korzystaliśmy z łotewskich ochotników. Nie tylko zresztą z nich.

– Siemionie Jefriemowiczu, rozmowa z wami jest bardzo zajmująca, ale powiedzcie, o co wam chodzi.

– W marcu 1917 roku Lenin wyjechał z Zurychu, by przez Niemcy i Szwecję dotrzeć do Petersburga. Już wtedy twierdzono, że wszystko odbywa się z poduszczenia niemieckiego sztabu generalnego. Parę miesięcy później obalono Kiereńskiego i bolszewicy przejęli władzę.

– To ogólnie znane fakty.

– Tylko czy tak samo rozumiemy ich wymowę – ostatni wysilek, i w końcu przełamanie bariery. – Niemcy rozsadzili Rosję od środka. Czy wy również jesteście do tego gotowi?

Majorowi serce drgnęło w piersi. Takiego obrotu rozmowy nie przewidywał. Wcześniej sądził, że Tychenko przypomniał sobie jakąś zamierzchłą sprawę, którą obecnie spróbuje sprzedać, targując się o swoje dalsze losy, ewentualnie zechce wspomóc rosyjskich ochotników. Sam wydał zgodę na wizytę pułkownika w ogólnym obozie jenieckim.

Pewne obawy budziły intencje Siemiona Jefriemowicza. Nie miał nic do stracenia.

– Wiecie, że z naszej rozmowy będę musiał sporządzić raport?

– Jestem na to przygotowany.

– Dobrze, więc słucham.

Tychenko mówił spokojnie i rzeczowo przez piętnaście minut. Major nie przerwał mu ani razu, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Na koniec poprosił o przedstawienie pomysłu na piśmie.

Jeżeli to, co ten rusek mówił, jest możliwe, to przełom w wojnie mógł nadejść z zupełnie innej strony. Kiedy więzień znikł już za drzwiami, wyprowadzony przez zastępcę, majora po raz pierwszy ogarnęły wątpliwości. Czyżby z ideowego bolszewika pułkownik tak szybko przeistoczył się we wroga reżimu? Jedno wiedział na pewno – Warszawa nie pozostanie na to obojętna.

Ustawieni na płycie pasa startowego, czekali na zakończenie przemowy. W lotniczych kurtkach, w równym szeregu, przy pięknych samolotach prezentowali się wręcz doskonale. Major Kellett, niski, tęgi Anglik, mędził o odpowiedzialności. Zadanie było całkiem proste – dostarczyć cztery DH.98 Mosquito z Londynu poprzez Morze Północne, Danię i Bałtyk do Polski. Zostawić tam maszyny i odpłynąć z Gdyni brytyjskim transportowcem do domu. Nie mieszać się do niczego.

Lot jak po sznurku i jeszcze prostszy powrót. Siedmiu wspaniałych i jeden odstający od reszty Polak.

Kellett chyba po raz trzeci przestrzegł przed wdawaniem się w jakiegokolwiek dwuznaczne sytuacje. I w te na niebie, i w te na ziemi. Bagiński dyskretnie spojrział na zegarek. Musiał bardzo mocno zaciskać zęby, żeby nie ziewnąć. Udało się. Jak widać, lotnik musi nieustannie ćwiczyć całe ciało. Co prawda przez kolejne parę godzin w powietrzu będzie tkwił przypięty pasami do fotela, lecz wtedy z kolei próbie zostanie poddana wytrzymałość jego pęcherza.

– Wracajcie cali i zdrowi – ostatnie zdanie przemowy rozluźniło szereg. Major podszedł do pierwszego z kolei pilota i uściśnął mu dłoń, życząc powodzenia. Gdy przyszła kolej na Marka, przystanął zażenowany.

– Świetnie się z panem współpracowało, poruczniku – powiedział zdawkowo.

– Zachowam same miłe wspomnienia – Bagiński zdobył się na powściągliwy uśmiech.

Kellett już chciał przejść dalej, ale przystanął w pół kroku.

– Nie myślcie o mnie źle. W innych okolicznościach... Sami wiecie.

– Coś mi mówi, że spotkamy się ponownie.

– Oby nie – tym razem uścisk wyglądał na szczery. – Poruczniku, przejmuje pan dowodzenie.

Jak on chciał to usłyszeć!

– Za pięć minut wylot – wydał pierwszy rozkaz.

Szereg pękł i każdy podążył w swoją stronę.

Przy samolocie, który sobie wybrał, zobaczył Jaspера opartego o łopatę śmigła.

W przeciwieństwie do spiętego Kelletta Marshall w rozpiętym płaszczu i w kapeluszu z opadającym rondem wyglądał na zupełnie odprężonego i rozluźnionego.

– Kiedy będziesz w domu?

– Za pięć, sześć godzin. Zależy, jaki dostaniemy wiatr nad Północnym.

– Nie zazdroszczę.

– Zawsze byłeś cykorem, jeżeli chodzi o latanie.

– Pamiętasz? – Jasper wyglądał na zaskoczonego.

– A co myślałeś?

Czyżby oczy Marshalla lekko się zaszklily? Temu zimnokrwistemu, wyniosłemu angolowi?

Marek obrócił głowę w prawo i w lewo. Na płycie lotniska pozostał tylko on. Reszta siedziała w dwuosobowych kabinach. Uściskał Jaspера i ruszył w stronę drabinki. Musiał odsunąć na bok wszystko, co utrudniało koncentrację. Teraz żeby nie zapomnieć – najpierw szła żółta maewestka, dopiero na to uprząż spadochronu. Wspiął się i usiadł na fotelu obok MacDonalda zajętego przedstartowymi czynnościami. Założył pilotkę i zapiął pasek pod brodą. Podociągał wszystko zgodnie z wymogami.

Odsapnął i spojrzał w oczy Szkota. Wyczytał w nich taką samą determinację jak jego własna.

Przełączył radio.

– Ruszamy.

Najpierw zaskoczył lewy, a potem prawy silnik rządowy Rolls-Royce Merlin Mk 25.

Gryzący smród spalin doszedł do kabiny przez nieomkniętą owiewkę. Zatrzasnął okienko i położył dłonie na drążku sterów, nogi na orczyku.

Powoli, jeden za drugim cztery DH.98 ustawiły się na początku pasa.

Ostatnie przymiarki i pierwszy samolot nabrał rozpędu, gładko wychodząc na pięćset metrów. Minęli Londyn od północy, by po chwili wejść nad wody estuarium Tamizy. Setki statków, stateczków i promów zmierzały do portów bądź z nich wychodziły. Jeszcze nigdy w życiu Marek nie widział tak dużego ruchu morskiego. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, co znaczy imperium. Może Londyn nie stanowił centrum świata, ale i tak imponował ogromem i onieśmiał kolonialnymi tradycjami.

Im dalej na wschód, tym ruch stawał się mniejszy. Dopiero w Cieśninach Duńskich miał przybrać na sile, co stanowić będzie znak bliskiego już Bałtyku.

Pięć i pół godziny później, kiedy już przelatywali na Półwyspem Helskim i przygotowywali się do posadzenia maszyn w bazie lotniczej w Pucku, żeby uzupełnić paliwo, poczuł ulgę. Dobrze wykonał zadanie. Proste, bo proste, ale samodzielne. Na ostatnich kilometrach załogi pozostałych samolotów zacieśniły formację, jakby w obawie przed niebezpieczeństwem. Zupełnie słusznie, bo nie można było wykluczyć ataku nieprzyjaciela. W każdej chwili spodziewano się nalotu na Gdynię i instalacje portowe. Dotychczasowy spokój w sektorze tłumaczono chęcią przejęcia przez Sowietów nietkniętego zaplecza portowego, zdolnego od razu rozpocząć działalność przeładunkową. Jak padnie Warszawa, przejście przez korytarz pomorski stanie

się formalnością.

W Pucku zaskoczenie: czekały na nich nowe rozkazy – nie Toruń, jak się spodziewał Bagiński, tylko zapasowe lotnisko pod Lublinem. Różnica niewielka, zwłaszcza w zestawieniu z dystansem, jaki pokonali do tej pory.

44
MOSKWA

Josifa Wissarionowicza Stalina zawsze otaczała nieuchwytna aura władzy. Przynajmniej tak sądzili jego współpracownicy. Gdy przemierzał kremłowskie korytarze, aura ta wypełniała całą przestrzeń pomiędzy nim a jednym ochroniarzem dziesięć metrów z przodu i kilkoma kolejnymi z tyłu. Zetknięcie z nią zawsze wyglądało tak samo – każdy przypadkiem spotkany pracownik sownarkomu stawał pod ścianą z dłońmi na widoku. Rzadko który zdobywał się na powitanie: „dzień dobry, towarzyszu Stalin”.

Sam główny architekt świetlanej przyszłości świata nie zważał na nic. Ze wzrokiem utkwionym w dal przechodził obok, ledwo dostrzegając urzędników. Kto w takiej sytuacji przeszkadzałby w rozmyślaniach nad szczęściem mas pracujących Kraju Rad i przeniesieniem płomienia rewolucji w najdalsze części ziemskiego globu, do takiej Australii czy Nowej Zelandii, gdzie klasa robotnicza aż rwała się do wyrównania rachunków z wyzyskiwaczami? Powiedzmy wprost – nikt.

Teraz wszystko wyglądało podobnie, z tą drobną różnicą, że Stalin naprawdę myślał o doniesieniach z frontu, a nie nad przystawkami, jakie zaserwują mu podczas kolacji w Kuncewie.

Mars na jego czole pogłębił się od czasu, gdy doskonale przygotowana operacja mająca doprowadzić do przełamania impasu na froncie z winy niekompetentnych durniów zamieniła się w klęskę. Oczywiście, wynajdywano najróżniejsze usprawiedliwienia – a to rozpoznanie nie

stwierdziło obecności polskich jednostek pancernych w rejonie lądowania, a to siły I Korpusu Powietrznodesantowego były za słabe.

Wraz z napływającymi na bieżąco informacjami oblicza głównych strategów tężyły jak pośmiertne maski. Żukow kilkakrotnie wychodził do toalety, z każdym powrotem coraz bledszy i bardziej roztrzęsiony. Timoszenko trzymał się ostatkiem woli, a Nowikow proponował, że odbędzie lot bojowy nad terenem walk. Niezatrzymywany, opuścił pomieszczenia Kwatery Głównej Sztabu Generalnego i udał się na lotnisko, skąd odleciał sprawdzić, co zaszło. Rzucona poniewczasie sugestia, że zastępca ludowego komisarza obrony do spraw lotnictwa być może uciekł do Polaków, nie poprawiła humoru zebranych, chociaż na parę chwil odsuwała widmo natychmiastowej rozwałki w piwnicznych pomieszczeniach NKWD przy placu Łubiańskim.

Nowikow wrócił. O mało nie został zestrzelony, ale przynajmniej wykazał inicjatywę i poświęcenie.

Za to Kirił Mierieckow, zastępca ludowego komisarza obrony, którego staranny podpis widniał pod rozkazem o feralnej operacji, chodził z kąta w kąt, zastanawiając się, komu przyjdzie za to zapłacić. Do tej pory oberwało się głównie wykonawcom, co nie znaczy, że decydenci byli zupełnie bezpieczni. Więzienie, tortury i śmierć groziły każdemu bez wyjątku.

Korytarze Kremla były bardzo długie, więc wielki Stalin miał dużo czasu na rozmyślanie.

Sprawa Polski to raz, dwa to Finlandia. Z powodu niżu, który nadpłynął znad Atlantyku, w rejonie Zatoki Fińskiej lało prawie bez przerwy. Samoloty nie startowały, a sprzęt pancerny zapadał się w rozległych bajorach po same osie. Z tego samego powodu skuteczność artylerii spadła niemal do zera. Wszelkie działania zamierały niemal samoistnie, lecz Finom jakoś nie przeszkadzało to szarpać długich kolumn

rozciągniętych wojsk. I w Polsce, i na północy grzęzli w dobrze przygotowanej i zdeterminowanej obronie. Bezprecedensowo potężne siły, które przygotowali, nie zaszły daleko. Jeżeli szybko sam nie znajdzie wyjścia, to zapędzona w kozi róg generalicja gotowa była dokonać przewrotu. Mógłby uprzedzić ten ruch, na ich miejsce mianując następnych, ale tak naprawdę niewiele to zmieni.

Kłeska przygotowanego z takim trudem „marszu wyzwolenczego” podkopie jego autorytet.

Kolejnej szansy już nie dostanie. Te kundle skoczą mu do gardła i zagryzą. Przestanie być ojcem narodu, a zostanie – no właśnie, kim? Na szczęście mógł sobie pogratulować zapobiegliwości. Nie zatrzasnął wszystkich drzwi, miał jeszcze przyjaciół. Lepiej postawić na swoim małymi kroczkami, niż jednym skokiem wszystko zaprzepaścić.

Postara się przygotować grunt już teraz. Wszystkim zajmie się narkom spraw zagranicznych Mołotow i niemiecki ambasador w Moskwie Friedrich-Werner von der Schulenburg. Hitlerowi wystarczyło dać palec. Ciekawe, co weźmie nowy kanclerz Rzeszy?

Siemion Konstantynowicz Timoszenko wyszedł ze spotkania uspokojony. To dziwne, ale Stalin nie szalał. Był tak powściągliwy w mowie i gestach jak rzadko kiedy. Być może to zmyłka mająca uśpić ich czujność – spieszyliście sprawę, towarzysze, ale tym razem wam daruję. Nie, za tym wszystkim musiało kryć się coś więcej. Wewnętrznie drżał, a jednocześnie bawił go ten cały cyrk. Zwłaszcza postawa Żukowa. Pomysł wyszedł w końcu od niego. Gdyby się udało, obnosiłby się z sukcesem jak paw, nie pozwalając ani przez chwilę zapomnieć, kto jest autorem wielkiego zwycięstwa. Porażka spowodowała wszystko do właściwych proporcji, nie rozwiązywała jednak problemów.

Przynajmniej wiedział, że Polacy utrzymują na południu silne zgrupowanie pancerno-zmotoryzowane. Rozgrzani

sukcesem, mogą przejść do kontrofensywy. Co prawda wciąż dysponowali o wiele mniejszymi siłami, co jednak o niczym nie przesądzało. Oszczędnie gospodarowali rezerwami. Woleli oddać teren, niż stracić chociaż jedną dywizję.

RKKA teoretycznie powinna już być nad Wisłą, gdzieś pomiędzy Krakowem a Toruniem.

Przecież wcześniejsze studia i gry wojenne mówiły wyraźnie – przy tak zmasowanym uderzeniu obrona nie wytrzyma. Wszyscy tak twierdzili. Nawet on nie dopuszczał do siebie innego rozwiązania. Mobilizacji dokonano w pełnej tajemnicy. O terminie wiedzieli nieliczni, więc skąd tak dobre przygotowanie defensywne Warszawy? O zaskoczeniu nie było mowy. Co tak naprawdę zaszło? Agent obcego wywiadu? W Sztabie Generalnym? Chyba dwustu generałów stracono już na podstawie zarzutów o szpiegostwo, ale czy był wśród nich choćby jeden prawdziwy wywiadowca?

Przebiegł w pamięci ostatnie parę tygodni, starając się wyłowić jakieś niepasujące do całości elementy. Poza pracą prawie nie widział świata. Był raz w teatrze i raz na tej nieszczęsnej walce bokserskiej. Stawiał na Pielepina. Chłop jak byk, oby jak najwięcej takich, a pokonał go jakiś kogucik. Opuścił wtedy salę zniesmaczony do granic możliwości. Komentowano później wydarzenie niczym tezy ostatniego zjazdu partii. Byli tam wszyscy znajomi. Zaplanowano zwycięstwo, a wyszło kompletne rozczarowanie. Podobnie jak teraz.

Specjalista rozpoznania fotograficznego z Wydziału Studiów II Oddziału Sztabu Głównego Wojska Polskiego powoli, z namaszczeniem wyciągnął z szuflady biurka sporych rozmiarów lupę i jeszcze raz na chłodno przyjrzał się fotografiom. Od początku nie miał wątpliwości, ale wolał wszystko sprawdzić po pięć razy, niż raz się pomylić. Odbitki o wielkości 20 na 30 centymetrów przedstawiały spory fragment wschodniego węzła kolejowego Darnica na przedmieściach Kijowa.

Na niewielkiej przestrzeni zgromadzono kilkadziesiąt eszelonów, które zamiast iść na front, stały na bocznicach.

Tak wielki zator ewidentnie wynikał ze złej organizacji ruchu i małej przepustowości magistrali Kijów–Kraków. Ponieważ jednak zaopatrzenie dla pierwszego rzutu wojsk zostało zgromadzone w polowych składnicach tuż przy linii frontu, nowe dostawy, które obecnie docierały do Kijowa, musiały się wiązać z czymś innym. Najprawdopodobniej Sowieci szykują drugi rzut strategiczny, który po poważnym osłabieniu Armii Czerwonej w dotychczasowych walkach ma wziąć na siebie dokonanie ostatecznego przełamania. Niezliczone jednostki powoli docierały z odległych zakątków Kraju Rad.

Wystarczy rzut oka na fotografie, by wiedzieć, co się szykuje. Doskonała jakość zdjęć była zasługą rozpoznawczego Beaufightera, który niespodziewanie pojawił się nad Kijowem, przez nikogo nie niepokojony dokonał przelotu z dwoma nawrotami i odleciał z powrotem

do bazy.

Najwidoczniej działania polskich maszyn tak głęboko w przestrzeni powietrznej Sowietów nie mieściły się w głowie ich wojskowym. Jedna bomba rozpętałaby piekło. A dwie?

Po paru godzinach sprawa wylądowała na biurku generała Pełczyńskiego z odpowiednimi sugestiami. W końcu to on odpowiadał za wykorzystanie zdobytych danych, a szczegółowe informacje o drugim rzucie strategicznym stanowiły istotę problemu, nad którym właśnie się głowił. Na razie gromadzono wojska i sprzęt, podciągając wszystko bliżej zachodniej granicy, jednak nic nie świadczyło o chęci natychmiastowego wprowadzenia tych zasobów do działań.

Pierwszy rzut walczył i krwawił, tymczasem na zapleczu wciąż czekano. Z drugiej strony aktualnie walczące dywizje miały dość rezerw i sił do unicestwienia stojących naprzeciw Polaków, a jednak nie przeszkadzało to Armii Czerwonej przygotowywać kolejnych dywizji do nowych operacji.

Drobny problem związany z przepustowością linii kolejowych tylko pośrednio dotyczył Pełczyńskiego, nie byłby jednak sobą, gdyby nie spróbował go wykorzystać. Sięgnął po telefon i wykręcił wewnętrzny numer.

– Kalkus.

– Będiesz u siebie?

– Muszę pędzić na spotkanie.

– To ważne, a zajmie ci chwilę – Bóg raczy wiedzieć, jak długo zejdzie przyjacielowi na wysłuchiwanie żalów podległych mu dowódców.

– Może ja przyjdę do ciebie? – usłyszał w odpowiedzi.

– Dobrze, czekam – słuchawka opadła na widełki.

Ponownie przerzucił wszystkie fotografie. Rzędy cystern wyglądały tak zachęcająco...

Pokusa nie do odparcia. Potężna wyprawa bombowa na pewien czas wyłączyłaby z użytkowania cały węzeł kolejowy. Przywrócenie normalnego ruchu tą linią zabrałoby

im parę tygodni.

W dodatku zawsze wprowadziłoby to nieco chaosu, komplikacji, a co za tym idzie – spowolniłoby akcję i spowodowało dodatkowe straty wroga.

Okazja sama pchała się w ręce. W tym przypadku wiele zależało od Kalkusa i od tego, czym dysponuje w danym momencie. Generał Zając, odpowiedzialny za eskadry liniowe, czyli za wszystkie te, które nie znajdowały się przy armiach polowych, co prawda bardziej nadawał się do rozmowy z racji kompetencji, jako że w jego gestii leżało planowanie operacyjne i obrona powietrzna, niemniej Pełczyński był przekonany, że namawianie go do wielkiej akcji odwetowej, a zwłaszcza jej organizowanie trwałaby za długo. Z Kalkusem będzie mu łatwiej się dogadać.

– Dobrze, że jesteś – powiedział na widok kolegi. – Siadaj.

– Dosyć się nasiedziałem.

– Jak chcesz. Spójrz na to – podetknął dowódcy lotnictwa plik zdjęć. Ten nie zatrzymał wzroku na żadnym z nich dłużej niż na dwie, trzy sekundy.

– Piękne.

– To ma wystarczyć za cały komentarz?

– A co chcesz usłyszeć?

– Bierzmy się za tych sukinsynów – judził Pełczyński.

– Nie mówisz poważnie. To jest... – Kalkus odwrócił zdjęcie. – Kijów, no tak. Chcesz się porwać z motyką na słońce.

– Nie jesteś zainteresowany?

– Może i jestem, nie o to chodzi. Już na pewno zapomniałeś naszą ostatnią rozmowę.

Ledwie dajemy radę.

– To szczególna okoliczność.

– Każda jest taka. Najzwyczajniej w świecie brakuje nam środków. Niedługo zużyjemy całą rezerwę, jaką mieliśmy.

– Nie masz nic w zapasie? – Pełczyński zapytał cicho,

niemal konspiracyjnie.

– Jesteś upierdliwy jak moja żona. Szczere chęci nie wystarczą – pionowa zmarszczka przecięła czoło Kalkusa.

– Władek, pomyśl dobrze, bardzo cię proszę. Chociaż jeden dywizjon – złożył dłonie jak do modlitwy.

– Niczego nie obiecuję. Muszę się rozejrzeć.

– Oczywiście. Wierzę, że ci się uda – nareszcie pojawił się promyczek nadziei.

– Zadzwoń – lotnik zebrał do wyjścia. Faktycznie nie zabawił długo.

Kalkus minął się w drzwiach z adiutantem Pełczyńskiego. Oficer niósł przed sobą naręcze papierów.

– Tylko te najpilniejsze – zaznaczył na wstępie szef II Oddziału. – Reszta na popołudnie.

– Tak jest, panie generale – adiutant zdjął plik dokumentów z wierzchu. – To wymaga akceptacji.

Pełczyński nieco odsunął od siebie kartkę. Z wiekiem wzrok zaczynał płać mu figle. Jak coś źle odczyta lub pokręci, to konsekwencje dotkną nie tylko jego. Źródła w Berlinie zapowiadają, że w ciągu najbliższych paru dni do stolicy Niemiec przyleci z wizytą narkom spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow.

Musi wziąć do galopu ludzi z Referatu Zachód, żeby postarali się o jakieś szczegóły.

Kanclerz Hermann Göring, jowialny, sympatyczny sybaryta, potrafił jak jego poprzednik zaskakiwać wrogów i przyjaciół, przynajmniej na arenie wewnętrznej. Na razie wyszedł zwycięsko z walk o schedę po Hitlerze. Stała za nim większość niemieckiego sztabu generalnego – starzy, zawzięci Prusacy marzący o jednym: o rewanżu za traktat wersalski. Pewnie przebierają nogami z niecierpliwości, pragnąc udowodnić swoją wartość, a Göring będzie chciał im się odwdziżyć za poparcie.

O, to ciekawe. W Moskwie na wystąpieniu Kominternu

potępiono Polskę za praktykę masowego ludobójstwa, jakiego dopuszcza się na wziętych do niewoli jeńcach wojennych.

Nieprawdą jest, oczywiście, jakoby całe rzesze czerwonoarmistów się poddawały, lecz ci, którzy idą do niewoli, są mordowani, a tym już przebywającym w obozach odmawia się jakichkolwiek praw. Umierają setkami z głodu, chorób i zimna.

Jeżeli chodzi o ten chłód, to chyba przesadzili. W połowie lipca temperatura w nocy rzadko spadała poniżej dziesięciu stopni. Co do reszty, utrzymanie wciąż rosnącej ludzkiej rzeszy znacznie obciążało budżet kraju. Jak zacząć się żniwa, zatrudnią ich przy zbiorach – inaczej gospodarka, i tak stojąca na granicy katastrofy, runie pod ciężarem wojny. Wielu z nich już pracowało. Wielu z kolei zaciągało się do polskich formacji. Na tyły odsyłano jedynie część czerwonoarmistów, resztą zasilano tabory, służby łączności, ekipy remontowe. Nie pochwalał tego, ale też nie potępiał.

Podczas poprzedniej wojny z bolszewikami też tak było. O właśnie. Kolejny raport z Brześcia na temat niejakiego Tychenki Siemiona. Co też tym razem wymyślił? Pełczyński zamarł. Pochylił się naprzód i ponownie przebiegł wzrokiem raport. Jeżeli wszystko się potwierdzi, dostawali do ręki potężny atut. Jak na razie o całej sprawie wiedziało niewielu. Chodziło o zachowanie bezwzględnej tajemnicy. Wszystko wymagało wielu przygotowań, rozmów i analiz, ale coś mu mówiło, że znalazł swojego Antonowa. Najlepiej, jak natychmiast ściągnie Tychenkę do Warszawy na konsultację. Porozmawiają i uzgodnią szczegóły.

Na biurku odezwał się telefon.

– Tak.

– Słuchaj, mam rozwiązanie twoich problemów – w głosie Kalkusa dało się słyszeć ulgę.

– Dawaj.

– Otóż od dzisiaj do dyspozycji mamy nowe maszyny. Przeprowadził je prosto z Londynu twój pupil.

– Bokser – zaraz skojarzył Pełczyński.

– Właśnie – przytaknął Kalkus. – Na razie nie zostały wciągnięte do linii. Mają brytyjskich pilotów i upłynie dzień albo i dwa, zanim...

– To mi wystarczy.

– Jak chcesz.

– Znajdź mi tylko dobrych ludzi.

– Myślisz, że to takie łatwe?

– Sprawa jest na wczoraj, rozumiesz? Na wczoraj – odparł Pełczyński, jednak zaraz sobie przypomniał, że kumpel bierze udział w spotkaniu, bo w tle usłyszał referującego oficera.

– Trudno z tobą wytrzymać.

– Mam to po matce.

– Do wieczora będę miał konkrety – obiecał lotnik. – Na kiedy planujesz... planujemy akcję?

– Jutro z samego rana – wypalił szef wywiadu.

– Bez przesady, Tadziu. Już za bardzo cię ponosi – zakończył Kalkus, odkładając słuchawkę.

46
LUBLIN-KIJÓW

Ten kawałek gruntu został zarezerwowany wyłącznie dla nich. Teren wytypowano dużo wcześniej i poczyniono pewne przygotowania. W leśnym kompleksie przylegającym do polowego lotniska ukryto i zamaskowano samochodowe cysterny. Bomby i amunicję do działek i karabinów dowieziono dużo później. Dowództwo eskadry zajęło jedyny murowany dom w okolicy, z którego uprzednio wykwaterowano mieszkańców, obsługę naziemną umieszczono w stodole i pod namiotami.

Osobny problem to piloci. Odkomenderowani z dotychczasowych jednostek, przybywali czym się dało, przeważnie transportem kołowym, paru podrzuciły samoloty dyspozycyjne, a jeden przyjechał z Mielca pociągiem.

Dowódcą został Alfred Peszke z VI Dywizjonu Bombowego, specjalnie z tej okazji awansowany na majora, a jego zastępcą Marek Bagiński jako mający największe doświadczenie z DH.98.

Próbné loty rozpoczęli od razu, gdy tylko pierwsi nowi piloci dotarli do eskadry. Na zgranie się zostało niewiele czasu – front grzmiał w oddali hukami setek dział.

Dla Marka nastała pora wytężonej pracy. Wcześniej też dawał z siebie wszystko, ale teraz dosłownie wypruwał sobie żyły. Każdy nowy pilot musiał odbyć przelot w jego towarzystwie. Na szczęście trafili tu najlepsi. Największe wyzwanie stanowiły angielskie napisy i skale na wskaźnikach oraz ich odmienne ustawienie na tablicy. Do tego dochodziły inne parametry aerodynamiczne, ale nie było

w tym niczego, czego nie dałoby się opanować w ciągu paru godzin nauki, choć o mały włos nie rozbili jednego Mosquito. Ładując ze zbyt dużą prędkością, tak grzmotnęli o ziemię, że samolot odbił się jak kangur i ponownie wzniósł w powietrze. Dopiero zdławienie przepustnicy zapobiegło kraksie. Ponowny taki „siad” i połamaliby podwozie. Nikt nawet nie chciał myśleć o konsekwencjach. Major obejrzał maszynę i nic nie powiedział, tylko walnął pięścią w kadłub i coś tam wyseplenił, po czym odszedł, wezwany do telefonu. Reszta miała takie miny, jakby groziło im przeniesienie do kompanii karnej.

Wkrótce Peszke dobrał załogi. Z dziesięciu pilotów dwóch stanowiło niezbędną rezerwę, a ośmiu zasadniczy trzon eskadry. Jakie motywy kierowały dowódcą – tego Marek nie wiedział.

Sam był zadowolony. Na miejsce MacDonalda dostał chorążego Jana Puławskiego, przeniesionego w natychmiastowym trybie z lotnictwa armii odwodowej.

Jako nawigator Puławski sprawował się doskonale. O wiele gorzej szło mu opanowanie awioniki Mosquito, jednak to akurat wziął na siebie Bagiński. Skrzydłowy – porucznik Wacław Fuglewicz – był niezły, prawie dorównywał majorowi. Zresztą przyszedł z nim z VI Dywizjonu.

Zgromadzeni wieczorem w pokoju odpraw, mogli już o sobie myśleć jako o zgranym zespole. No, w miarę zgranym, gdyż brak było najważniejszego czynnika – zaufania. Mało o sobie wiedzieli. Kilku znało się z widzenia, kończyli przecież tę samą Dęblińską Szkołę Orląt, ale wcześniej ze sobą nie współpracowali. Nawet jeśli paru gdzieś tam się ze sobą zetknęło w tych samych jednostkach, to z pewnością nie stało wtedy przed nimi takie wyzwanie jak teraz.

Major Alfred Peszke odsłonił sztabową mapę przypiętą do ściany i fotografie przyklejone do stojącej obok tablicy.

– Darnica, wschodni węzeł kolejowy Kijowa – powiedział,

obrzucając spojrzeniem lotników. – Obiekt nie został wybrany przypadkowo. Tylko Bóg raczy wiedzieć, jak zwiadowczemu Beaufighterowi udało się zapuścić tak daleko w przestrzeń powietrzną Sowietów.

Te zdjęcia, które widzicie, stanowią jedyny dowód na to, co się tam dzieje. Zatem potwierdzenia, czy rozładowali ten korek, nie ma i nie będzie. Przypuszczamy, że nadal wszystko wygląda tak, jak tutaj widzicie – Peszke przeszedł na drugą stronę, do tablicy. – Już pewnie wiecie, jakie mamy zadanie.

Usłyszał szmer głosów.

– Przelecimy nad tym składowiskiem i spuścimy sukinsynom na głowy parę bomb.

Wybuchł harmider jak w kurniku. Chwilę trwało, zanim się wygadali. Nie przeszkadzał.

W końcu musieli przyswoić informacje i wewnętrznie przygotować się do zadania.

– Zanim przejdę do szczegółów... – przemówił, kiedy już nieco ucichli. – Pragnę, byście wiedzieli, że z tą akcją dowództwo wiąże spore nadzieje.

– Panie majorze, mam pytanie – porucznik Feret, skrzydłowy dowódcy, nieznacznie obrócił się na krześle.

– Słucham.

– Jakie siły mają brać w tym udział? Bo my zajmiemy się chyba tylko rozpoznaniem, ewentualnie potraktujemy to jako wstęp do czegoś większego?

Znalazł się cwaniaczek. Dobrze, skoro chce wiedzieć...

– Rozpoznanie, wstęp, rozwinięcie i zakończenie, wszystko w jednym – odpowiedział Peszke. – Powiem raz i wyraźnie: tylko my, nikt inny.

– Nie bardzo jestem w stanie to sobie wyobrazić – Feret wciąż narzekał. – Sami w cztery maszyny. To zadanie dla czterdziestu Łosi, a i tak podołałby z trudem.

– Doskonale was rozumiem, poruczniku. Mam podobne

zdanie. Problem w tym, że nie mamy tych czterdziestu bombowców. Nawet dwadzieścia nie doleci tak daleko na wschód. Szkoda maszyn i załóg.

Dopiero teraz dotarł do nich sens jego słów. PZL-37 zabierał do dwóch ton bomb, DH.98 tylko 450 kilogramów, za to leciał o sto kilometrów na godzinę szybciej od Łosia. Tak szybko jak najnowsze myśliwce przeciwnika, a znacznie prędzej od starszych typów. Zamiast klasycznego nalotu szykowano raczej powietrzną dywersję.

– Wykonamy obejście od południa – wyjaśnił Peszke. – Od tego miejsca zaczyna się teren zabudowany. Z fotografii nie wynika, by rozstawiono tam działa przeciwlotnicze. Jak widzicie, parę baterii zainstalowano dalej na północy – wskazał odpowiednie miejsce. – Oczywiście, należy się liczyć z ogniem broni maszynowej oddziałów piechoty i pociągów pancernych.

Bagiński przenosił spojrzenie z mapy na zdjęcia, starając się ułożyć sobie w głowie w miarę dokładne współrzędne wszystkich rozpoznanych obiektów.

– Na ile składów oceniamy zgrupowanie?

– Naliczyliśmy około czterdziestu eszelonów na stacji i w pobliżu. Każdy z nich to jakieś pięćdziesiąt wagonów.

Sporo. Dlatego wszystkim tak się śpieszyło.

– Panowie, szczegóły są następujące...

Sześć godzin wypoczynku to niewiele, zwłaszcza po tak intensywnej pracy i gdy trzeba wstać o trzeciej nad ranem, a nadmiar emocji nie pozwala szybko zasnąć. O dziwo, umysł zachował świeżość i jasność.

Przepłukał twarz zimną wodą w stalowej miednicy i zszedł na dół. Przełknął kanapkę i popił herbatą. Chorąży Puławski zszedł jako następny. Po nim reszta. Zdaje się, że nie tylko on nie mógł usnąć. Major wyglądał, jakby w ogóle nie przyłożył głowy do poduszki, doglądając wszystkich spraw.

– Za dziesięć minut przy maszynach – obwieścił szef

personelu naziemnego.

Podporucznik Marek Bagiński wyszedł na dwór. Poczuł chłód wczesnego poranka. Było zimno jak na wysokości trzech tysięcy metrów. Wzorem brytyjskich pilotów zarzucił na ramiona lotniczą kurtkę podbitą futrem. Pozostali paradowali w skórzanych kombinezonach, patrząc na niego zazdrośnie. Wyróżniał się. Wiedział o tym i na swój sposób czuł się z tym dobrze.

Samoloty wytoczono już na otwartą przestrzeń. Paliwo, amunicję i bomby uzupełniono wieczorem pod czujnym okiem załóg. Na dobrą sprawę wszyscy się jeszcze uczyli, a ostateczną wyrocznię niemal we wszystkim był oczywiście on sam. Niejednokrotnie wyjaśniał zupełnie banalne czynności wszystkim razem i każdemu z osobna. Powinien zostać instruktorem na pełnym etacie albo poprosić Jaspiera o dostarczenie kilku z Anglii. Musi szepnąć słowo majorowi. Pomysł miał ręce i nogi. To go odciąży i przyspieszy cykl szkoleń. Przecież na czterech maszynach się nie skończy.

Wdrapał się do środka i zajął miejsce w lewym fotelu pilota. Do wylotu pozostały minuty.

Przy starcie dywizjonu wszystko trwało o wiele dłużej, a teraz zaczynali lot parami. Obsługa dawała znaki światłem latarek. Wystarczyło zwiększyć ciąg silnika i uważnie śledzić, gdzie znajduje się poprzędek i skrzydłowy.

Pierwszy startował Peszke, Bagiński dowodził drugą parą. Światelka prowadzącego DH.98 błysnęły na początku pasa wzlotów. Marek nie spuszczał z nich oka. Teraz już wszystko poszło szybko. Mosquito majora nabrał prędkości i podobnie jak jego skrzydłowy dosłownie po paru sekundach już uniósł się ponad ziemię.

Kolej na nich. Dźwignia przepustnicy poszła w przód. Silnik zwiększył obroty. Podskoczyli raz czy dwa na nierównościach. Każde takie szarpnięcie paraliżowało. Serdecznie tego nie znosił.

Zawsze irracjonalnie bał się, że maszyna rozpadnie się na kawałki, a on, zamiast przeżyć upojny lot, skończy z tyłkiem w krzakach.

Minęli szerokim łukiem od północy Lublin, który wciąż płonął po wczorajszym bombardowaniu. Z wysokości tysiąca metrów pożary wyglądały jak rozrzucone po mieście mniejsze i większe ogniska. Od kiedy DH.98 przyziemiły parę kilometrów dalej, Marek nie potrafił wyzbyć się obawy, że któryś ze zwiadowczych samolotów Rosjan dostrzeże ich akrobacje, ściągając im na głowę dodatkowe kłopoty. Co za problem wysłać dodatkowy pułk bombowy do zaorania polowego pasa startowego. Jedyne kłopot to zlokalizowanie miejsca. Reszta to kwestia przypadku: albo się uda, albo nie. Analogia do tego, co sami mieli zrobić, nasunęła się niejako sama.

Lublin od Kijowa w linii prostej dzieliło trochę ponad pięćset kilometrów, co przy prędkości przelotowej 550 kilometrów na godzinę i nieco dłuższej trasie, ze zwrotem na południe, nie powinno im zająć więcej niż godzinę. Nad celem, w zależności od tego, jak pójdzie, zejdzie im kolejne parę minut. Paliwa w zbiornikach mieli dość, by pokonać dwukrotnie całą trasę tam i z powrotem.

W końcu doczekał tej chwili. Pierwsza akcja bojowa, i to od razu o sporym znaczeniu.

W końcu nie po to dał z siebie wszystko, by siedzieć za biurkiem.

Poprawił się w fotelu. Nawet na chwilę nie odrywał spojrzenia od samolotu na czele. Nie chciał go zgubić w panujących wciąż ciemnościach.

– Tu Moskit Jeden-Jeden – po raz pierwszy usłyszał w słuchawkach głos prowadzącego eskadrę majora Alfreda Peszke. – Wchodzimy na pięć tysięcy i zwrot na jeden-siedem-dwa. Pięć tysięcy to szesnaście czterysta na przyrządzie.

Zgodnie z poleceniem ściągnął wolant i rozpoczęli wspinaczkę o kolejne trzy tysiące metrów, jednocześnie korygując kurs. Dobrze, że dowódca od razu im przeliczał metry na stopy, bo chyba wszyscy mieli z tym problemy. Pewnie jako jedyny zdażył sobie gdzieś między zegarami przypiąć kartonik z przelicznikiem. Miał taki jeszcze z Londynu.

– Myślałem, że zobaczę chałupę – chorąży Jan Puławski wyglądał na zmartwionego.

– Jesteś z Lublina?

– Nie. Ze Lwowa.

– No, to faktycznie masz pecha.

– Od pół roku nie byłem w domu. Raz dzwoniłem, ale nikt nie odbierał. Nawet nie wiem, czy żyją.

Marek nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie martw się, wszystko będzie dobrze, czy coś innego z tych oklepanych banałów? Jako pocieszyciel okazywał tyle współczucia co buldożer. Nie rozczulał się nad sobą, to i nie widział powodu, by inni mieli to robić. Zawsze latał sam, więc problem drugiego pilota czy nawigatora dla niego nie istniał. Taki styl bardzo mu odpowiadał.

Dopiero teraz...

Zerknął na zegarek. Nawet nie zauważył upływającego czasu. Do Kijowa, jak obliczył, zostało trzydzieści pięć minut. Na zewnątrz było już zupełnie jasno, tylko ziemię na dole spowijał blednący z każdą chwilą cień. Zachwycający widok.

– O cholera!

Przebiegając wzrokiem po strzępkach różowawych chmur, dostrzegł wylatującą z pierzastych obłoków maszynę, która na pewno nie należała do nich. Dwusilnikowa niczym DH.98, leciała znacznie niżej. Zaraz za pierwszą ukazała się następna, potem jeszcze jedna i w końcu cała eskadra. Za nią następna i kolejna. Samoloty sunęły dosłownie jak na paradzie z okazji rocznicy wybuchu rewolucji. Bagiński

sięgnął po małą lornetkę, którą przezornie zabrał ze sobą. Od razu poznał typ: Pe-2. Ciągnęły prawdopodobnie nad Lwów. Już się nie dziwił zdenerwowaniu Puławskiego.

Obie formacje minęły się jak gdyby nigdy nic. Petliakowcy leciały bez eskorty myśliwców i nawet po dostrzeżeniu eskadry nie miały jak zareagować, a może piloci wzięli ich za swoich, powracających z jakiejś misji. Było to nader prawdopodobne, szczególnie że samoloty typu Mosquito nie widniały w katalogu polskiego uzbrojenia, a Sowieci testowali tyle nowych konstrukcji, że mało kto z dowódców WWS, nawet średniego szczebla, mógł być pewien przynależności mijanej maszyny.

Polacy w ostatnich dwudziestu minutach dolotu skorygowali kurs i rozpoczęli schodzenie na pułap dwustu metrów, z którego zaplanowano rozpoczęcie nalotu.

Marek dostrzegł daleko na wschodzie szarą wstęgę Dniepru przepływającego przez Kijów.

Odetchnął głęboko kilka razy, mocniej ścisnął wolant i wbił nogi w orczyki. Czekał, aż Peszke zacznie zmieniać kurs, przechodząc już nad przedmieściami. Pochylony przód Mosquito dawał doskonałą perspektywę. Pilot widział wszystko na kilkadziesiąt kilometrów wkoło. Gdzieś tam jest ta magistrała kolejowa. To, co w pierwszym momencie wziął za rząd baraków, po chwili ułożyło się w sunący skład kolejowy. Spojrzał bardziej na prawo i w końcu dostrzegł kłębówisko lokomotyw, lor, cystern i wagonów. Darnica.

Zdjęcia nie kłamały. Wszystko wyglądało tak samo. Jednak oglądany na własne oczy węzeł kolejowy robił znacznie większe wrażenie.

Pierwsze dwa DH.98 przystąpiły do ataku na pełnej prędkości. Pięćdziesięciokilogramowe bomby poszły w dół. Nie sposób było nie trafić w tak wielki i nieruchomy cel. Pierwsze ładunki w sekundowych odstępach spadły co kilkadziesiąt metrów na wagony załadowane żołnierzami.

Skrzydłowy majora porucznik Feret o trzydzieści metrów na lewo od dowódcy robił to samo, pokrywając ładunkami pas o podobnej długości i szerokości.

– Moskity Trzy i Cztery – usłyszał w słuchawkach – Do ataku!

Nie było sensu walić to samo miejsce. Polecieli dalej, w lewo od trasy Fereta.

Horyzont zawęził się jak w tunelu. Wszystko z boku migało, rozmazując się w kolorowe pasy.

– Jasiu, na moją komendę...

Nie usłyszał odpowiedzi. Przed sobą widział skład złożony z samych otwartych lor, na których ustawiono czołgi. Uwaga – na sąsiednim torze stał pociąg pancerny, którego wieżyczki z ciężkimi karabinami maszynowymi na wagonach szturmowych zaczęły namierzać przeciwnika.

Sekundy rozciągnęły się w minuty. Górą przeszły pierwsze smugowe serie oddane gdzieś z boku.

Kolejne z prawej strony – dołem.

W ciągu sekundy zmniejszyli dystans.

– Teraz!

Obaj poczuli szarpnięcie, kiedy bomby poszybowały ku ziemi. Wlecieli w chmurę dymu powstałego na skutek wcześniejszych eksplozji. Kątem oka widział detonacje na prawo, tam gdzie pierwszy nalot przeprowadził Peszke i Feret. Oby im poszło równie dobrze.

– Zwrot.

Odeszli w lewo i w górę, wychodząc poza płataninę torów.

Pozbyli się bomb, ale to jeszcze nie znaczyło, że zakończyli akcję. Cztery działka Hispano kalibru 20 mm i cztery karabiny maszynowe kalibru 7,7 mm zamontowane w kadłubie to potężna broń. Atakować mieli podobnie – parami. Indywidualne naloty zarzucili już na etapie planowania.

Mieli operować na tak małej wysokości i z tak dużą

prędkością, że do zderzenia z nadlatującym z innego kursu samolotem wystarczyłoby drgnięcie ręki.

Bagiński położył maszynę na skrzydło i skręcił, żeby lecieć równolegle do linii wschód–zachód, wzdłuż magistrali kolejowej. Wysunął klapy, by zwolnić i chociaż rzucić okiem na skutki ataku. Musiał jakoś wypracować pozycję do ponownego nalotu. Skrzydłowy szedł za nim jak wierny pies.

Z przeciwka schodziła w dół pierwsza para, błyskając działkami. Przeciwpancerne i zapalające pociski masakrowały ludzi i rozbijały sprzęt, siekąc stalowymi odłamkami. Mimo ponowienia ataku celów nie brakowało. Od początku oceniano liczbę wagonów na około dwa tysiące. Nawet po zlikwidowaniu zatoru wciąż pozostałyby setki celów, jednak z tego, co widział, zator trwał w najlepsze. Chyba puszczono składy zaopatrzeniowe jednym torem na zachód, co zobaczył tuż przed Darnicą, lecz reszta tkwiła w miejscu.

Za drugim razem nie poszło już tak gładko. Maszyną zaczęło rzucać w dół i w górę na skutek silnych kominów powietrznych nad płonącymi wagonami, ale nie przeszkadzało im to w wypruciu kilku serii w stronę eszelonu załadowanego przykrytymi plandekami działami i ciężarówkami.

Szkoda, że nie było ich więcej, pod tym względem Feret miał stuprocentową rację.

Czterdzieści PZL P.37 z powodzeniem mogła latać w tę i z powrotem, przez godzinę okładając węzeł kolejowy, a robota i tak nie zostałaby zakończona.

Nagła detonacja zaskoczyła Marka. To nie artyleria przeciwlotnicza. Pewnie zaczęto strzelać do nich szrapnelami z haubic.

– Widziałeś?! – wykrzyknął Puławski.

– Trzymaj się dobrze.

W celowniku ujrzał rząd wagonów. Lecieli równolegle do

nich i poszczególne składy zlewały się w jeden, długi ciąg. Nacisnął spust raz. Poprawił. Trafił, chociaż nic się nie wydarzyło.

– Moskity, odchodzimy – dał sygnał dowódca.

Nagły zwrot i Marek obrócił głowę, żeby choćby przez chwilę podziwiać zniszczenia.

Peszke i Feret zbliżali się od wschodu, już w ostatnim podejściu. Za chwilę mogły się pojawić sowieckie myśliwce. Nie warto niepotrzebnie kusić losu, lepiej odlecieć, zanim wyprują całą amunicję.

Już wychodząc poza strefę, zobaczył, jak jedynym wolnym torem podąża nowy skład, i to nie było taki. Dwie lokomotywy i co najmniej sto wagonów samych olbrzymich cystern. Tego nie mógł zostawić.

Myśliwcem szarpnęło, ale Bagiński zignorował przestrzelinę w skrzydle. Zatoczył ciasne koło, żeby zająć pozycję. Akurat wolny tor to ten skrajny z prawego końca. Dylemat: lokomotywy czy cysterny, trwał krótko. Odrobinę skorygował kurs. Palce musnęły spust. Pierwsza lokomotywa oberwała. Potężny dieslowski silnik został przestrzelony.

Niebezpieczeństwo pojawiło się zupełnie niespodziewane. Ze stojącego obok składu wyskakiwali żołnierze z erkaemami i cekaemami, zajmując pozycje pomiędzy wagonami. Część wspinała się na dachy. Powietrze wokół samolotów zgęstniało od chmur ołowiu, wypływającego przez dziesiątki karabinów. Co chwilę czuli trafienia, coraz mocniejsze, z płatowca wydobywały się dźwięki uderzeń, to głuche, to metaliczne i dźwięczne.

– Jasiu, żyjesz?

Brak odpowiedzi.

– Jasiu, do cholery...

Nie spuszczał spojrzenia z obłych cystern, starając się wypracować kolejną pozycję. Jest.

Regularnie, co sekundę, działka DH.98 wypływały krótkie

serie. Żołnierze już nie strzelali. Zaczęli uciekać, kiedy eksplodował pierwszy zasobnik z lotniczym paliwem. Trafił kilka kolejnych, mniej więcej co czwarty-piąty wagon, wywołując całą serię eksplozji. Zanim zdążył o tym pomyśleć, dopadła go fala uderzeniowa ostatniego wybuchu. Natychmiast stracił co najmniej pięćdziesiąt metrów z pułapu i o mało nie wyrzwał w dachy wagonów. Chryste! Żołądek podszedł mu do gardła.

Prawie wyrwał dźwignię przepustnicy w desperackiej próbie zwiększenia prędkości, w porę powstrzymując się przed poderwaniem samolotu, bo bez siły nośnej po prostu natychmiast zwałiłby się na ziemię. Nos myśliwca w końcu podniósł się i Bagiński, wreszcie odetchnąwszy, mógł nabrać wysokości. Udało się.

– Widziałeś?! – wykrzyknął ucieszony.

– Moskity, odwrót. Powtarzam: odwrót, do cholery!

Jasne. Nic tu po nich. Nie zwalniając już, ciągle lecąc pełną mocą silników, obrał nowy kurs i podążył śladem prowadzącego. Odetchnął.

– Janek, nic ci nie jest? – spojrzał na kolegę.

Puławski wisiał na pasach. Głowa pochylona, ręce spuszczone. Potrząsnął jego ramieniem.

Nie wyczuł oznak życia. Zakłopotany, ponowił próbę. Jak do tego doszło? Przebiegł wzrokiem zegary w poszukiwaniu informacji o uszkodzeniach. Nic nie znalazł. Skąd więc ten pocisk? Na dalsze rozterki zabrakło czasu. Sowieckie MiG-i zaatakowały ich z przodu i od strony słońca.

Przestrzeń przeszły pierwsze serie.

Bagiński rzucił maszynę w lewo. Parę kolejnych dziur w skrzydle zachwiało maszyną, nie na tyle jednak, by przerwać upragniony lot do wolności. Rosjanie schodzili z góry pojedynczo jak sępy, na szczęście bez koordynacji i planu. Każdy polował na własną rękę. Mosquito Fereta zanurkował w dół i na pełnej mocy silników oderwał się od

nieprzyjaciela. Peszke paroma akrobacjami zmylił goniących i jak tylko się dało, odpowiadał ogniem.

Własnego skrzydłowego porucznika Fuglewicza Marek zgubił w ferworze walki. Tak to jest, gdy na zgranie załóg pozostaje jeden dzień. Niespodziewanie znalazł się tuż za majorem. Jeden z MiG-ów przestał kontrolować przestrzeń wokół siebie i wyszedł Bagińskiemu wprost na celownik. Krótka seria rozerwała samolot na strzępy. W tym czasie Peszke odstrzelił kolejnemu MiG-owi skrzydło. Reszta odpuściła i rozpierzchła się na boki.

Major zamachał skrzydłami. Marek zajął pozycję po jego prawej stronie. Znalazł się też skrzydłowy, który przedarł się przez zaporę trzech wrogich samolotów z roztrzaskanym radiem i uszkodzonym silnikiem. Zeszli nisko, na sto pięćdziesiąt metrów, i obrali kurs powrotny. Nie było jeszcze szóstej rano, a dla polskiego lotnictwa już był to niebywale udany dzień.

W południe pierwsze raporty przeszły przez ręce Pełczyńskiego. Dylemat – iść z tym do naczelnego wodza i przekazać mu pomyślnie wieści czy raczej nie iść i pozostawić sprawę jako argument w nieuniknionej dyskusji o tym, z jakiego powodu „dwójkarz” miesza się do planów operacyjnych, był trudny do rozwiązania. W końcu postanowił poczekać. Ktoś na pewno pochwali się sukcesem, bo – jak wiadomo – ma on zawsze wielu ojców. Pytanie tylko, czy aby na pewno był to sukces. Sprzętu i ludzi wroga zniszczyli co niemiara. Kolejne loty rozpoznawcze nie dotarły już tak blisko celu jak wcześniej, w powietrzu pełno było rozjuszonych myśliwców WWS, ale już z daleka widać było czarne słupy dymu nad całą okolicą. Można śmiało założyć, że ogień strawił wszystko, co Sowieci zgromadzili w Darnicy. Tylko co z tego, skoro na całej linii zaplecza ruszyły te transporty, które do tej pory stały i czekały na swoją kolej. Zatem swoim spektakularnym zwycięstwem osiągnęli skutek przeciwny do zamierzonego. Westchnął zrezygnowany. Potrzeba zaczerpnięcia świeżego powietrza sprawiła, że zdecydował się wyjść z gmachu.

- Zadowolony? – z boku usłyszał nadchodzącego Kalkusa.
- Prawdę mówiąc, tak sobie – odparł zupełnie szczerze.
- I ja mam mieszane uczucia. Ale robota pierwszorzędna.
- Właśnie. Taktyczny sukces. Tego się trzymajmy – powiedział szef II Oddziału.
- Pójdiesz z tym do starego?
- Nie, zdecydowanie nie. Niech zrobi to ktoś inny.

Popołudniowa odprawa u Śmigłego rozpoczęła się z parominutowym opóźnieniem. Winny, czyli sam wódz naczelny, nie okazał zakłopotania. W końcu nie musiał się tłumaczyć z niczego i przed nikim.

– Panowie, tylko proszę krótko.

Tak bladego i najwyraźniej niedysponowanego Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych nikt jeszcze nie widział. Trudno powiedzieć, co było tego przyczyną – na pewno nie używki czy hulaszczy tryb życia. Śmigły był na to zbyt odpowiedzialny. Najprawdopodobniej dały o sobie znać kłopoty z sercem. Teraz, kiedy zewsząd leciały na niego gromy, a sytuacja z każdą godziną stawała się coraz poważniejsza, musiał cały czas mieć nerwy napięte jak postronki.

– Generale, proszę.

Szef Sztabu Głównego Wacław Stachiewicz przejął na siebie ciężar prowadzenia spotkania.

– Nie jestem optymistą – zaczął od razu grobowym głosem, na co Śmigły zaraz zareagował jeszcze bardziej zboląłą miną.

– Bez natychmiastowej pomocy grozi nam klęska.

– Czego nam potrzeba?

– Co najmniej trzydziestu dobrze wyekwipowanych dywizji francuskich lub angielskich. Do tego pięćdziesięciu dywizjonów lotniczych. To minimum, jeżeli chcemy myśleć o utrzymaniu dotychczasowych pozycji. W przeciwnym razie nie ręczę za wytrzymałość frontu. Zwłaszcza na północy wszystko trzeszczy w szwach.

– Wspomniał pan o trzydziestu dywizjach – powiedział Pełczyński.

– Taka jest ocena moja i pułkownika Jaklicza – zastrzegł Stachiewicz.

– Dlaczego nie czterdzieści albo i pięćdziesiąt?

– Nie rozumiem.

– Właśnie widzę, że pan nie rozumie. Jeżeli nie potrafi pan

prować wojny, wykorzystując własne zasoby materiałowe i ludzkie, a sukcesu upatruje w interwencji, to ja nie bardzo wiem, co pan robi na stanowisku szefa sztabu.

Twarz Stachiewicza stężała. Nikt nigdy nie wytknął mu jeszcze błędów tak bezpośrednio.

– Powiedziałem tylko, jak oceniam skalę niezbędnej pomocy, którą przecież nam obiecano.

– Czyli jak przybędą tylko trzy bądź cztery dywizje, to pan nie bierze odpowiedzialności za wynik starcia?

– Panie generale, proszę powiedzieć, do czego pan zmierza

– Śmigły wziął w obronę szefa sztabu.

– Oglądanie się na pomoc innych nie jest żadnym wyjściem z sytuacji. Jest nonsensem, o czym wszyscy dobrze wiemy. Oczywiście, należy naciskać na sojuszników w sprawie sprzętu i wsparcia. W końcu to my prowadzimy tę wojnę, ale nie sądzę, by wysłali do nas regularne oddziały. Najwyżej kilkuset specjalistów. Jesteśmy zdani na siebie jak w 1920.

– Anglicy wysłali do Francji korpus ekspedycyjny.

– Przez kanał, panowie, przez kanał. I to w obliczu bezpośredniego zagrożenia. A nie przez dwa morza i wąskie cieśniny. Nie mamy też co liczyć na pogodę jak Finowie czy też na korzystne ukształtowanie terenu. Zawsze znajdzie się dziura, przez którą ci kałmucy przeleżą. Zwłaszcza taka masa kałmuków.

– Wciąż możemy cofać się za linię wielkich rzek.

– To jedynie w ostateczności – powiedział pułkownik Jaklicz, podnosząc wzrok znad notatek. – Jak na razie sytuacja nie zmusza nas do tak radykalnych rozwiązań.

– Rozumiem, generale – to Śmigły powiedział do Stachiewicza – że pan podtrzymuje swoje zdanie.

– Jak najbardziej.

– Minister Beck będzie w tej sprawie interweniował, ale co do reszty rację ma chyba generał Pełczyński, mówiąc o zdaniu się na własne siły i środki.

– Wszelkie możliwe oddziały zakończyły mobilizację. Sklecimy coś z nadwyżek.

W składnicach uzbrojenia i punktach mobilizacyjnych dysponujemy kilkuset działami. Gorzej ze sprzętem pancernym i lotnictwem. Tu wykruszamy się najszybciej.

– Pierwszy z brytyjskich transportowców jest już w Gdyni – powiedział Jaklicz. – Przywiózł głównie amunicję i bomby lotnicze. Parę samolotów i ciągników w skrzyniach. Następne płyną.

– Parę... Dobrze i to... – stwierdził Pełczyński.

– Panowie – Śmigły z wymuszonym spokojem przeszedł do sedna. – Na chwilę obecną nic się nie zmienia. Pozostajemy tam, gdzie do tej pory. Wszystkie odwroty proszę konsultować bezpośrednio ze mną – rumieniec oblał oblicze naczelnego wodza. Widać zaczął dochodzić do siebie. – Nie będę tolerował tchórzostwa i głupoty. Proszę to sobie zapamiętać.

Pełczyński nigdy nie sądził, że dożyje takiej chwili. Owszem, myślał o tym, brał pod uwagę w kalkulacjach i nieraz rozpatrywał na zimno, lecz jakoś w ostatecznym rozrachunku nie sądził, że kiedyś ten moment – choć tak prawdopodobny – jednak nadejdzie. Na razie za nimi była pierwsza runda. Ani nie przegrali, ani nie wygrali. Jakoś sobie radzili. Czas pokaże, co przyniesie jutro.

POSŁOWIE

Rok 1941 to nie rok 1939. Od początku zdecydowałem się na pewne uproszczenie – wszystkie autentyczne postacie zajmują takie same stanowiska jak dwa lata wcześniej.

W rzeczywistości byłoby to oczywiście zupełnie niemożliwe. Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że zaplanowane na 1940 rok wybory prezydenckie przemodelowałyby polską scenę polityczną. Odpowiedź na pytanie, kto wówczas zostałby prezydentem: Śmigły-Rydz (o ile jeszcze by żył), Kazimierz Sosnkowski czy Eugeniusz Kwiatkowski, a kto generalnym inspektorem sił zbrojnych, pozostaje jedynie w sferze przypuszczeń i domysłów. Zmiana na stanowisku naczelnego wodza (Sosnkowski czy raczej mocno promowany przez Śmigłego Bortnowski) to również zmiana szefa Sztabu Głównego. Stanowisko to mógłby objąć Wincenty Kowalski lub Stanisław Grzmot-Skotnicki. To również skutkowałoby przetasowaniami wśród dowódców poszczególnych armii oraz dowódców dywizji i grup operacyjnych i daje pole do dalszych spekulacji. Całą tę wyliczankę podaję za pracą Tymoteusza Pawłowskiego „Armia Marszałka Śmigłego” i do niej odsyłam wszelkich zainteresowanych.

Generalnie w „Odległych rubieżach” pójście za podobnymi spekulacjami albo spowodowałyby chaos wśród słabiej zorientowanych w historii czytelników i domysły, skąd wzięła się funkcja danej postaci, skoro historycznie rzecz wyglądała inaczej, albo zmuszałoby autora do długich wyjaśnień dotyczących frakcji, koterii, układów i układzików na szczytach władzy państwowej i wojskowej.

Jednak w paru przypadkach świadomie dokonałem zmian. Najlepszym przykładem jest Tadeusz Pełczyński – szef II Oddziału Sztabu Głównego do 1 lutego 1939 roku. Ze stanowiska musiał ustąpić po skandalu towarzyskim, którego bohaterką była jego żona. Następcą – pułkownik Józef Smoleński – nie bardzo nadawał się na postać literacką, bo po prostu był zbyt mało wyrazisty.

Wolałem Pełczyńskiego przywrócić na stanowisko i awansować na generała brygady.

Awansowałem też obrońcę Wizny, kapitana Władysława Raginisa, oraz majora Franciszka Skibińskiego z 10 Brygady Kawalerii.

Osobne wyjaśnienia należą się w kwestii uzbrojenia walczących stron, a szczególnie Wojska Polskiego.

Zmiany w polskim lotnictwie to temat rzeka. Poprzestańmy na tym, że zakup w 1939 roku stu sześćdziesięciu sztuk (choć natrafiłem też na liczbę stu dwudziestu sztuk) myśliwców Morane-Saulnier MS.406 i stu lekkich bombowców Fairey Battle, jak również czternastu myśliwców Hurricane (a według książki Patricka R. Osborna „Brytyjskie plany ataku na ZSRR 1939–1941” nawet jednego Spitfire’a) wymusiłyby zmianę struktur i organizacji lotnictwa. Przecież po wrześniu 1939 roku nadal produkowano by samoloty, zarówno doskonale bombowe PZL P.37, jak i nowe modele. Przestarzałe Lubliny R-XIII i RWD-14 Czaple zostałyby zastąpione przez LWS-3 Mewa, a myśliwskie „jedenastki” przez – najprawdopodobniej skierowane już do produkcji – maszyny PZL.50 Jastrząb.

Ciekawe, co stałoby się z rozpoznawczo-bombowym PZL.46 Sum? Zamówiono trzysta sztuk mimo poważnej wady konstrukcyjnej – stałego podwozia – która znacznie pogarszała osiągi.

Jeżeli natomiast chodzi o konstrukcje zagraniczne, to ciężkie myśliwce Bristol Beaufighter i wszechstronne De Havilland

Mosquito w tym czasie już latały, i to bardzo dobrze, stąd uległem pokusie, by wprowadzić je do akcji, i to w polskich barwach.

Podobnie trudno mówić o polskiej broni pancernej w 1941 roku. Lekkie czołgi 7TP były przestarzałe już dwa lata wcześniej. Czym zostałyby uzupełnione stany i co jeszcze dodatkowo by wprowadzono, jeszcze trudniej przewidywać niż w przypadku samolotów. W lotnictwie przynajmniej już latały pojedyncze sztuki bądź pierwsze partie maszyn nowego typu (Sum, Mewa), natomiast w przypadku rodzimych czołgów modele 11TP, 14TP, 23TP były na etapie planów konstrukcyjnych, a nawet koncepcyjnych, i nawet półtora roku dodatkowego czasu pewnie niewiele by zmieniło. Pozostawały drobne modernizacje, niemniej czasem ważne, jak choćby uzbrojenie TKS-a w najcięższy karabin maszynowy 20 mm FK-A wz. 38, co okazało się strzałem w dziesiątkę, jak tego dowiódł przebieg wielu wrześniowych bitew. Szerzej na ten temat pisze Rajmund Szubański w książce „Polska broń pancerna w 1939 roku”. Tam również można znaleźć informacje o zwalczaniu lotnictwa przeciwnika i jego czołgów za pomocą haubic pociągów pancernych.

Popularna jest teza o zacofaniu naszej armii, jednakże dokładniejsze zapoznanie się z faktami i uwzględnienie uwarunkowań pozwala w znacznej mierze zmienić ten stereotyp. Na strukturę i wyposażenie Wojska Polskiego wielki wpływ miały doświadczenia wojny polsko-bolszewickiej. Przez cały okres istnienia II Rzeczypospolitej chyba dla wszystkich decydentów wojskowych i politycznych jasne było, jakie państwa stanowią dla Polski zagrożenie. Zarówno bowiem Niemcy, jak i Sowieci nie kryli wrogiego stosunku do Polski od momentu jej odrodzenia w 1918 roku. Jawny ekspansjonizm bolszewickiej Rosji czynił z niej bardziej prawdopodobnego przeciwnika.

Podporządkowanie przez Stalina całego państwa wyłącznie jednemu celowi – poniesieniu idei rewolucji komunistycznej dalej w świat – sprawiło, że właśnie wschód aż do 1938 roku był rozpatrywany przez Sztab Główny jako niemal pewny teren przyszłego konfliktu.

Efekty przeobrażenia Związku Sowieckiego w zaplecze produkcyjne i rezerwę kadrową dla Armii Czerwonej były doskonale widoczne. Olbrzymim wysiłkiem w błyskawicznym tempie stworzono pozornie najpotężniejszą armię świata. Wcale jednak nie wiadomo, jak skończyłoby się wprowadzenie przez Stalina w ruch tej maszyny wojennej, gdyż wprost nieprawdopodobna ilość sprzętu bojowego nie mogła zmienić tego, że o sprawności jego działania i tak decydowali ludzie – stanowiący najśłabsze ogniwo całego planu. Na dowód przyszło poczekać do 21 czerwca 1941 roku.

Polska nie miała ani takich zasobów ludzkich, ani kosztownego wyposażenia. Odpowiedzią na realne zagrożenie ze strony Rosji sowieckiej był plan systematycznego rozwoju wojska, który zapoczątkowano zaraz po zakończeniu działań bojowych w 1920 roku.

Plan ten bardzo istotną rolę przypisywał kawalerii – co nieodmiennie budziło wesołość lub zażenowanie większości historyków publikujących w czasach PRL. Tymczasem kawaleria wcale nie była aż tak anachronicznym rodzajem wojsk. W wielu zachodnich opracowaniach tematu słusznie zwracano uwagę na dwa niezwykle istotne czynniki dające tej formacji przewagę nad wojskami zmechanizowanymi – oczywiście w tym konkretnym miejscu i czasie. Po pierwsze, niezbędna do transportu kołowego dobrze rozwinięta sieć dróg istniała tylko do linii Wisły. Im dalej, tym było gorzej. Po drugie, zaopatrzenie w materiały pędne sprawiało problemy, choćby z pierwszego powodu, ale nie tylko. Olbrzymia przestrzeń operacyjna, wymuszony nią

manewrowy charakter walk i ograniczone zasoby gospodarcze kraju wymagały na wskroś racjonalnego podejścia do tematu. Pomijając okolicznościowe peany na cześć polskiej jazdy, zdawano sobie jasno sprawę z jej niewystarczających walorów bojowych – pułk jazdy dysponował siłą raptem batalionu piechoty. Mimo to wówczas właściwie nie istniała dla niej alternatywa. Zakładano przeformowanie wszystkich brygad kawalerii w jednostki o charakterze pancerno-motorowym, ale miało się to dokonać w perspektywie dekady. Stosownie do tych planów powołałem do życia Lwowską Brygadę Pancerną.

Oceniając przydatność i rolę kawalerii w ówczesnych armiach, należy też pamiętać, że obaj przeciwnicy Polski, III Rzesza i Rosja Sowiecka – którym trudno przecież zarzucić militarny konserwatyzm i technologiczne zacofanie – do końca II wojny światowej dysponowali silnymi i licznymi oddziałami tego typu, a Sowieci utrzymywali tę formację aż do lat pięćdziesiątych XX wieku.

Jednak w założeniach sztabowych to nie kawaleria, tylko piechota stanowiła podstawowy element obrony państwa. Wojsko Polskie utrzymywało trzydzieści dywizji piechoty, na które składało się dziewięćdziesiąt pułków piechoty i trzydzieści pułków artylerii wraz z dywizjonami artylerii ciężkiej, zmotoryzowanymi saperami, kompaniami łączności, a czasem też z kompanią czołgów rozpoznawczych. Jedna dywizja liczyła w sumie około 16,5 tysiąca żołnierzy i była w istocie małym korpusem. Każda dywizja lub pułk piechoty mogła wykonywać osobne zadania bojowe, co przy niewielkiej przepustowości linii kolejowych biegnących na wschód i wynikających z tego ograniczeń kwatermistrzowskich pozwalało eliminować strukturę wyższego rzędu, jaką był korpus. Zaraz po nim następowała grupa operacyjna lub armia. Na tym szczeblu dowódcy dysponowali już lotnictwem rozpoznawczym i myśliwskim.

Niestety, to co w walkach z Sowietami miało sens, niekoniecznie sprawdziło się w wojnie z Niemcami, podczas której każdy dowódca armii prowadził wojnę z przeciwnikiem w zasadzie sam, przy słabej łączności z pozostającymi na jego skrzydłach innymi inspektorami armii, o Sztabie Naczelnego Wodza nie wspominając. Zainteresowanym zagadnieniami organizacji naszego wojska polecam wspomnianą już pracę Tymoteusza Pawłowskiego „Armia Marszałka Śmigłego”.

Stan przygotowań Wojska Polskiego do wojny ze Związkiem Sowieckim szczegółowo omawia fundamentalna praca Rajmunda Szubańskiego „Plan operacyjny Wschód”, jedyna właściwie pozycja książkowa poświęcona temu zagadnieniu. Wszystkie informacje na temat stanu wyjściowego poszczególnych armii, dowódców, potencjału zbrojnego i mobilizacyjnego państwa, przygotowania do działań, koncepcji operacyjnych itp. podaję właśnie za tym źródłem.

Jeżeli chodzi o stronę przeciwną, to oparłem się głównie na książce Marka Sołonina „Na uśpionych lotniskach” gdzie o strukturze, planach i taktyce lotnictwa Armii Czerwonej jest na dobrą sprawę wszystko. Drugie dzieło tego autora, „22 czerwca 1941”, oraz dwie książki Wiktora Suworowa: „Dzień M” i „Ostatnia Republika”, poruszają kwestie działań na lądzie oraz szeroko omawiają kwestie polityczne.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej po stronie polskiej walczyło kilka tysięcy żołnierzy i oficerów rosyjskich, białoruskich i ukraińskich. We wrześniu 1939 roku do polskiej niewoli dostało się około pięćdziesięciu czerwonoarmistów. W jednostkach, które ich pojmały, służyli aż do końca kampanii. Po ataku Niemiec taki los wybrało kilka milionów rosyjskich poborowych.

Niektórzy dezercerowali jeszcze w 1945 roku! Ilu zmieniłoby stronę podczas takich działań jak przedstawione w powieści,

trudno oszacować, ale prawie na pewno byłyby to tysiące. O duchu bojowym „awangardy rewolucji” wiele można dowiedzieć się ze studium Rogera Reesa „Czerwoni dowódcy”.

I na koniec jeszcze o kilku szczegółach – jak sądzę, godnych uwagi.

Rozpoczynający książkę zamach na Hitlera wydarzył się naprawdę, tak jak go opisałem.

Z dwiema tylko różnicami: doszło do niego w listopadzie 1939 roku, a Führer tysiącletniej Rzeszy go przeżył, niespodziewanie wyszedłszy z sali na pół godziny przez eksplozję ładunku zainstalowanego przez Georga Elsera (Giudo Knopp „Zabić Hitlera”).

W kwestiach fortyfikacji polegałem na książce Josepha Ericha Kaufmanna i Roberta M. Jurgi „Twierdza Europa” oraz na artykule Mirosława Kota „Wschodnie umocnienia Rzeczypospolitej”.

O działaniach polskiego wywiadu obszernie pisze Andrzej Peplowski w dwóch książkach obejmujących cały okres II RP: „Wywiad w wojnie polsko-bolszewickiej” oraz „Wywiad polski na ZSRR 1921 – 1939”.

Obecność w jednostkach żandarmerii pistoletów maszynowych Thompson M1 nie jest tak egzotyczna, jak mogłoby się wydawać. Z powodu ograniczeń i wad peemu Mors żandarmeria (ale Sztab Główny WP już nie) sprowadziła do Polski w 1936 roku pięćdziesiąt sztuk tych amerykańskich pistoletów. Informacje o tym można znaleźć w artykule Lecha Erenfeichta „Mors wz. 39” w „Innych Obliczach Historii” nr 3 z 2006 roku.

Fotografię w rozpoznaniu lotniczym z powodzeniem stosowano już w latach trzydziestych XX wieku.

Radio N1 miało moc 20 W i zasięg od dwudziestu (głos) do pięćdziesięciu kilometrów (klucz).

Wreszcie chciałbym podkreślić, że niezależnie od

podbudowy historycznej, którą pokrótce przedstawiłem, niniejsza powieść jest wyłącznie symulacją, jaka powstała w głowie autora.

Wynikiem co prawda dłuższego zastanawiania się „co by było, gdyby”, ale jednak tylko uproszczoną, literacką wizją pewnej alternatywy. Rzeczywista kampania z całą pewnością byłaby dużo bardziej skomplikowana i przyniosłaby o wiele więcej cierpień.

BIBLIOGRAFIA

Erenfeicht L., *Mors wz.* 39, „Inne Oblicza Historii” 2006 nr 3.

Kaufmann J.E., Jurga R.M., *Twierdza Europa. Europejskie fortyfikacje drugiej wojny światowej*, przeł. z ang. S. Kędzierski, Warszawa 2002.

Knopp G., *Zabić Hitlera*, współpr. A. Berkel [et al.], red. M. Sporn, z niem. przeł. M. Zeller, Warszawa 2009.

Kot M., *Wschodnie umocnienia Rzeczypospolitej. Odcinek „Baranowicze”*, „Archeologia Wojskowa” 1994 nr 1 (4).

Osborn P.R., *Brytyjskie plany ataku na ZSRR 1939– 1941*, przekł. J. Złotnicki. Warszawa 2007.

Pawłowski T., *Armia Marszałka Śmigłego. Idea rozbudowy Wojska Polskiego 1935– 1939*, Warszawa 2009.

Pepłoński A., *Wywiad w wojnie polsko-bolszewickiej 1919– 1920*, Warszawa 1999.

Pepłoński A., *Wywiad polski na ZSRR 1921– 1939*, Warszawa 1996.

Reese R.R., *Czerwoni dowódcy. Korpus Oficerski Armii Czerwonej*, przeł. z ang. S. Kędzierski, Warszawa 2010.

Sołonin M., *Na uśpionych lotniskach... 22 czerwca 1941 roku*, przeł. A. Pawłowska, Poznań 2009.

Sołonin M., *22 czerwca 1941 czyli Jak zaczęła się Wielka Wojna Ojczyźniana*, przekł. T. Lisiecki, Poznań 2008

Suworow W., *Ostatnia republika*, tł. A. Bobrowicki i D. Majeńczyk, Poznań 2009.

Suworow W., *Dzień „ M”*, przekł. A. Mietkowski, Poznań 2010.

Szubański R., *Plan operacyjny Wschód*, Warszawa 2010.

Szubański R., *Polska broń pancerna w 1939 roku*, Warszawa

2011.



Spis treści

Karta tytułowa	2
***	3
Karta redakcyjna	4
Mapa	7
PROLOG MONACHIUM	8
1 WARSZAWA	13
2 WARSZAWA–GRODNO	31
3 MOSKWA	43
4 WARSZAWA	46
5 MOSKWA	52
6	57
7	62
8	66
9	70
10	79
11	82
12	92
13	94
14 WARSZAWA	98
15 MOSKWA	100
16 WARSZAWA	102
17 WARSZAWA	113
18 MOSKWA	117
19 AUGUSTÓW	121

20 FRONT ZACHODNI	125
21 WARSZAWA	127
22 OKOLICE RAKOWA	136
23 WARSZAWA	142
24 LONDYN	147
25 FRONT ZACHODNI	149
11 KARPACKA DYWIZJA PIECHOTY	155
26 WARSZAWA	167
27 LONDYN	169
28 DYWIZJA PIECHOTY	173
29 SUWALSKA BRYGADA KAWALERII	177
30 ARMIA „BARANOWICZE”	182
ODCINEK UMOCNIONY „DAREWO”	184
31 LONDYN	189
32 MOSKWA	194
33 SUWALSKA BRYGADA KAWALERII	201
34 WARSZAWA	209
35 LONDYN	212
36 BRZEŚĆ	216
37 ARMIA „LWÓW”	218
38 GRUPA OPERACYJNA „DNIESTR”	223
39 WARSZAWA	238
40 LONDYN	246
41 SUWALSKA BRYGADA KAWALERII	250
42 BRZEŚĆ	258
43 LONDYN	262

44 MOSKWA	266
45 WARSZAWA	270
46 LUBLIN–KIJÓW	276
47 WARSZAWA	289
POSŁOWIE	293
BIBLIOGRAFIA	301